



Rzeczy ciekawe i pożyteczne.

E. Peretti: Wiara w koniec świata.

M. Tarnawska: Opowieść o powstaniu w Chochołowie.

W. Lutosławski: O przyszłej wojnie.

W. Gasztowtt: Podróż Regnarda do Polski w 1682 r.

J. Andruszewski: Ze stepu.

J. d'Avenel: W Stanach Zjednoczonych.

INSTITUT
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

LWÓW — NAKŁADEM „SŁOWA POLSKIEGO” — 1910.



24.205

Z Drukarni Słowa Polskiego we Lwowie, pod zarządem J. Ziemińskiego.

OD WYDAWNICTWA.

W przerwie między jedną powieścią a drugą, podawaną czytelnikom w tem wydawnictwie książkowym, uzupełniającem lekturę dziennika, pozwalamy sobie umieścić dzieło zbiorowe treści pouczającej. Czynimy to na żądanie wielu czytelników, którzy prosili o urozmaicenie dodatku naszego dziełami naukowemi, i w zgodzie z własnem przeświadczeniem, że ogół uzna wraz z nami takie urozmaicenie za pożądane.

Podajemy w tej książce szereg prac wybitnych autorów na różne tematy, aby mogła treścią zainteresować różnorodne potrzeby czytelnicze, wszystkie jednak rozprawy i opisy poniższe to mają wspólnego, że są „rzeczami ciekawemi i pożytecznemi“. Stąd tytuł książki. Uzupełniają one doskonale lekturę feljetonu, do którego z charakteru swego należą, a który — z powodu nawału bieżącego materiału — przeznaczony być może w dzienniku tylko na rzeczy krótkie i wyraźnie aktualne.

Na pierwszym miejscu podajemy rozprawę Włocha, przyjaciela naszego, p. Emila Perettiego, napisaną przez niego po polsku. Listy p. Perettiego, ogłoszone w „Słowie Polskiem“ w lecie 1909, a zapowiadające tę rozprawę, były rewelacją, którą zaliczono ogólnie do rzędu największych sensacji dziennikarskich.

Przedrukowano je w prasie wszystkich dzielnic polskich. Szczególny to bowiem objaw współżycia cudzoziemca z duchem naszego narodu. Rozprawę, w tej książce umieszczoną, napisał p. Peretti dla wprawy w języku polskim. Jest to pierwsza jego praca polska. Pełni podziwu dla poprawności jego polszczyzny, najczęściej wprost świetnej, umieszczamy tę rozprawę bez żadnych zmian, uważając ją za pomnik historyczny tak cenionych przez nas sympatji Włoch do Polski.

Powtórzymy tutaj z listu p. Perettiego urywek, dotyczący tej rozprawy, aby złączyć z nią na stałe dokument, który wyjaśnia jej pochodzenie. W liście do redaktora „Słowa Polskiego“ p. Peretti pisał:

„Pozwalam sobie uprzejmie zapytać, czy Pan nie byłby skłonny nabyć dla swego wydawnictwa artykuł treści popularno naukowej na temat wiary w koniec świata i jej historii, napisany w tonie lekkim, jak sądzę, dość interesującym...

„Artykuł, idąc na przelaj wieków, wyławia po drodze z wierzeń wszelakich ludów częstokroć wcale interesujące, częstokroć dość komiczne, obyczaje, obrzędy i zabobony, stojące w związku z tą wiarą; potraça mimochodem o kwestje historyczne, kulturalne, astronomiczne etc., zagląda do skarbu poetów i kończy się spostrzeżeniami natury ogólnej.

„Mimo, że jestem rodowitym Włochem, artykuł napisany jest polszczyzną. Jeśli pana nie znudzi opowieść o powstaniu samego artykułu, ośmielę się pokrótce ją przytoczyć.

„Przed pięciu, a właściwie przed sześciu laty rozpocząłem studjum języka polskiego. Pochodzę z zawieruchowej rodziny włoskiej, która brała czynny udział we wszystkich walkach o niepodległość Italji. Dziad mój spotykał się często w szeregach z ochotnikami polskimi. W 48-ym roku był oficerem ordynansowym generała Chrzanowskiego. W 59-ym

roku pod Magentą młody ochotnik Mieczysław Kamiński uratował mu życie, sam za to na miejscu swoim życiem płacąc. W 63-im dziad poszedł, aby Wam dług swojej krwi spłacić, lecz Austryjacy w drodze go zatrzymali i na plac boju nie dopuścili. Przed śmiercią pisał w testamencie, iż ostatnich 37 lat życia uważał zawsze za dług wobec tego narodu, z którego wyszedł człowiek, który mu tych 37 lat własnym młodem życiem kupił i zapłacił. Pisał dalej, że dług ten na nas, swoich potomków przekazuje, nazywając nas żyjącym długiem. Bez Mieczysława ród nasz byłby wygasł bezpotomnie: dziadek walczył pod Magentą jako narzeczony i dopiero po tej wojnie się ożenił. Cała ta część testamentu była zredagowana w formie przykazania rodzinnego.

„Będąc całkiem młodym chłopcem, zapalałem się bardzo do tej przyszłości, którą mi owo przykazanie, zostawione potomkom w spuściźnie przez dziadka, po romantycznych nieco linjach wytyczały. Dopóki dziadek żył, była tylko mowa o szabli. Po śmierci jego, w miarę jak wyrastałem, ojciec mój, który już z innej szkoły wyszedł, jakkolwiek zawsze z wielką czcią podtrzymywał we mnie i żywił ów pjetyzm dla dziadkowego przykazania, począł mi kłaść przed oko, że gdy stosunki chwilowe nie pozwalają na spłatę kapitału, należy bodaj procenty sumiennie płacić. Wypłata procentów zaś jest każdej chwili możliwa. Za wpływem też ojca właściwie począłem się uczyć po polsku.

„Niezmierzonym trudnościom, jakie mi studjum waszego języka sprawiało, zawdzięczam, iż w pracy nie ustawałem, lecz przeciwnie z pewnym zapamiętaniem, z pewnego rodzaju zawziętością, z zaciętrzewieniem niemal naukę kontynuowałem. Trudności zaś były tem większe, iż nie ograniczały się do samej istoty rzeczy, lecz również polegały na tem, iż literatura nasza nie posiada podręcznika wyczerpującego, któryby mógł wystarczyć człowiekowi, który zamierzył sobie nietylko teoretycznie język poznać, nietylko biernie go zgłębić, lecz także czynnie go móżdż zastosować i literacko go opanować. Musiałem uciekać się zrazu do pośrednictwa podręcznika

francuskiego, a potem już wyłącznie na własnym umyśle analitycznym i konstrukcyjnym budować.

„Po trzech latach doprowadziłem do tego, że najtrudniejsi nawet wasi pisarze i poeci musieli mi otworzyć swoje skarbowce. Zwłaszcza o Juljuszu Słowackim mogę powiedzieć, że go znam wcale dobrze. Następnie przez blisko dwa lata pracowałem nad ożywnem opanowaniem języka, to znaczy nad tem, aby mózdz nie tylko oodzienną mowę i rzeczy łatwe oddać i wystawić, lecz także mózdz bardziej skomplikowane myśli i finezje językowe wyrazić poprawnie i na papier przenieść. Zrazu tłumaczyłem trudniejszych naszych pisarzy na polski język, aż wreszcie przystąpiłem do samoistnych, twórczych niejako ćwiczeń.

„Właśnie trzeciem z rzędu takim ćwiczeniem jest artykuł, o którym na wstępie wspominał. Studjowałem wówczas ów temat, a zebrawszy zasobny materiał notatek, postanowiłem opracować je w formie artykułu polskiego, jako egzamin przed samym sobą. Jednak dopiero teraz (w rok przeszło po napisaniu) wpadłem na ideę, że to, co było napisane tylko jako ćwiczenie językowe, mogłoby być snadnie traktowane jako drobna pra a literacka. Jakkolwiek treść artykułu zupełnie nie odpowiada intencjom, z jakimi się języka polskiego uczyłem, to jednak próbuję pokusić się o jego wydrukowanie, gdyż — naiwnie się do tego przyznaję — widok jego w druku sprawiłby mi wielką, prawdziwą radość. Byłby to pierwszy widoczny tryumf i zapłata za pięcioletnie przeczło zapasy i znoje...”

Oto pochodzenie rozprawy, od której rozpoczyna się książka. Dalsze prace odpowiadają wartością tanitej i pochodzą od wybitnych pisarzy; przyczem rzeczy swojskie, historyczne lub krajoznawcze, znalazły szczególnie uwzględnienie.

WIARA W KONIEC ŚWIATA.

Gdzie i kiedy się narodziła? — Co mówią o niej: religja Wedy, religja Zoroastra, religja Bramy? — W jaki sposób przeszła między ludy zachodnie, między Egipcjan, Etrusków, Żydów, Greków, Rzymian, Mahometan, pogan Północy? — W jaki sposób przeszła do chrześcijaństwa? — Jaki wpływ na Apokalipsę wywarła? — Wpływ Apokalipsy na wieki późniejsze — Rok 1000 w Europie. — Po reformacji, legenda przechodzi pod sztandary naukowe. — Jej pojawienia się w ostatnich czasach.

„Na początku był... koniec — był koniec świata. Jak człowiek stary, tak stare jest wiomo „dnia płaczu i zgrzytania zębów“. Niby nieśmiertelny kosciotrup śmierci, snuje się oko przez mgły widziadeł, fantazji i zabobonu po przez wieki ludzkiego istnienia.

Tysiące lat nieraz przechodzą, a nikt ze śmier olnych zbliżka go nie widzi; wie tylko i wierzy w jego niespożyty żywot żyda, wiecznego tułacza.

Aż nadejdzie chwila, chwila śmiertelnej trwogi, chwila dreszczów i lęku świata, w której złowrogie widmo schodzi między ludzkie zagrody. I widzą je wówczas wszyscy, wieci i mali, u zeni i prostaczkowie, święci i przeszniocy.

Takich chwil zjawy odwiecznego widma, chwil jego tyrańskiej wszechmoocy było już kilka w historii człowieka.

* * *

Już pierwsze przeblądski ducha, które zaświtały w dziecięcym mózgu pierwotnego człowieka i wyzwoliły go w pewnej mierze ze szponów zwierzęcego instynktu, już te pierwsze iskierki ducha przyniosły mu z sobą zagadkę bytu ludzkiego, przyniosły niezgłębione zagadnienia, które przetrwały ataki mędroów i filozofów i dziś jeszcze równie świezo i z równą mocą, a może nawet bar-

dziej niepokojąco przed oczyma naszymi się rysują, niż kiedyś, gdy w pomroce dziejów pierwszemu myślącemu ośłowiekowi po raz pierwszy się objawiły.

Do któregośkolwiek z tych krajów zstąpimy, które były elementarnymi szkołami ludzkości, znajdziemy ślady ośłowieczych wysiłków, dążących do rozwiązania owych zagadek. Znajdziemy je nad brzegami świętego Gangesu, znajdziemy na gorących piaskach nad Nilem, na zielonej wyżynie Iranu i na równinach Eufratu i Tygrysu.

A wśród rzeszy tych pytań z dziedziny nadprzyrodzonej natknijemy się i na to pytanie: czy istnieje jakowe życie po za granicami życia materialnego? Czy byt człowieka kończy się z jego śmiercią fizyczną? A jako konsekwencja tego pytania: czy istnieje jakowy świat po za granicami świata materialnego? czy byt świata, na którym ośłowiek mieszka, jest wieczny?

Kula ziemską jest śmiertelna, odpowiadają niemal jednogodnie wszystkie najstarsze wierzenia religijne i wszystkie najstarsze systemy filozoficzne, jakie nas doszły.

I te wierzenia najodleglejszych epok ludzkiej cywilizacji przetrwały najazdy czasu, wędrówki ludów, zagony myśli ludzkiej przez pochód stuleci. Zgarbione latami, zmieniały jedyne wytarte, postrzępione szaty i tak zewnątrz odświeżone wdzięczyły się do nowych pokoleń, podając swe zgrzybiałe ciała, przykryte nowymi fatałaszkami, za oiało dziewicze. A młode, naiwne pokolenia brały je za to, za co się podawały. I tak z wieku na wiek postępując, dowlokły się aż do naszych czasów; gdyż i religja chrześcijańska niemi nie wzgardziła.



Najstarsze ślady historycznego istnienia rasy indo-europejskiej sięgają mniejwięcej trzech tysięcy lat przed narodzeniem Chrystusa. Ci nasi praojcowie z przed pięciu tysiącleci zamieszkiwali Baktcję, okolicę nad morzem Kaspijskiem, u stóp górskiego wału Hinduku-sza. Dawali sobie nazwę: *arjas* to znaczy „szanowni“.

Rasa indo-europejska rozdzieliła się z czasem na dwie grupy: na grupę wschodnią czyli aryjożyków w ścisłszym tego słowa

znaczeniu i grupę zachodnią, zwaną *Jawana* czyli „młodzi“. Grupa w chodnia zaludniła z biegiem czasu Persję, Medję i Babilonję. Młodzi przeszli na zachód, dając początek Grekom, Rzymianom, Celtom, Słowianom i Germanom. Starzy, którzy pozostali wierni odwiecznym siedzibom swych ojców, posługiwali się nadal wspólnym językiem, rozpadającym się jeno na rozmaite narzecza i hołdowali odziedziczonym w spadku wierzeniom religijnym (religja Wedy).

Dopiero Zoroaster wniósł pierwsze zarzewie niezgody między „szanownych“ konserwatystów, wywołując drugi rozłam rasy indoeuropejskiej. Między zwolennikami proroka nowego, a wiernymi dawnej religji, wybuchły zawzięte walki. Ta pierwsza „wojna trzydziestoletnia“, zakończyła się zwycięstwem stronników Zoroastra, którzy zawładnęli niepodzielnie całym terytorjum, zamieszkiwanem dotychczas wspólnie i wyparli pokonanych poza Hindakusz. Wyparci przenieśli się nad brzegi Indusu i Gangesu.

Religja Zoroastra (mazdeizm) prawi o dwóch pierwiastkach boskich: o pierwiastku dobra i o pierwiastku zła. Pierwiastek dobra, Ormuzd, jest stwórcą świata; jest odwieczny w swym początku i nieśmiertelny w przyszłości. Aryman, ojciec zła i ludzkiej niedoli, jest również odwieczny w początku, lecz śmiertelny w przyszłości. Wiekowa walka, jaką oba te pierwiastki boskie ze sobą toczą, skończy się zwycięstwem Ormuzda, zwycięstwem Dobra, a zagładą Arymana, zagładą Zła.

Do kardynalnych zasad mazdeizmu należy nauka o śmierci świata.

Jeden tylko rok pisano jest przetrwać globowi ziemskiemu w obecnej szacie. Lecz rok wszechświata, rok, którego każdy miesiąc równa się jednemu tysiącu lat. Przetłumaczywszy tę rachubę na język ziemski, wytargujemy dwanaście tysięcy lat życia dla naszego planety.

Z końcem jedenastego tysiąclecia, lody twardej zimy, które trwać będą przez całych tysiąc lat ostatnich, zmrożą wszelakie ży-

jące jestestwo ziemskie. Wraz z mrozami, cienie wiecznej nocy pa-
stwić się będą nad oierpliwą skorupą matki-ziemi. Na tle takich
groźnych dekoracji rozegra się ostateczny akt walki Ormuzda
z Arymanem.

Gdy zaś wreszcie cała owa rewolucja żywiołów i bogów do
końca dobiegnie i Aryman haniebnie ulegnie, wonezas światło
z zwycięskiego Ormuzda kulę ziemską do nowego
życia powoła.

Zaczem niegodna powłoka grzesznego globu ziemskiego, od-
rodzona i odświeżona, stanie się rajem ziemskim. Wierni mazdej-
czycy, którzy dotychczas w „parowie Jiny“ zażywali błogości nie-
biańskich, jako zapłaty za sprawiedliwy żywot, teraz zstąpią na
ziemię i zaludnią ją słońcem i światłem swej wiecznej szczęśli-
wości.

Padoł płaczu stanie się rajem jasnego wesela.

* * *

Przeciwnicy reformy Zoroastra, wyparci po za siwe szczyty
Hindukusza, przenieśli się nad brzegi Indusu i Gangesu. Daremne
były ich ofiary, złożone na ołtarzu wiary ojców, daremna krew,
w jej obronie przelana, daremne męki wygnania. Wierzenia przod-
ków się przeżyły; nie odpowiadały „wymaganiom czasu“.

Jak Zoroaster na zachodzie, tak klasa bramanów pomiędzy
wchodzącami na wschodzie reformuje dawną religję Wedy. Ta zre-
formowana przez bramanów religja i rzodków daje bramanizm.

Mimo liczne zasadnicze różnice między mazdeizmem a bra-
manizmem (najkardynalniejsza: Zoroaster dzieli pierwiastek boski
na pierwiastek Zła i Dobra; religja Bramy uznaje jedną tylko
istotę boską) mimo te i inne zasadnicze różnice, nauka o śmierci
kuli ziemskiej również i tu się powtarza.

Gdy jednak ziemia Zoroastra raz tylko śmiertelne kurcze za-
glądy i zniszczenia przechodzi, glob ziemski Bramy jest częściej na
tę nieprzyjemność narażany. Z Bramy, najwyższej istoty boskiej,
wyszedł człowiek, wyszedł świat i wyszedł cały Olimp bogów dru-
giej klasy. Tym wszystkim potomkom najwyższego Bóstwa prze-

znaczone jest życie jeden okres, zwany *mahajuga*. Ten okres czasu obejmuje dwanaście tysięcy lat. Po upływie jednej t k j *mahajugi* następuje śmierć świata i wszystkiego stworzenia żyjącego, a nawet i bogów drugorzędnych. Poczem wszechmoeny Brama powoduje jednak świat do nowego życia i rozpoczyna drugą *mahajugę*, trzecią, czwartą i tak dalej w nieskończoność.

Porównyując obie religje na tym punkcie ze sobą, widzimy, że kalkulacje rachunkowe tu i tam są mniejwięcej identyczne, (dwanaście tysięcy lat!) różnią się jednak tem zasadniczo, iż Zoroaster na jednorazową tylko zagładę świat skazuje, poczem obdarza go życiem wiecznej, nieśmiertelnej szczęśliwości, podczas gdy religja Bramy z całym zamiętanem ten eksperyment w nieskończoność powtarza.

Odmienna jest również nauka o elementach, które dzieła zniszczenia dokonać mają. Zoroaster na zimno ziemię pognębia: obiera lody i cienie tysiącletniej nocy za narzędzia zniszczenia. Natomiast Brama, uznając potrzebę recepty bardziej skomplikowanej, najpierw na gorąco się do ziemi zabiera, a potem jeszcze dodatkowo stosuje metodę hydropatyczną. Powiada tak mianowicie: Z końcem jednej *mahajugi*, *Wisznu* zapali siedm słońc gorących. Żar ich promieni wznieci pożar we wszechświecie i ziemię w popiół obróci. A gdy już wszelki byt zaginie w płomieniach, wówczas ciężkie chmury, o kształtach olbrzymich stoni, zawisną nad dymami i ogorzeliisk i zesłą deszcz rześiste, które lać się będą potokami przez całych sto lat. Potop zaleje zgliszcza i popioły, a kula ziemiska zamieni się cała w jeden wielki ocean.

Poczem zerwie się huragan i dąb będzie tak mocno i tak długo po przestworzach, póki stuletnie chmury o kształcie olbrzymich stoni w nieość się nie rozejdą. Wówczas cisza nocy i wielkie odrętwienie ogarnie okaleczając ofiarę wszelakich elementów zniszczenia. A w ciszy owej nocy niesamowitej, wielki Brama utoży się na miękkim, giętkim ciele węża *Ceshy* i usnie snem Boga, który spełnił swą powinność.

A gdy ów sen mistyczny dostatecznie pokrzepi zmęczone członki Stwórcy Wszechrzeczy, wówczas podniosą się powieki Naj-

wyższe a światło jego oczu kulę ziemską do nowego życia powoła.

I rozpocznie się nowa *mahajuga*.

* * *

W obu religjach znajdujemy więc, obok odmiennego nieco traktowania szczegółów, istotę rzeczy wiernie przechowaną: Kula ziemská jest śmiertelna; i ona sama i wszystko, co na niej żyje, po pewnej ilości lat ulega zagładzie. Lecz śmierć jej nie jest śmiercią ostateczną, śmiercią nieodwoalną, gdyż po niej następuje zmartwychstanie.

Z tego faktu wspólności zasadniczych pierwiastków wiary w śmierć świata w mazdeizmie i bramanizmie, nauka wysnuwa dziś wniosek, iż teorje te nie rozwinęły się niezależnie od siebie, lecz że obie miały swą wspólną kolebkę w religji Wedy, wyznawanej przez całą rasę indo-europejską przed jej rozpadnięciem się na trzy odłamy, to znaczy na młodych, zwanych *Jawana*, którzy przeszli na Zachód, na wyznawców systemu Zoroastra, którzy pozostali w starych siedzibach i na wyznawców Bramy, którzy przeszli na Wschód, nad Indus i Ganges.

Trafność tej hipotezy sprawdza nauka nietylko przez zestawienie mazdeizmu z bramanizmem, lecz także przez porównanie obu tych systemów religijnych z wierzeniami ludów zachodnich. W istocie bowiem, przypatrując się mytologjom Zachodu, zobaczymy, że i tu identyczne ideje o końcu świata się powtarzają, co nauka tem właśnie tłumaczy, iż ludy te wyszły również z jednej i tej samej kolebki, wspólnej całej rasie indo-europejskiej.

Można zatem przyjąć za pewnik, że *Jawana*, emigrując z Baktrji i przechodząc na zachód, przenieśli też ze sobą pamięć mytów Wedy i wcieliili je później do poszczególnych systemów religijnych, jakie się tu z biegiem czasu wytworzyły. W ten sposób znaleźlibyśmy odpowiedź na pytanie: Skąd pochodzi wiara w koniec świata; gdzie i kiedy się narodziła? Odpowiedź ta brzmieć będzie: Wiara w koniec świata wśród ludów pochodzenia indo-europejskiego pochodzi z ich wspólnej

kołebki, pochodzi z tych zamierzonych czasów, gdy lud, tworzący zawiązek dzisiejszej rasy indo-europejskiej, zamieszkiwał Baktcję, i wyznawał wspólną religję Wedy. Stamtąd przeszła owa wiara do Zoroastra, do Bramy i na Zachód.

Przypatrzmy się teraz, jak też ona u poszczególnych ludów zachodnich wygląda.

* * *

Egipcjanie, naród uczony i ścisły, przyjmując śmierć ziemi za pewnik, natychmiast zabrali się do szczegółowych obliczeń i na podstawie gruntownych kalkulacji matematycznych, sprostowali mylne rachuby Zoroastra i Bramy, stwierdzając, iż planeta nasz cały ch 36.500 lat trwać będzie nienagabywany. Równocześnie wprowadzili inne bardziej zasadnicze poprawki. Najciekawszą z nich jest ta, która się odnosi do kwestji ludzkiego życia pozagrobowego. Jakkolwiek rzecz owa nie należy ściśle do tematu omawianego, to jednak pozwolę sobie pokrótce ją naszkicować, gdyż jest warta tego: jest dość ciekawa a na ogół mało znana.

Istota ludzka, według pojęć egipskich, była o wiele bardziej skomplikowanym mechanizmem, niż my to sobie obecnie wyobrażamy. Egipski bowiem człowiek składał się aż z czterech pierwiastków: z ciała, ka, bi (lub bai) i chu. Egipskie ciało było takie same, jak nasze ciało. „Ka“ był drugim organizmem ludzkim, jakby sobowtórem ciała widomego, lecz organizmem lotnym, niematerjalnym organizmem bezcielesnym, który tkwił stale w ciele widomem i przystosowywał się w każdym okresie życia człowieka ściśle do organizmu cielesnego. To znaczy, że gdy ciało chorowało, chorował też i „ka“, gdy ciało się starzało i „ka“ się również starzał. Po śmierci „ka“ był dalej ciału wierny i dotrzymywał towarzysztwa śmiertelnym szczałkom zmarłego, lecz miał swobodę ruchów i gdyby mu przyszła ochota, lub stosunki go do tego zmusiły, mógł zwłokom wypowiedzieć mieszkanie i przenieść się w dowolne strony.

„Bi“, lub „bai“ — to dusza. Lecz niezupełnie do naszej podobna. Podczas gdy my bowiem na ogół wierzymy w jej nieśmier-

telność, Egipcjanie przyznawali jej tylko ograniczone co do czasu życie pozagrobowe. Nie uznawali więc nieśmiertelności nieograniczonej.

„Chu“, to istota światłana, iskra z boskiego ognia.

Wszystkie te cztery pierwiastki ludzkiej istoty (a więc i ducha) także były znikome. Z ich zanikiem umierał człowiek po raz drugi i ostatni — zapadał się w nicosć nieodwołalnie.

A kiedyż owa druga śmierć moja miała nastąpić? To rzecz względna. W pewnej mierze zależało to ode mnie samego. Za życia jeszcze e trzeba się było postarać swojemu „ka“ możność jak najdłuższego istnienia zapewnić. Jeśli śmiertelnik za życia swego nie zaniedbał owych zabiegów, które poczynić należało, żeby swojemu „ka“ pozagrobową egzystencję przedłużyć, a warunki skądinąd były sprzyjające, wówczas owo drugie życie pozagrobowe mogło doczekać się owej chwili, w której po trzydziestu sześciu tysiącach pięciuset latach minionych świat cały zagłada i zniszczenie spotka. Owa granica, przez egipskich matematyków wykalkulowana, była zatem ostateczną granicą, do jakiej życie pierwiastków ka, bi i chu można było dociągnąć.

W mocy więc ludzi żyjących leżało przedłużenie swego życia pozagrobowego i oddalenie momentu powtórnej i ostatecznej śmierci w setki i tysiące lat. Warunkiem było zabezpieczenie egzystencji owemu organizmowi bezoiesnemu, niematerjalnemu, zwanemu „ka“.

W jaki sposób przeprowadzić tę asekurację pośmiertną? Trzeba balsamować ciała. W ten sposób „ka“ będzie miał zapewnione mieszkanie dla siebie, mieszkanie zdrowe i najlepší jego wymaganiom i upodobaniom odpowiadające.

Jednak najkunsztowniej nawet zabalsamowane ciało musiało w końcu po pewnej ilości lat ulec rozkładowi. I biednego „ka“ począłoby wówczas trapić „kłopoty z mieszkaniem“. Atoli chytry Egipcjanie i na to lekarstwo znaleźli: Trzeba wstawiać do grobów, obok munji, posągi kamienne, przedstawające jako takę postać mar: go. Gdy ciało się zepsuje, „ka“ zamieszka w posągu. (Posągi tak e znalezione w grobowcach egipskich, odkopanych za naszych czasów).

W ten sposób problem mieszkaniowy byłby rozwiązany.

Pozostawało jeszcze zaopatrzenie „ka“ w żywność na tak długie lata, kwestja, która niosła ze sobą poważne trudności. Bo jakkolwiek „w smutku pozostali“ żarliwie składali ofiary w jadło i napoju w grobowcach, kryjących drogę im szczątki, to jednak z czasem, po wymarciu kilku generacji, grobowiec z natury rzeczy mógł łatwo popaść w zapomnienie. A wówczas ciężkie by chwile zeszyły na opuszczonego „ka“; głód zmusiłby go do szukania pożywienia po kanałach i śmietnikach, a nawet mógłby go o bolesną, przedwczesną śmierć przyprowadzić.

Na to dbający o swą pośmiertną karierę Egipojanin nie mógł żadną miarą zezwolić. Wrodzony spryt i niepoślednia wprawa w orjentowaniu się w zagadnieniach, dotyczących życia pozagrobowego, przyszyły mu i w tej turbacji z pomocą. Postanowił wymalować na ścianach grobowca rozmaite apetyczne smakołyki, a koło nich fantastyczną postać swego „ka“, zjadającego owe malowanki — trafnie rozumując, iż „ka“ prawdziwy, mając przed oczyma własną swą postać, delektującą się (namalowanemi) „ofiarami“, nie mógł nie przyjść do przekonania, iż głód jego jest już w zupełności zaspokojony. Na taki sposób, przy „sprzyjających warunkach“, to znaczy z wykluczeniem wszelkich brzydkich a nieprzewidzianych elementarnych kataklizmów (powodzi, trzęsienia ziemi etc.) mógł egipski człowiek, zmarły pierwszą śmiercią, tą naszą dzisiejszą, ordynarną, ludzką śmiercią, śmiercią ciała, mógł egipski człowiek żyć jeszcze długie, długie lata życiem pozagrobowym. Dopiero druga śmierć była decydująca i nieodwołalna, gdyż wówczas ginęły pozostałe trzy pierwiastki istoty ludzkiej, mianowicie „ka“, „bi“ i „chu“ i zapadały się wńicość. Jeśli wszystko poszło *all right*, owa druga śmierć mogła być odroczonea aż do chwili powszechnej zagłady, która, wedle obliczeń faraonowych uczonych, świat po 36.500 latach niechybnie nawiedzić miała.

* * *

Żaden jednak z narodów starożytnych nie przejął się tak głęboko prorocstwem o końcu świata, jak Etruskowie.

Ich rachuby przewidywały krótki żywot ziemi: tylko dzie-

sięć wieków od pierwszych chwil istnienia Etrurji.

Przytem wieki same były bardzo oryginalnie obliczane. Za podstawę obliczeń służył wiek człowieka, mianowicie tego człowieka, który wśród danej generacji żył najdłużej. Ustalanie długości onych wieków było zadaniem augurów. Na podstawie dochowanych zapisów zbadali, kiedy umarł ów człowiek, który się urodził w dzień założenia Etrurji, a który najdłużej żył z pomiędzy wszystkich swoich kolegów po kołysce. Dzień jego śmierci był ostatnim dniem pierwszego wieku. Dzień zaś następny był pierwszym dniem drugiego wieku. Ów drugi wiek kończył się znowu z tym dniem, w którym umarł człowiek, urodzony w pierwszym dniu drugiego wieku, a który żył najdłużej z pomiędzy wszystkich ludzi przyszlých na świat w dzień jego urodzin.

W ten niesłychanie prosty sposób obliczano wiek za wiekiem. Obliczenia zaś te były tem łatwiejsze, a zarazem tem ścisłejsze, iż stwierdzeniem ich dokładności zajmowali się także uprzejmi bogowie, zaznaczając przełom każdego wieku jakimś wyraźnym znakiem oułownym, który rozlegał się wówczas z taką samą punktualnością w sekundzie dziejowego przełomu, z jaką dziś rozlega się strzał armatni, zwiastujący codziennie w niektórych miastach porę południową.

Otóż takich to wieków było ziemi pisanych dziesięć.

A gdy zaś nakoniec one dziesięć wieków minęły, strach padł na Etrurję. Złowrogie widmo „dnia płaczu i zgrzytania zębów“ zstąpiło między ludzi. Zeszła chwila powszechnej trwogi.

W szponach nieustannego lęku o życie, ciągłej niepewności jutra, szukali Etruskowie zapomnienia w uciechach światowych; sprawy publiczne zostały wykreślone z programu ich prac i zajęć. Zbytek i zabawy, teatry i cyrki, dla Petronjuszów sztuki piękne, miały być tam haszyszem dobroczynnym, któryby odurzył ich zmysły, odwiódł oczy, rozpaczą szeroko rozwarte, od ponurego obrazu grozących straszliwości.

A gdy jeszcze w dodatku jakowy nadprogramowy fenomen przyrody zakłócił normalny bieg zjawisk w naturze, gdy ognisty meteor zamachnął się ogonem na Etrurję, gdy ziemia dostała

dreszozów i trząść poczęła posadami ludzkich siedzib, gdy jaka nieostrożniejsza matka jakie monstrum bezkształtne niechęco powiła, wówczas upiór blizkiej zagłady nabierał krwi i ciała i jawił się ludziom tak wyraźnie i tak groźnie, iż zatopieni w rozkoszach i zabawach Etruskowie, rzucali z pośpiechem świat znikomych uciech i w panicznym strachu chronili się do świątyń, pod opiekę bogów. Widząc jednak, że i oni sami, że sami bogowie ze strachu swój pogański „Anioł Pański“ zębami wydzwaniana, schodzili do grobowców swych przodków i tam niedolę losu ludzkiego gorzko rozpamiętywali.

Z czasem — gdy groźne proroctwo się nie spełniło, ale wciąż jak miecz Damoklesa nad głowami żyjących wisiało, absorbując ich myśli, ich pragnienia i całą treść czynnego życia — z czasem owe medytacje przy grobach pomarłych ojców i dziadów weszły w krew pokoleń na zagładę skazanych, stały się potrzebą wylęknionej duszy narodu, stały się obyczajem. Tem też można sobie tłumaczyć tę szczególną pieczę, ten kult, jakim Etruskowie swe grobowce otaczali, budując nie groby zwyczajne, lecz rozległe, przestronne pomieszkania podziemne, podzielone na komnaty, przytrojone malowidłami, ozdobione drogocennymi rzezbami, wazami etc. Były one im bowiem kościołem rozpamiętywań, rodzajem cichego klasztoru, gdzie szukają schronienia ci, którzy się życia przelękli,

* * *

W mitologii klasycznej wiją się również nici wierzeń, wyprzędzonych ze wspólnej kolebki, lecz cieniuchne, jak siatka pajęczą i częstokroć poprzerywane.

Naród, żyjący w wiecznym weselu, upojony niewyczerpaną radością istnienia, jedyny naród w historii ludzkości, który stworzył poezję ziemskiego szczęścia, którego religia była apoteozą ziemskiego życia, naród taki nie chciał zajmować się kwestjami podobnie niemiłej natury, jak kwestja śmierci pięknego świata. A tem mniejszą ochotę ku temu mieli jego bogowie, którzy chcieli być nieśmiertelnymi. Nie myśli się o takich brzydkich rzeczach, gdy się mieszka na Olimpie, spija nektar i jada ambro-

zję, a sypia na białych piernatach i białych kolanach ładnych ziemianek.

To też ponure proroctwa szukają schronu w duszy człowieka, który cierpiał, dla którego nadzieja kary i zemsty za zgotowany mu los okrutny, była błogiem uczuciem odwetu. Prometeusz pociesza się i rozkoszuje tą wiarą, iż rządy jego kata są znikome, iż i Zeusa szczęście przeminie. Bo „przyjdzie dzień, że bóg bogów, którego duszę nienasycona wypełnia duma, mały stanie i pokorny. Spełni się klątwa ojea Saturna: „gromowładny zrzucon będzie ze swego tronu w niebiosach“. A owym mocarzem, który Zeusa pokona, będzie wielkolud, który potężniejszy płomiem wynajdzie, niż płomiem pioruna, z którego dłoni zagrzmia potężniejsze gromy, niż gromy Olimpijszuka. A wówczas strącony rozpozna „jak różna jest być panem a być niewolnym“!

Na takich ogólnikach zasadza się wiara greckiej mitologii w komeo świata. Nie może się poszczycić podobnie gruntowną znajomością odnośnych zagadnień, jaką posiadli Zoroaster, bramini i augurowie Egipejan i Etrusków. Wie tylko (lecz nie myśli o tem i nie chce o tem myśleć), iż panowanie Zeusa jest śmiertelne. Ale jaki będzie los ziemi podczas tej gigantycznej walki boga bogów z przepotężnym wielkoludem? jaki los rodzaju ludzkiego?

Z opracowaniem tych pytań spotykamy się w pracach filozofów Grecji i Rzymu. Po raz pierwszy zatem widzimy, jak zagadnienia, które dotychczas były wyłączną dzierzawą wiary i religiji, przechodzą na pole świeckiej nauki. Można jednak przyjąć za pewnik, iż owe pierwsze naukowe dySSERTACJE na temat egzystencji ziemi i jej przyszłości, znalazły swą pobudkę, swe źródło i swe zapłodnienie w wierzeniach zbudowanych na podkładzie religijnym.

Filozof Heraklit skazuje kulę ziemską na śmierć w płomieniach, Thules ją wodą zatapia a potem łaskawie wskrzesza. Platon skłania się na rzecz ognia, a za nim i stoicy widzą w ogniu ten żywioł, który świat o śmierć przyprawi. Prawią zaś tak mianowicie: Cały system gwiazd i planet wszechświata jest ogniem. Ów ogień pochłania bez przerwy pewną ilość pary wodnej, która z rzek i mórz wstaje. Skutkiem czego z czasem wypije on wszelką wodę,

jaką glob ziemski rozporządza. Gdy zaś zbraknie wody, zbraknie i powietrza, które się z wody rodzi. Zaczem nie pozostanie nic, jak ogień, który ziemię spali. Lecz ten ogień stoiczny będzie miał siłę twórczą, siłę płodną, gdyż z jego płomieni nowy świat powstanie (proroctwa bramańskie!)

Przepowiednia, zaopatrzona teraz takim fachowem „imprimatur“ współczesnej wiedzy, staje się z kolei przedmiotem fantazowania poetów.

Wirgiliusz w Georgikach oskarża słońce o to, iż kiedyś odmówi ziemi swych życiodajnych promieni i nocą wieczną wszechświat otuli. Zaś w ozwartej eklodze oczyma Sybilli widzi on drugi, nowy świat i nową rasę śmiertelnych, widzi nowy złoty wiek ludzkości pod niepodzielnymi rządami Apolla. Lukan ubolewa nad siedzibami ludzi, które w popiół będą obrócone. Lukrecjusz dowodzi Memiuszowi, iż świat, który ma swój początek, oczywiście musi mieć i swój koniec, tembardziej, że składa się ze substancji znikomych, ciągłą wojnę ze sobą toczących. Sam widok trzech podstawowych żywiołów, sam widok płynnej wody, stałej ziemi i lotnego powietrza starczyć musi za dowód, iż te tak zasadniczo odmienne elementy, nieustannie się wzajem za bary biorące, nie zdołają przetrzymać tych niszczących zapasów i że zatem „ta ciężka machina świata, która tyle wieków pozostała nietknięta“ nakoniec marnie zaginie.

Bujna wyobraźnia Owidjusza na Olimp przenosi całą wojenną naradę nad kwestją zaprzepaszczenia ziemi. Poczciwy Jowisz przychodzi nareszcie do przekonania, iż obecna rasa ludzka nie jest warta. Zwołuje więc nadzwyczajne posiedzenie bogów i zebrany krótko i wężowato oświadcza, iż postanowił ród człeczy do szczętu wyniszczyć. Takie gadanie boga bogów wielce się olimpijczykom nie podobało; wiadomo, że mieli serca miękkie i że każdy niemal z nich był przeróżnymi, bezbożnymi węzłami z mieszkańcami ziemi związany. Starają się więc słowami perswazji i prośby odwieść Gromowładnego od okrutnego zamysłu: malują mu żaloszny obraz ziemi, wdowy po swych dzieciach, przywołują mu widok pustych ołtarzy przed oczy i podkreślają trudności wykonania tak skomplikowanego przedsięwzięcia. Lecz Jowisz, jako

skąła niewzruszony, przestrzega tylko rajców niebieskich przed niedyskrecją, któraby mogła wzniecić niepożądany alarm między skazańcami i pociesza ich obietnicą powołania nowej rasy ludzkiej do życia, rasy o całe niebo doskonalszej od tej, która zagładzie ulegnie.

Jednak przestrogi i uwagi boskich doradców co do trudności wykonania zamierzonego dzieła nie przeszły bez wrażenia na Jowiszu; przypomniały mu groźną wyrocznię Przeznaczenia, zapowiadającą ruinę Olimpu i jego mieszkańców. Zmienia zatem swój plan, poprzedni, według którego ziemia miała być w ogniu spalona: taka nawałnica gromów, piorunów i pocisków ognistych z cyklopskiej kuźni gotowa wywołać jakie nieprzewidziane komplikacje, zdolne do podniesienia ręki na tego, który sam te niebezpieczne żywioły rozpętał. Zmienia więc ogień na wodę: nie od ognia i piorunów, lecz od wody, w falach potopu zginie człowiek i wszelkie stworzenie żyjące.

Na ogół zatem w świecie klasycznym religja mniej uwagi poświęca prorocत्वom Wschodu; roztrząsają je natomiast uczeni i fantazują na ich temat poeci. Oczywiście nie była to droga najprostsza, któraby owe mgły wschodnie mogły trafić do duszy ludu.

Dlatego też wiara w koniec świata u Greków i Rzymian miała charakter więcej teoretyczny, naukowy i literacki, a jako taka nigdy nie rozrosła się do rozmiarów widma, któreby wpływ na życie codzienne narodu wyrzeć mogło.

* * *

Jak każdy warsztat mytologiczny i warsztat legend każdego narodu wierzenia ze Wschodu wyniesione przerabiał na swoją modłę, naginając ich interpretację do zasad swej religji i charakteru narodowego, tak też i potomkowie Mojżesza przeprowadzili je przez szereg retort swego laboratorium przykazań.

Zasadniczym pierwiastkiem owych przeróbek, głównym rozczynem, który musiał wyrzeć decydujący wpływ na chemiczny proces dokonywanych przekształceń i wycisnąć swe piętno na no-

wem ciele, na rezultacie owego procesu przetwórczego, była nauka o nieśmiertelności duszy. Wobec niej nie mogła się przyjąć teoria bezwzględnej śmierci człowieka, jako że dusza zawsze i z wszelkich oparów będzie musiała wyjść cała i nietknięta.

Oczywiście, koniec świata, oglądany pod tak pocieszającym kątem widzenia, przy prawdziwej, głębokiej religijności narodu, a zwłaszcza przy ślepej jego uległości wobec wyroków z ręki Jehowy idących — oczywiście koniec świata w takiej atmosferze uczuciowej nie mógł wywierać tak potężnych wrażeń na umysły Żydów, nie mógł ich przejmować takim lękiem i taką bojaźnią, jaką napawał inne narody, nie cieszące się podobnymi gwarancjami i podobną opieką niebios.

Dopiero w czasie rozprzęgania się państwa żydowskiego, idącego w parze z rozluźnieniem się religji, umysły Izraela stają się podatniejsze na tem polu. Heretyckie innowacje Heroda, profanacyjny kult imperatora Augusta, wprowadzony do żydowskich świątyń, utrata niepodległości państwowej i szereg innych wypadków, które wstrząsnęły politycznem i religijnem życiem Izraelitów, ułatwiają drogę widmu i czynią duszę narodu dostępniejszą dla lęku jakie ono z sobą niesie.

* * *

Mahometanizm przyjmuje koniec świata za pewnik kategoriyczny. Nie zapuszcza się jednak w zawile kalkulacje rachunkowe nad czasem jego trwania, jak to czynili na przykład Egipcjanie, Etruskowie, bramani i Zoroaster, lecz zgodnie ze swą inklinacją ku obrazowemu wyrażaniu swych pojęć i wierzeń, tak prawi przez usta Mahometa.

Z pierwszym dniem istnienia świata Pan Bóg zbudował miasto. Owo miasto ma dwanaście tysięcy mil*) w obwodzie (dwanaście tysięcy! — kabalistyczna cyfra Zoroastra i bramanów) i dwanaście tysięcy bram. W każdej bramie jest zbudowany spichlerz,

*) Słowo „mila“ jest nieściśle. Mahomet używa określenia, odpowiadającego trzydziestu stadjom czyli czterem tysiącom kroków mniej więcej

który jest pełny zboża, przeznaczonego na wyżywienie jednego tylko ptaka, który każdego dnia jedno ziarno tylko bierze. Gdy zaś ów ptak zje wszystko zboże ze wszystkich dwunastu tysięcy spiehlerzy, wówczas nastąpi koniec świata. Dzień ten jednak jeno Bogu jest znany.

Mahometański koniec świata nie równa się jednak ostatecznej i nieodwołalnej zagładzie. Allah nie będzie gorszy od Ormuzda i Bramy; zniszczywszy świat obecny, postara się zaraz o drugi.

Uczniowie Mahometa nie zdołali się oprzeć pokusie fantastycznego komentowania przepowiedni swego proroka. Po długich a mozolnych poszukiwaniach odkryli znaki niezawodne, które koniec świata poprzedzą i zapowiedzą. Najniezawodniejszym z pomiędzy nich będzie pojawienie się Mahadiego, wielkiego kapłana, ostatniego imana z rodu Ali.

W ślad za tą oficjalną nauką o Mahadim poszedł szereg legerd nieoficjalnych, rozmaicie chwilię jego pojawienia się malujących.

Do ciekawych należy legenda perska, która opowiada, iż ów zapowiedziany Mahadi zawrze przymierze z prorokiem chrześcijan, Jezusem i że obaj viribus unitis zwalocząc będą złego (chrześcijańskiego Antychrysta?). Zakon Mahometa i zakon Chrystusa zawrą „święte przymierze“.

Owe przepowiednie pojawienia się Mahadiego były w historii Muzułmanów kilkakrotnie przez awanturników wyzyskiwane. Abulkassen Mohammed ben Abdallah zrobił na nich doskonały interes. Ogłosiwszy się za herolda zagłady świata i znalazłszy liczny zastęp zwolenników, zdobył sobie duży szmat ziemi i, zapomniawszy o końcu świata, założył własne państwo (około r. 1000 po Chr.) i dał początek dynastji Fodymidów.

Historja ostatniego Mahadiego z lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia należy już do zdarzeń współczesnych, jest znana.

Mimo tę urzędową naukę Mahometa o śmierci świata, świecka nauka arabska widziała kilku heretycznych filozofów, którzy dla urozmaicenia poważyli się twierdzić, iż glob ziemski jest wieczny (np. Averoes, Alfarabiusz i. i.). Natomiast filozof Hatteh, prawiąc o bycie globu ziemskiego, kończy swe wywody ma-

łoduszną uwagą, iż „najmądrzej jest nie zapuszczać się w te misterja, ponieważ żaden umysł ludzki nie potrafi ich przy pomocy filozofji odcyfrować“. Co za niefilozoficzny filozof!



Przypatrzmy się teraz jak wyglądają te kwestje w mytologii pogańskich narodów Półnoey w tych czasach, gdy na Południu chrześcijaństwo już się szerzyło. Jako przykład weźmiemy mytologję skandynawską, gdyż tam znajdziemy najwypuklejsze i najbardziej widoczne ślady wierzeń przyniesionych z Iranu.

Z rozpaczliwą jednostajnością należy zaraz z miejsca stwierdzić, iż i mytologja skandynawska także w śmierć świata wierzy. Gotuje mu jednak jeszcze straszniejsze tortury ostatniej godziny, niż Zoroaster i bramini.

Gdy ziemia osiągnie swój wiek przepisany i wejdzie w okres zgrzybiałej starości (barbarzyńscy mieszkańcy Półnoey nie bawili się w matematykę) wówczas surowa a nieustanna zima nawiedzi jej zniechęcone członki. Z kolei zjy Wilk, Fenrir, uwolni się ze swych łańcuchów, które go dotychczas nieszkodliwym światu czyniły i otwarty paszczę, przeleci kulę ziemską od końca do końca; z jego paszczy, a także z jego oczu i z jego nozdrzy buchać będą płomienie, które na całej ziemi pożary wzniosą.

Po śniegach i lodach nieustannej zimy, po pożodze ognia, wody oceanów wystąpią ze swych brzegów i spłyną bałwanami, wysokimi jak góry, na Bogu już tylko ducha winnego delinkwenta.

Lecz i na tem jeszcze nie koniec. Jako ostatni kat złego Przeznaczenia wąż Midgarda zesłiżnie się na ziemię i żygać będzie jadem przed siebie tak długo, aż zatruje powietrze i splugawi wodę. A gdy już zagłada globu będzie dokonana, wybuchnie walka między gigantami a bogami, w której obie strony wojujące wzajemnie się wyniszczą.

Żaden z mytów naśladowczych tak skrupulatnie nie pozbiierał wszystkich szczegółów tych wierzeń, na których się kształtował. Mamy tu zimę Zoroastra i ogień bramanów i walki gigantów

klasyzycznych; wąż Cesta poświęcił się jednak innemu zawodowi; zaś zły Wilk jest już w zupełności wynalazkiem oryginalnym.

I odrodzenie się świata również się powtarza. Lif i Lifthrasir, siła życia i córka słońca, cudem zdolawszy ująć wszystkim klęskom pogromu, dadzą początek nowemu życiu.

* * *

Pierwsze lata ery chrześcijańskiej spadły na świat zamiecią klęsk z ręki ludzkiej idących i kurzawą rozpetanych żywiołów ziemi, wody i ognia.

Ręka ludzka, to ramię surowego Tyberjusza, które puklerzem pana się słońca, krwią szerokie włości imperjum zbryzgała. Ręka ludzka, to zgraja rozbestwionych pretorjanów i katów Kaliguli, to Neron rozszalały, to mordercze wojny domowe, które po śmierci Nerona falami czerwonej krwi przelewały się od końca do końca rozległego cesarstwa Auzonów.

A gdy tak człowiek sam siebie na samobójczy pal zagłady nawlekał, rozpetane żywioły przyrody przyszły mu z pomocą w dziele wszechzniszczenia.

Błogosławione wody Nilu w bałwanach potopu, zatapiają kulturę Egiptu. Wzburzone morze jednym, potężnym żywiołem zarywa wielki szmat wybrzeża Azji mniejszej. Trąby i cyklony powietrzne zrównują wszystko z ziemią, co po „ręce ludzkiej“ ostało się jeszcze w Italji. Wezuwiusz, Pompejum i Herkulanum zasypuje. Trzydzieści tysięcy ludu ginie w Rzymie w szponach zarazy — w katuszach głodu i nędzy mrą dzieci urodzajnej ziemi.

W koło przesładowań wpleceni wyznawcy Chrystusa tem wrażliwiej, tem intensywniej odczuwali ona duszną atmosferę żywiołowych kataklizmów i bestjałskiego zdziczenia swych katów. Jedni z niepokojem, a drudzy ze słodką nadzieją poczynają grzebać w pismach ewangelistów, szukając tam odpowiedzi na dręczące ich pytania.

W ewangelji św. Mateusza, św. Marka i św. Łukasza znajdują następujące słowa¹⁾ Jezusa Chrystusa:

¹⁾ Ponieważ bibliji polskiej nie miałem do dyspozycji, przeto cytowane ustępy będą tłumaczeniem, dokonaniem nieudolnie przezemnie sa-

„A skoro pogłosy wojen posłyszycie, baccie, byście się nie zatrwożyli, jako że trzeba, iżby rzeczy te nadeszły. Albowiem nie będzie to jeszcze koniec... Przyjdzie głód i zaraza i trzęsienie ziemi w różnych miejscach, atoli wszystko to będzie dopiero początkiem boleści... Rzeczy straszne się okażą (rozumieć należy: wówczas, gdy koniec będzie miał nadejść) rzeczy straszne się okażą i wielkie znaki na niebie!“

A więc to jeszcze nie to?! To dopiero początek boleści?!
Lecz gdy się z kolei i straszne rzeczy i wielkie znaki na niebie pojawiły, gdy pewnego ranka słońce nie weszło, a pewnego wieczoru księżyc krwią zaszedł, gdy po stropie błękitnym ognisty kometa przeleciał, wówczas jasne gromadce Chrystusa się stało, iż chwila agonji zesła na ziemię.

Niechaj się modli, kto się modlić może! wołano wielkim głosem od ołtarzy. Niechaj się modli, kto się modlić może! powtarzał każdy, kto się znakiem ryby pieczętował.

* * *

W tym okresie powszechnego „memento mori“ św. Jan pisze swą Apokalipsę, objawienie, które braciom w Chrystusie światłem z niebios zesłaniem miało poświecić.

Objawienie św. Jana nie było zupełnie nową formą w literaturze teologicznej. Ezechiel był pierwszym na tej niwie mistycznego piśmiennictwa. Za nim Zachariasz i Daniel rozwijają ów rodzaj proroczego nauczania, w którym przez usta pisarza przemawia słowo boskie, zesłane mu cudownym sposobem w chwili wizyjnego jasnowiedzenia.

Właściwą treścią Apokalipsy jest przepowiednia upadku Rzymu. Pan Jezus przepowiedział był upadek Jerozolimy i przepowiednię spełnił, a teraz przez usta św. Jana przepowiada koniec Rzymu. Jednak na owym proroczym obrusie scena zagłady znieprawionej metropolji świata, scena, na której znać pędzel Jeremiasza złowróżącego Jerozolimie i farby Ezechiela malującego ruiny Tyru — zlewa się z wizjami tryumfu kościoła i jego wiernych wy-

mego z biblij włoskiej. Jednakowoż sens — spodziewam się — nie będzie spaczony.



znawców, jakoteż z widziadłami powszechnej ruiny ziemskiego globu. Z pomiędzy radosnych barw, oddających majestat Boga Jego chwałę, potęgę i świętość, oddających to, czego oko nie widać, ani ucho nie słyszało, ani umysł ludzki ogarnąć nie zdoła, z pomiędzy pogodnych linii, kreszących opatrnościową dobroć ręki boskiej, czuwającej nad losami kościoła i wiernych, wycierają ponure plamy dnia ostatecznego, na którym sprawiedliwość boża straszny sąd nad śmiertelnymi sprawować będzie, na którym aniołowie krwawe Jego będą wykonywać wyroki. Sceny surowości boskiej zakłęte są w słowa niesłychanie mściwe i bezlitosne.

A z mrocznych głębi płótna wychylają się zatarte i przynaglone, ale niemniej w swej groźnej zagadkowości ponure obrazy końca świata. Znać w nich malarską szkołę Iranu, znać wpływ odwiecznych gawęd proroczych, które niegdyś nieznaną Usta ludzkości nad kołyską opowiadały. Najprawdopodobniej przemyślała je pomiędzy chrześcijany nauka żydowska, która z jednej strony w najbliższym z nimi kontakcie pozostawała, a z drugiej strony znacznie wcześniej była je poznała i znacznie wcześniej do zakonu swej religii przystosowała.

Apokalipsa św. Jana wywarła głęboki wpływ na współczesne i późniejsze walki. Czytano ją od ołtarza i objaśniano wiernym, że koniec świata jeszcze nie dziś nastąpi, lecz że natomiast Rzym, nieprzejednany wróg chrześcijaństwa zginie z karzącej ręki boskiej.

W ślad za tą popularnością świętego dzieła poszły liczne komentarze, pisane przez mędrców kościoła, lecz poszły rozbieżnymi drogami. Symbole i przenośnie, z których (i z nich tylko!) składała się Apokalipsa, poczęto w najrozmaitsze, częstokroć sprzeczne sposoby interpretować. Na tle też tych interpretacji powstały liczne szkoły i sekty.

* * *

Do takich szkół należy między innymi szkoła tysiączników, która wierzyła w ziemskie panowanie Chrystusa i w ziemskie szczęście Jego wyznawców.

Za punkt wyjścia dla ich wywodów posłużył im ustęp XX. rozdziału Apokalipsy, który tak prawi¹⁾:

„Widziałem Anioła zstępującego z nieba, który miał w ręku klucz od otchłani i wielki łańcuch. Anioł ten chwycił smoka w moc swoją, dawnego węża, który jest djabeł i związał go na tysiąc lat. I wtrącił go w otchłań, zamknął tam i pieczęć przyłożył, aby nie kusił narodów dopóty, dopóki tysiąc lat się nie spełni. Po tysiącu lat zaś będzie z więzów uwolniony... Zaczem wyjdzie z więzienia i zwiedzie na pokuszenie narody, które mieszkają na czterech krańcach świata. Goga i Magoga i zgromadzi je do walki. Ilosć ich będzie się równać ilości piasku w morzu. I rozjdą się po powierzchni ziemi, otoczą obóz świętych i miasto ukochane. Atoli Pan Bóg zesle ogień z nieba, który ich pochłonie. A djabeł, który ich skusił, w jezioro ognia i siarki będzie strącony, gdzie bestja wraz z fałszywym prorokiem będzie dniem i nocą na wieki wieków dręczona“.

Otóż na tych i na innych jeszcze słowach Apokalipsy się opierając, jakoteż na proroctwach Izajasza i Ezechiela, tysiącznicy doszli do następujących wniosków:

Po przyjściu Antychrysta, gdy ludy złożą jasną i niedwuznaczną deklarację wyznaniową, na którą stronę się skłaniają, na stronę Chrystusa czy Antychrysta, Chrystus zstąpi na ziemię, uwięzi djabła i rzuci go w przepaść na lat tysiąc. Poczem wskrzesi ciała tych zmarłych, którzy sprawiedliwie swój żywot ziemski spędzili, odbuduje Jerozolimę i jej świątynie i zamieszka w niej wraz ze wskrzeszonymi Sprawiedliwymi i tymi ze współcześnie właśnie żyjących, którzy się pokusom Antychrysta byli oparli.

Ów tysiącletni pobyt Chrystusa w Jerozolimie będzie okresem ziemskiego Jego panowania i epoką ziemskiego szczęścia dla Jego wyznawców.

Zerując niezmordowanie po mateczniku apokaliptycznych zagadek i symbolów, coraz ściślej i konkretniej szeregami wzbogacali swą naukę. Zdołali naprzykład z czasem wykalkulować pomiary obwodu odbudowania Jerozolimy (mury tego ma-

¹⁾ Identyczna jak wyżej uwaga co do tłumaczenia cytowanego ustępu.

sta wzniosą zwolennicy Antychrysta własnymi rękami) a nawet wyznaczyć dokładnie punkty, w których przyszłe świątynie staną. Nie omieszkali też oczywiście odmalować obrazu owych tysiącletnich ziemskich rozkoszy: szczęśliwi mieszkańcy Chrystusowej Jerozolimy na nieprzerwanych ucztach i biesiadach czas swój będą przepędzać, w ramionach niebiańsko pięknych kobiet nektarów miłości zażywać, w złocie i srebrze chodzić, a ofiary antychrystowych fałszów, w ich niewolników przemienione, na nich pracować i im służyć będą.

A gdy przeminie owych tysiąc lat szczęścia, rozkoszy i wesela, Szatan z więzów wyzwolony zostanie, usidli dzikich Soytów i inne na czterech krańcach świata mieszkające ludy i na ich czele wyruszy na zdobycie Jerozolimy. Atoli wówczas Pan Bóg ogień na kulę ziemską zesle, który świat cały pochłonie i tych, którzy się przeciw Niemu zbuntowali. Po tej zagładzie globu ziemskiego nastąpi Sąd ostateczny; źli pójdą w ogień wieczny i potępienie, a dawni mieszkańcy Jerozolimy wejdą do królestwa niebieskiego na wieczny żywot Aniołów.

Tak więc tysiącznicy wierzyli w dwukrotne wskrzeszenie sprawiedliwych i w dwukrotną nagrodę: nagrodę ziemską w tysiącletniem królestwie Chrystusa w Jerozolimie i nagrodę niebieską po Sądzie ostatecznym.

Analogie między powyższymi wierzeniami tysiączników a pierwotnymi legendami religji Wedy, których rozwój w mazdeizmie, bramanizmie, w religji Egipcjan, Greków i Izraelitów śledziliśmy — są tak w oczy bijące, iż szczegółowe ich podkreślanie byłoby zgoła zbędne.

* * *

Nauka heretyckiej sekty w pierwszych czasach chrześcijaństwa bardzo bujnie się była przyjęła. Od II-go do V-go wieku tak była w Kościele zakorzeniona, iż długi czas nawet ci teologowie, którzy na nią się nie godzili, ograniczali się jedynie do zbijania szczegółów i poszczególnych punktów, zdecydowanie jednak przeciw jej treści nie występując. Tak np. sam św. Augustyn, który w późniejszym swem życiu z całym ferworem przeciw sekcie był wystąpił, początkowo jedynie ideję czysto ludzkich, zmysłowych

rozkoszy w królestwie jerozolimskim potępiał. Podobnie św. Tertuljan.

W miarę jednak jak Kościół z prześladowanego zmieniał się w panujący, ilość przeciwników wzrastać zaczęła. Z końcem V-go wieku tysiącznicy tracą zupełnie grunt pod nogami.

Nie traci jednak swego wpływu i swego znaczenia sama Apokalipsa. Wechodzi w Nowy Testament i pozostaje nadal bogatym źródłem do studjów, wykładów i interpretacji. W VI-ym, VII-ym i VIII-ym wieku po Chrystusie nieprzerwanie pęcznieje biblioteka skryptów i foljałów, zajmujących się komentowaniem objawienia. Dla odmiany jednak Antychryst dostaje się obecnie pod skalpel domyślników i hipotez i staje się ulubionym tematem łami-główkowych rozpraw i dySSERTacji.

Jak swego czasu tysiącznicy zdołali byli tak dokładnie prze-patrzeć zawily sens apokaliptycznych symbolów, iż doszli byli nawet, gdzie ona wyśniona Jerozolima stanie i jak będzie wyglądać, tak teraz odkryto w sposób najniezawodniejszy istotę, życie i charakter Antychrysta.

I tak np. ustalono (ksiądz Adson w swym traktacie z 954 r.) iż urodzi się w Babilonji a zaś wychowan będzie w Betsajdzie; że w trzydziestym roku swego życia oblegnie Jerozolimę Chrystusową i przez trzy lata po ziemi srożyć się będzie.

Jedynie kwestja kiedy się urodzi pozostała kwestją sporną.

* * *

W miarę jednak jak wskazówka czasu ku tajemniczej ty-siączce się zbliżała, coraz powszechniejszą stawała się wiara, iż właśnie w tym czasie Antychryst się pojawi i że z chwilą gdy ostatnie ziarnko piasku w zegarze starego wieku się przesypie, wraz z niem i koniec świata nastąpi. Zapomniano już o bredniach ziemskiego królestwa Sprawiedliwych i pojawienie się Antychrysta łączono wprost i bezpośrednio z końcem świata.

Trafnie można przyjąć, że sama apokaliptyczność zagadkowej i mistycznej cyfry 1000, w objawieniu się

nieustannie powtarzająca, wywarła pewien jakby hipnotyczny wpływ na mózgi uczonych i teologów, zajmujących się interpretowaniem przepowiedni św. Jana.

Silniejszym jednak może jeszcze motywem, motywem przyrodzonym, który zwrócił umysły ówczesnych mężów nauki ku owej przełomowej chwili końca wieku i skłonił ich do szukania tam znaków, wymaganych przez współczesną wiedzę, jako zapowiedzi pojawienia się Antychrysta a temsamem zapowiedzi końca świata — był szereg klęsk elementarnych i opłakany stan obyczajów w społeczeństwie.

Jak w pierwszych latach ery chrześcijańskiej niezwykajne kataklizmy żywiołowe i zwierzęce rozwydrzenie dzikich instynktów społeczeństwa rzymskiego przywołały były klasom udręczonym widmo zagłady świata przed oczy, tak też i teraz, w tysiąc lat później, drogą podobnego kojarzenia się wyobrażeń odwieczna zhora na widowię dziejów powraca. Jeno pojawienie się jej obecne staje się tem wyrazistsze, tem uchwytniejsze, tem realniejsze i konkretniejsze, o ile dusza średniowieczna kształcona w szkole abstrakcyjności i karmiona religijnym mistycyzmem, skłonna do życia wizyjnego, do magji i do zabobonu była bardziej podatną do dawania posłuchu i wiary podobnym tajemniczym, hipnotyzującym proctwom i o ile same te proctwa, poparte autorytetem mężów kościoła i uczonych, podsycane pismami świeckimi i teologicznymi i propagowane żywym słowem, nabierały wyrazistości i zyskiwały na prawdopodobieństwie.

Celem lepszego zrozumienia nastroju ówczesnego społeczeństwa, nastroju, który nam wytłumaczy, dlaczego w tym właśnie okresie czasu widmo iranowej legendy tak wysoce podatną i urodzajną głębię dla swego zasiewu znalazło — przypomnę czytelnikowi pokrótce wygląd historyczny i stan kulturalny Europy u schyłku pierwszego tysiąclecia ery chrześcijańskiej.

* * *

Olbrzymie cesarstwo Europy zachodniej, imperjum Karola Wielkiego traktem w Verdun 843 r. rozpada się na trzy wielkie państwa: Francję, Italię i Niemcy. Po śmierci Karola Grubego

następuje dalsze rozczłonkowanie: powstaje siedm państw samodzielnych: Francja, Nawara, obie Burgundje, L taryngja, Włochy i Niemcy. Rozkładowa fermentacja, nie poprzestając jednak na tem, kontynuuje dalej swą pracę działkową. Z końcem IX w. sama Francja np. liczy już 29 drobnych państweczek, rządzonych przez książąt, hrabiów, wicehrabiów, markizów etc. nominalnie podległych władzy centralnej, faktycznie prawie zupełnie niezawisłych.

Na tym procesie decentralizacji władzy naczelnej opiera się rozwój systemu feudalnego, który pod koniec pierwszego tysiąclecia staje się podstawą ustroju politycznego i socjalnego.

Co pięćdziesiąt ziem, to oddzielne państewko swawoli i barbarzyństwa. W każdym państewku obronny gród z surowych kłód drzewa i zwalów kamieni. A każdy gród (niemiecki „burg“, włoski „castello“, francuski „donjon“) wybudowany rękami poddanych, którym miał dawać schronienie przed nieprzyjacielem zewnętrznym, z azylu przemienia się z wolna w gniazda łupieży. Bo pan grodu, władca życia i śmierci, to nie tylko najwyższy sędzia na swem terytorjum, ale i rabuś najwyższy; to pół-dziki mąż wojny i zwady, który w braku wroga-najeźdźcy lub sąsiada-niecnoty, łupi i grabi bezbronnych, bądź swoich, bądź cudzych poddanych.

Marnieje rolnik, przykuty do taczek niewolnej pracy, chudnie mieszczanin w dybach podatków, danin i wszelakich pańskich nadużyć, ubożeje kupiec, któremu rzeki celnymi śluzami, drogi mytowemi rogatkami pozamykano, a którego towar staje się szczególnie poszukiwaną zwierzyną. Wśród wynędzniałego chłopstwa, zubożalego i zahukanego mieszczaństwa i złupionego kupiectwa oddycha jeno pan feudalny i żyją wesolo jęgo krwawe pacholki.

Kościół przystosowuje się cudownie do tych warunków życia społecznego. Kler wyższy, arcybiskupi, biskupi, opaci, wszystko członkowie kasty panującej, równie dobrze wojują i grabią, jak ich świeccy kuzyni. Notabene, o ile są mężami dorosłymi, o ile nie są dziećmi cztero, pięcioletnimi, ubranemi w purpurę i osadzonemi z pastorałem w piątce na stolicach duchownych.

Nie w tem zrosztą dziwnego, skoro i na stolicy apostolskiej

zasiadają młodzieniaszkowie, którym wąsy żadnych jeszcze turbacji nie sprawiają.

Duchowieństwo niższych stopni, pogrążone w ciemnocie, dostrajając się w miarę sił do swych przełożonych, wzajemnymi walkami i zajazdami zbrojnymi, pojedynkami, zorganizowanymi rokoszami przeciw wyższej władzy kościelnej, pijatyką, grą w kości i miłostkami wypełnia swe obowiązki pasterskie.

Jedynie kilka monasterów i klasztorów (Cluny we Francji, Monte Cassino we Włoszech) ostało się przed powszechnym zalewem społecznego i moralnego rozstroju. W ich cichych murach wstydliwie, w ukryciu i w pogardzie świata przechowywały się nadszczerbione szczytki dorobku starych cywilizacji, przechowywało się słowo Boże, wegetowała nauka i sztuka.

Stan intelektualny szedł w parze ze stanem moralnym. Czytanie i pisanie było sztuką nie tylko zupełnie obcą, lecz niepomiernie pogardzaną. (Król francuski Ludwik d'Outremer palcem wytykał hr. Anjou i zanosił się od śmiechu — opowiada kronika współczesna — zaskoczywszy go raz z nienacka na czytaniu ksiąg kościelnych). Mnisi, jak dziś fałszerze monet, musieli się ze swymi pracami naukowymi przed okiem świata ukrywać, jako że wiedza, wybiegająca ponad poziom przeciętnych wspólnych ogółowi wiadomości, uchodziła za nabytek w spółce z djabłem zdobyty i mogła snadnie niepożądane przynieść owoce: posądzenie o czary i spalenie na stosie.

W takie społeczeństwo, społeczeństwo, któremu wampir brutalnej przemocy dobrobyt materialny, poczucie osobistego bezpieczeństwa wszelkie soki życia wysssało, a robak ciemnoty mózg stoczył, w społeczeństwo, dla którego zabobny i przesąd stały się jedynym pokarmem duchowym — w takie społeczeństwo wkradają się wiedźmowe bajki o blizkim końcu świata, wdzierają się proroctwa o rychłej zagładzie ziemi.

A trop w trop za tymi widomymi głosey idą „znaki“, oczekiwane i przepowiedziane znaki, niechybną prawdę proroctwa stwierdzające. Na domiar krwawych walk domowych, zatargów sąsiednich między feudalnymi panami, na domiar łupieży ze strony domorośłych rabusiów, idzie grabież najeźdźców.

Do zachodnich brzegów Europy zawijają smocze barki Normanów¹ morskich piratów Północy, na wybrzeżach morza Śródziemnego Saraceni sierpem półksiężyca koszą życie i mienie niewiernych giarurów Południa, wreszcie od Wschodu Węgrzy, których zagony współczesni kronikarze straszniejszymi od pochodów Attyli mienia, łuną pożarów rozpalają nieba niemieckie i pogodny błękit Francji.

W ślad za temi klęskami wybuchają rewolty chłopów, najkrwawsze w Piemontcie i w północnej Francji 997 r. Nędzą i uciskiem do ostatnich granic rozpaczy doprowadzeni, zbierają się po lasach i puszczach, by stamtąd zbrojnemi kupami wypadać i za niewolę, za głód i za kajdany okrutną zemstą bestjalskiego rozbestwienia odpowiadać.

I zda się, jakby te rozhukane fale zwierzęcych instynktów człowieka rozpętały wszelkie potęgi zniszczenia, drzemające w przyrodzie. Gleba, stopą zbrojnego męża spustoszona, kopytami końskimi stratowana, rąk ludzkich do uprawy pozbawiona, to gradem zbita, to wylewami rzek splukana, to posuchą spalona — przestaje rodzić. Pomór głodu schodzi na całą Europę zachodnią. Nie do wiary dziwy opowiadają kroniki z owych czasów o tej klęsce. Całe wsie i osady w kilku dniach w kurczach mąk głodowych wymierały. Nędza doprowadza do ludożerstwa. I nie są to sporadyczne wypadki kannibalizmu, lecz krwawy proceder, który przybiera wszelkie ochy stałego zwyrodnienia. Sasiad rzuca się na sąsiada, a który z nich w walce o żywe mięso padnie, staje się łupem zwycięzcy, lub oba trupy żerem trzeciego. Ojcowie dobijają własne dzieci, z głodu zamierające po drogach, po polach i lasach czyhają bandy wygłodzonych szkieletów, a kto im w ręce wpadnie, idzie w kły ludzi-zwierząt. A gdy z czasem ów sposób zdobywania sobie pożywienia coraz trudniejszy się stawał, jako że ludzie wzajem się jak wilków strzegli, przyszła kolej na trupy, które z cmentarnych grobów wykopywano i pożerano.

Za głodem wloką się choroby i zarazy. Straszną zwłaszcza była zaraza, która nawiedziła była północną Italię i południową Francję. Współczesne świadectwa piszą, iż ciała nieszczęśliwych, dotkniętych tą zarazą, pokrywało się ranami, które ogniem gerączki

sycone, dopalały się aż do kości; poczem tak zżarte mięso za życia jeszcze kawałami i płachtami odpadało. Kroniki podają cyfrę ludzi zmarłych w ten sposób w jednej tylko Akwitanji (księstwie połud. Francji) w jednym tylko roku 994-ym na 40.000!

A jako godne finale tych wszystkich z ręki boskiej i ludzkiej idących okropności, zjawiają się nad przyrodzone znaki, owe apokaliptyczne „straszne rzeczy“, które koniec świata nieomylnie miały zwiastować. List arcybiskupa Gauzlin z Bourges¹⁾ opowiada o deszczu krwawym, który spadł był w południowej Francji, a którego krople wygryzły były ni-żem niestarte płamy na drzewach, budynkach, ubraniach ludzkich etc. Z północy przychodzi wieść potworna, iż pewnego dnia w miejsce jednego trzy słońca równej wielkości i siły r ukiem na niebo zeszyły a te-że no-ży z księżycą krew kapala. W tym a tym kościole wszystkie świece nagle z własnej inicjatywy zapłonęły, w innym same podczas nabożeństwa zgasały. W pewnym mieście Włoch środkowych widziano, jak podczas srogiej burzy ogniem ziejący rycerz-smok zstąpił z nieba z całym aparatem gromów i błyskawic i płomieniem mieczem w wieżę kościoła uderzywszy, ni-ży makówkę odciął ją od podstawy; poczem jak oszalały począł się miotać pomiędzy zabudowaniami miasta, tu mury, tam przyzby, ówdzie dachy rozwalając. Na taką wieść mieszkańcy Brindisi nie jednego rycerza, lecz całą armię ognistych wojaków, staczających zażarte boje w powietrznych przestworach zobaczyli.

Nie zaniedbały też swych zadań i komety ogoniaste i gwiazdy cudaczne a latające, i pioruny z pogodnego nieba i deszcze bez ohmur etc.

Czyż można zatem się dziwić, że mózgi ciemne, z natury rzeczy przesądom przystępne, że ciała tak ciężko wszelakimi kłaskami dręczone, że dusze otumanione prorocत्वami i przepowiedniami, zasugerowane widokiem potwornych „znaków“, uległy biernie owej fali zabobonu, która z orkanową siłą, przyrodzonemi i nadprzyrodzonemi drogami w lękiem i trwogą zahukane społeczeństwo się wdzierala?

* * *

¹⁾ Recueil des historiens des Gaules et de la France, t. X.

Jakoż nigdy jeszcze, w żadnym z minionych okresów historii, ludzkość tak nisko, z takim fatalistycznym zaślepieniem, a zarazem z taką trwogą — z taką poddańczą rezygnacją a zarazem w takim panieznym strachu nie pochyliła była głowy przed tryumfalnym pochodem zgrzybiałego, czterysty tysiące lat liczącego już widma. Wszysoy niemal kronikarze współcześni, notując różnorodnie dziwy i potworności natury, klęski elementarne i objawy zezwierzęcenia ludzkiego, wszysoy jednogodnie dają wyraz powszechnie żywionym obawom.

Wilhelm Godel, mnich z Limoges, uważa zdobycie Jerozolimy (o ozem pogłoski krążyć poczynaly) za najbardziej ze wszystkich wymowny dowód zbliżającego się końca świata. Annalista Saxo¹⁾ wszelkie okropności wieku za rzeczy zgola zrozumiałe po czytuje, skoro Apokalypsa św. Jana czarno na białem je przepowiedziała. Francuski kronikarz Raul Glaber w naukowe dySSERTacje się zapuszcza i wyklada, że takie niegodziwe powikłanie się praw przyrody i zasad porządku światowego, jakiego współcześni byli świadkami, do zupełnej anarchji żywiołów musi doprowadzić; ta anarchja zaś żywiołów, to właśnie ów „dzień płaczu i zgrzytania zębów“.

Jak głęboko, a przedewszystkiem jak powszechnie lęk przed owym *dies irae, dies calamitatis et miseriae* wgryzł się był w szpik schyłkowoów pierwszego tysiąclecia, świadezą nader wymownie akty i dokumenty państwowe i prywatne, stale od następującej formułki się rozpoczynające: „*Appropinquante etenim mundi termino et ruinis crescentibus*“... „Wobec nadchodzącego końca świata i wzmagających się ruin“... Owa formułka jest tak powszechnie używana, jak np. „Ja, niżej podpisany...“ albo w wyroku sędziowskim: „W imieniu Jego królewskiej mości, króla z woli Boga i narodu...“ — z czasem zaś tak wkorzenionym i w szablony przeszłym wstępem, że długo jeszcze, już po roku tysięcznym, mimo,

¹⁾ Kronika niemiecka, opublikowana w VI-ym tomie dzieła: „*Monumenta germanicae Historiae*“.

że obawy przed końcem świata zupełnie już były z wypogodzonego horyzontu znikły — długo jeszcze pracowite «kryby na czole aktów malowały kabalistyczne słowa: *Appropinquante etenim mundi terminio* etc.

W miarę jak lata a potem miesiące i dni e godziny, wreszcie w coraz to wyraźniejszych barwach zbliżały obraz dnia ostatecznego, wzmagały się dreszcze zimowego strachu, wstrząsającego wylęknioną trzodą ludzką.

„Les hommes mirent le glaive dans le fourreau, tremblants eux-mêmes sous le glaive de Dieu. Ce n'était plus la peine de se battre ni de faire la guerre pour cette terre maudite, qu'on allait quitter. Des vengeance, on n'en avait plus besoin; chacun voyait bien, que son ennemi, comme lui-même, avait peu a vivre¹⁾.“

Zbójcze żelazo i lemiesz kmieci i łokieć kupiecki idą w rupień.

„Niechaj się modli, kto się modlić może!“ płynie z kazalnicy i od ołtarzy. „Niechaj się modli, kto się modlić może!“ — powtarzają skazańcy.

Aż wreszcie — wreszcie nadchodzi dzień Sądu, nadchodzi Tysiączny!

„Pierwszy dzień tysiącznego roku od chwili zbawczego porodu Najświętszej Panny — wykrzykuje rankiem Thietmar z błogiem zdziwieniem — zeszedł na świat pełną blasków i zgody jutrzeńką!²⁾“

Miasto ognia i siarki i bestji apokaliptycznych — słońce!! Miasto dymów pożogi, i swędu spalenizny — słońce!! Miasto śmierci — Życie!!

Zerwał się człowiek ze snu ohydneho; odbiegły go mary

¹⁾ Ludzie włożyli miecz do pochwy, drząc sami przed mieczem Boga. Nie warto było im się bić ni wojen prowadzić za tę ziemię przeklętą, którą miało się opuścić. I zemsty nikt nie pragnął, skoro jasno widział, że i wrogowi jego, jak jemu samemu, mało do życia pozostaje. Michelet: *Histoire de France* 1872. T. II.

²⁾ Thietmar de Merseburg: *Annales sui temporis* (Patrz: *Monumenta Germaniae* t. V.)

trwogi i kajdany zabobonu z chrzestem zeń opadły. Zerwał się do pracy!.. na życie!.. na słońce!!

* * *

Różnica między wiekiem dziesiątym a wiekiem jedenastym jest tak gwałtowna i tak zasadnicza, jak gdyby to nie dwie ze sobą sąsiadujące epoki, lecz dwa długimi laty kulturalnej pracy odgradzone były okresy.

„Pokój Boży“, którego myśl zrodziła się na progu kościoła, był jedną z najdonioślejszych zdobyczy nowego wieku. Od środy wieczora aż do wschodu słońca w poniedziałek nie wolno żadnemu chrześcijaninowi pod grozą klątwy podnieść broni przeciw swemu bliźniemu. Z czasem rozszerzono jeszcze okres dni bezkrwawych na pewne święta i posty i wprowadzono zasadę nietykalności miejsce służbie Bożej poświęconych, które w ten sposób stały się azylami dla słabych i bezbronnych.

Z łągodnieniem barbarzyńskich obyczajów intensywnieje życie umysłowe. Najbardziej uderzający jest rozwój architektury. Jak wiek XIX. nazywają wiekiem wynalazków, tak wiek XI. można nazwać wiekiem budownictwa.

Do XI-gó wieku panował w architekturze styl łaciński. Narody Europy, które pierwsze przyjęły były naukę Chrystusową nie zdobyły się na stworzenie stylu oryginalnego: przyjęły puściznę sztuki greckiej i rzymskiej. Ponieważ jednak świątynie pogańskiego Rzymu nie odpowiadały swym rozkładem wymaganiom kultu chrześcijańskiego (obrzędy pogańskie odbywały się na zewnątrz świątyń, pod kolumnadą wzdłuż gmachu biegnącą — podczas gdy nabożeństwo chrześcijańskie wewnątrz świątyni), przeto przysposobiono do swych potrzeb nie świątynie, lecz budowle świeckie świata klasycznego, zwłaszcza bazyliki, to znaczy giełdy, apelując ponadto o natchnienie do synagog żydowskich. Na tych przesłach tradycji wytworzył się tak zwany styl łaciński.

Na zasadach tego pseudostylu powstają w pierwszych wiekach nowej ery ubogie kościoły i kaplice, prawie wyłącznie w drzewie

budowane. Oczywiście nieodporne budowle ulegały łatwo zniszczeniu. Jednakowoż pod koniec pierwszego tysiąclecia nikt o odrestaurowaniu walących się lub o odbudowaniu spalonych i zburzonych mieszkań boskich nie myślał. Po co trudzić się pracą podobną wobec blizkiego końca wszystkiego?!

Dopiero w XI-tym wieku społeczeństwo, wyswobodzone z łańcuchów odrętwienia i zdjęte uczuciem wdzięczności dla Tego, który mu życie darował, z zapalem skazańca na szafocie ulaskawionego rzuciło się do naprawy dawnych grzechów, wobec miłosiernego Stwórcy. Doświadczenie jednak pouczyło, że dotychczasowy system budowy jest niepraktyczny, że świątynie na zasadzie dotychczasowych prawideł wzniesione są nietrwałe i nieodporne tak na zamachy burzącej ręki ludzkiej jakoteż i na szturmy żywiołów przyrody. Pragnienie uczczenia łaskawego Stwórcy wspierał się zarazem trwałszymi dziełami naprowadziło architektów na myśl sklepienia świątyń. Radość więc i wdzięczność są moralnym niejako motywem powstania nowego stylu. Istotnie też przeważną część historyków architektury uważa właśnie oną resurekcję duszy społeczeństwa po rozwianiu się widma końca świata jakoteż owo gorące pragnienie wyrażenia swego dziękczynienia Bogu za właściwe, duchowe motywy narodzin nowego stylu.

Równocześnie innowacja, wprowadzająca sklepienie w konstrukcję nowych budowli (krytych dotychczas płaskim, drewnianym dachem) jest znowu takimże technicznym motywem. Ciężkie bowiem sklepienie, pracę z siłą na podpierające je ściany, wymagało wzmocnienia i odmiennego rozstawienia całego korpusu podstawowego. Ta innowacja zasadniczo musiała więc pociągnąć za sobą cały szereg mniej i więcej ważnych zmian w systemie budownictwa, które razem złożyły się na nowy styl — styl romański.

„Wnet po roku tysięcznym — notuje kronika włoska — odbudowano kościoły prawie na całym świecie, a szczególnie w Italji i Galji... Narody chrześcijańskie zdają się iść w zawody hojności... Zdaje się jakby cały Świat jednogłośnie zapragnął przystroić się w białe sukienki kościołów“.

Atoli nie tylko na polu architektury — również na łanie nauk i literatury wiek jedenasty wykazuje niezwykłe zasoby siły życiowej.

Tak więc widmowy *dies irae*, sprawca niemocy duchowej — upadku moralnego w dziesiątym wieku — w konsekwencjach swych przeradza się w czynnik postępu i odrodzenia.

* * *

A teraz — czy rok tysięczny był świadkiem jego ostatniego gościnnego występu na deskach sceny świata? Nie, nieśmiertelny arlekin kilkakrotnie jeszcze próbował odzyskać swą dawną władzę tyrańską nad ludzkością. Atoli śfelieźni już tylko na lep mu idą. Porażki jednakowoż nie zrażają starego komedjanta: wierzy w swą gwiazdę i czeka swej chwili.

Za taką „swoją“ chwilę uważał był okres reformacji.

„Powrót do biblii, głęboka wiara w jej natchnienie nadprzyrodzone, namiętne walki przeciw rzymskiemu Antychrystowi, srogie prześladowanie, jakie znosili pierwsi protestanci — to wszystko razem popohnęło pewną liczbę z pomiędzy nich w ramiona apokaliptycznych spekulacji¹⁾“. Zwłaszcza pomiędzy Anabaptystami nabrała Apokalypsa na grunt żyzny i podatny.

A jak niegdys pierwszych tysięczników, tak teraz wielu z pomiędzy pisarzy protestanckich zawiodło Andjata Objawienia w labirynty prorocstw i znaków, hipotez i pewników o końcu świata a nawet w kręte zaułki fantastycznych rojeń o ziemskim królestwie Chrystusa i ziemskim, tysięcznym raju dla Sprawiedliwych.

Atoli wywody te nie wywędrowały już zbyt daleko po za progi domostw nowej szkoły. Szeroki świat nie chciał nic o nich wiedzieć.

A nawet wogóle wiara w koniec świata w owych czasach musiała dość silnej ulec eklipsie, pozostawiając umysły niezdecy-

¹⁾ A. Réville. Encyclopédie des sciences religieuses T. III.

dowanymi co do losów kuli ziemskiej. Bo oto znajduję np. w Ko-
chanowskim takie dwa poglądy:

A jeżeli i ta światłość tak pięknego słońca
I ten okrąg niebieski czeka swego końca..

Zaś na innym miejscu powiada:

I rzekł Noemu: Już teraz na ziemię
Wystąpń śmiało i z tobą twe plemię.
Oto ja znowu przyodzieję lasy
Na wieczne czasy.

I będzie, jako po te lata wszystkie,
Ziemia dawała wszelkie użytki:
Muoście się, niech świat spustoszały w polacie
Znowu osiedzić.

A w tem upewniam każdą żywą duszę
Że nigdy potem takich wód nie wzruszę,
Któreby miały ziemię opanować
I świat zepsować.

Włóżę na niebo znakomitą pręgę
Którą, gdy ujrzę, wspomnę na przysięgę
Że mam hamować niezwyozajną wodę
I nie zawiodę¹⁾.

Z zagranicznej literatury mógłbym przytoczyć liczne podobne
przykłady sprzeczności.

* * *

Ów atak iranowego widma za czasów Reformacji był osta-
tnim szturmem generalnym, dokonany pod sztand-
darem wiary i z hasłami prorocत्व apokaliptycznych na ustach.

1) J. Kochanowski: Pieśni ksiąg czworo. Ks. I. Pieśń 3-cia.

Zorientowawszy się szybko, że społeczeństwo, zrywając z wiarą i skłaniając się coraz bardziej ku pozytywizmowi, staje się temsamem mniej wrażliwe na strachy, przyedziane w zbroje prorocत्व i ilustrowane znakami nadprzyrodzonymi, zmienia swą taktykę wojenną, zmienia swój regulamin bojowy i, przystosowując się do charakteru czasów, rozwija sztandary naukowe, próbując pod ich autorytem swych dawnych zbójceckich wycieczek. Stary wyga bowiem sprytnie rozpoznał, że w dawnych jego kohortach zabrakło mu nagle wielce bitnych i energicznych sojuszników: zabrakło mu komet! Wiedza zdołała wytłumaczyć ludzkości, że w pojawianiu się tych niewinnych stworzeń ogoniastych nie należy upatrywać żadnych sił nadprzyrodzonych, ani też żadnych sygnałów groźnych a tajemniczych, jeno czysto fizyczne, przyrodzone i konieczne objawy życia Wszechświata.

Rozpoznawszy tę sytuację i zorientowawszy się błyskawicznie w nowem położeniu, wykonuje genialny manewr strategiczny. Un colpo di genio! Z machiavelistyczną perfidją puszcza się w zaloty do nowo wyrosłego wroga i usiłuje go z nieprzyjaciela zrobić swoim przednim sojusznikiem. Oto uznaje się pokonanym, pisze się obłudnie na argumenty zwysięzcy, przyznaje z lisią skruchą, że operowanie kometami było niczem innym, jak tylko puszczaniem szarłatańskich fajerwerków przed zamglone zabobnem oczy ludzkości, a równocześnie... trąbiąc światu, że wiedza przeszła do jego obozu — z poza jej obronnych pleców rozpoczyna starą grę na nową nutę.

Więc tłumaczy, że komety — jakkolwiek tak znakomicie przez naukę wyjaśnione i opisane — nie mniej jednak mogą stać się i staną się bezpośrednią przyczyną zagłady ziemi. RzUCA jak widzimy, w niepamięć przestarzałą rolę komet jako heraldów niewidzialnych armii, wypowiadających śmierć rodzajowi ludzkiemu i imputuje kometom samym moc i władzę bezpośredniego zniszczenia globu.

Po raz pierwszy intonuje tę zreformowaną piosenkę w roku 1696-ym przez usta angielskiego astronoma Whiston'a (zresztą uczonego niepośledniej miary), który w swym traktacie, dziś na fantastyczny romans Vernego zakrawający, koniec kuli ziemskiej z ręki komety wielce uczenie zapowiada. Powtarza ją potem w

1773-im, obierając francuskiego astronoma Lalande'a za swe narzędzie. Uczony ten zredagował był memorjał dla paryskiej akademji nauk p. t. „Réflexions sur les comètes qui peuvent approcher de la Terre“. Zanim praca została odczytana, dostała się do wiadomości publicznej i idąc z ust do ust przybrała treść i rozmiary tak niepokojące że, jak pisze Bachaumont w swych Pamiętnikach „dewooci zaklinali arcybiskupa paryzkiego o zaordynowanie czterdziestogodzinnych modłów dla odwrócenia klęski“, która miała nadejść dnia 20 ego maja 1773 roku.

Więc skartowaciate wydanie czasów trwogi: Niechaj się modli, kto się modlić może! Niestety w epoce filozofów, encyklopedji i kupletów niezbyt dużo było takich, którzy się modlić umieli i chcieli. To też nie zbrakło i niewiernych Tomaszów, którzy w dniu fatalnym poszli do opery komioznej, gdzie właśnie dawano sztukę wykpiwającą niemile zapowiedzi.

Podobne pogłoski grasowały jeszcze po świecie w r. 1816, 1832 i 1857. W tym ostatnim roku przyjęły się były nawet urodzajniej, niż w latach poprzednich. W Apulji i Kalabrii ludzie w dniu krytycznym na pola swe Lary i Penaty przenosili, by nie zginąć marnie pod gruzami domów (dość naiwne i do dawnych wcale niepodobne pojęcia o końcu świata) a w całej zachodniej Europie można było w pewnych sferach i klasach dość silny niepokój zauważyć.

Dopiero w roku 1861 ym cały ogół społeczeństwa przyjął z zupełnym spokojem zapowiedź komeciej wizyty, mimo że w tym właśnie roku wizyta owa w akompaniamencie takich dziwactw nastąpiła, jakimi się poprzednie poszezyoić nie zawsze mogły. W tym bowiem roku (30-ego czerwca) ziemia przewędrowała była przez ogon komety, skutkiem czego znalazła się pogrążoną przez pewien czas we mgle nieprzejrzystej, a horyzont niebieski fosforyzował cały, jakby w łunach powszechnej ilum nacji świata.

Na temat nastroju, w jakim się wówczas ludzie znajdowali zapisał Babinet w swych dowoipnych „Notatkach naukowych“ następujący dialog:

Pani: Dzienniki powiadają, że wkrótce będziemy mieć komety

Astronom: Tak, pani, i to nawet bardzo pięknego komety. Historia astronomji nie znała dotychczas tak wspaniałego egzemplarza.

Pani: I cóż on będzie mieć za znaczenie?

Astronom: Żadne.

Pani: A czy to będzie coś ładnego?

Astronom: Owszem. Jeśli Pani zechce pofatygować się do ogrodu, to go pani zobaczy.

Pani: Oh, czuję się lekko niedysponowana. Nie chcę się trudzić.

I pani udaje się na spoczynek.

Zaś astronom dodaje: „Jeśli mię kto teraz zapyta, po co właściwie istnieje astronomja, odpowiadam: Po to by w roku Pańskim 1861-ym piękne panie bez trwogi udawały się na spoczynek, gdy kometa szykuje się do ataku na porządek wszechświata. A tak nie było zawsze!”

Racja, tak nie było zawsze. Myśmy to widzieli. Zestawiając nastrój wieku X.-ego z nastrojem przytoczonego dialogu, można w sposób lekki i dowcipny przejrzeć całą głębię tych przeobrażeń, jakie mózg ludzki w osiemsetletniej wędrówce przeszedł.

* * *

Czy można jednak ufać, że są to przeobrażenia nieodwołalne? Czy można twierdzić, że wieki, które idą, nie obaczą już nigdy twarzy Lękiem odwiecznego widma poblidyh? Czy wiedza zdoła zawsze wszystkie fenomeny przyrody wytłumaczyć? Voltaire twierdzi, iż wiemy bardzo mało z tego co było, dość mało z tego co jest, a nie z tego, co będzie. Czy zdoła zatem bodaj wszystkie... „komety“ wytłumaczyć?

Pan Podkomorzy raz tak powiedział:

Owóż astronomowie planetę, komety

Uważają tak, jak mieszczanie karetę.

Wiedzą, czyli zajeżdża przed króla stolicę

Czyli z rogatki miejskiej rusza za granicę;

Lecz kto w niej jechał? po co? co z kimś rozmawiał,

Czy król posła z pokojem czy wojną wyprawiał
O to nie pytają.

A potem, skąd pewność, że wiedza pozostanie zawsze na tym samym wyrocznym trójnogu, na tym samym piedestale powagi i poszanowania, na jakim obecnie pozostaje? Że religja rozumu nie ustąpi religi uczuć i serca? Że nie przyjdzie nowa religja? Wyznawca teorii prawiącej o ewolucji i nieprzerwanym postępie systemów religijnych odpowiedziałby mi może, że przyjdzie z pewnością. Że przyjdzie np. jakiś nowy Chrystus, Chrystus-uczoney, Chrystus-metafizyk, który falowanie jakichś niezbadanych pierwiastków atmosfery przestworza Bogiem nazwie? Albo go z tlenu i wodoru ulepi? albo powie, że Bóg jest czwartym stanem ciał, „stanem promienistym“ natury? I zbuduje ludzkości gmach nowego genesis świata, który będzie podobny do traktatu metafizycznego jakiegoś uczonego niemieckiego, który będzie mówił np.: Na początku był ruch. Pierwszego dnia Pan Bóg stworzył azot, drugiego tlen etc. Być może. To jednak jedno jest pewne, że jak długo nieskończoność i niepojętość istnieć będą, jak długo istnieć będą szranki i słupy graniczne dla ducha ludzkiego, tak długo pojęcie Boga, z postaci w powstać się tułając, istnieć będzie nieśmiertelnie.

A skoro powrót do religji nastąpi, świat znowu, doszedłszy po pewnym czasie do krętu możliwej, wewnętrznej kultury duchowej, świat znowu, na mocy niewzruszonych praw ewolucji, zacznie w kierunku rozkładu postępować. A rozkład na tle kultury subiektywnej równa się najpierw wybudowaniu indywidualizmu, a potem spaceniu się wierzeń czystych w zabobonność i przesady.

Czyli? — Czyli, że — wracając do naszego tematu — gdy ten nowy okres rozprężenia duchowego nastąpi, nieśmiertelny kościotręp iranowej Zjawy znajdzie znowu „swoją ohwilę“ i inną może bramą trafi znowu do duszy człowieka.

Leoz zanim to się stanie, już dziś w pełnym dwudziestym wieku, przez usta moje stawia zastrzeżenie: O ile koniec świata: wpierw nie nastąpi!

Figlarz - kościotręp !!

MARJA TARNAWSKA.

OPOWIEŚĆ O POWSTANIU W CHOCHOŁOWIE.

WSPOMNIENIE Z CHOCHOŁOWA.

Był to piękny letni ranek. — Rześwe powietrze płynęło z gór, osnutych lekką błękitną mgłą, wonne powiewy szły z kwiatnych łąk. — Dzień się zapowiadał upalny.

Po równej, dobrej drodze biegł szparko mały konik — a młody woźnica, który dzień przedtem, przy zgodzie, robił nam trudności, nie chcąc brać trzeciej osoby: „Chybaby była taka szczupleńka jak wy obie — haj!“ — widocznie zadowolony z naszej małej wagi, uprzejmie nas teraz objaśnia jak ten lub ów szczyt się zowie, lub gdzie prowadzi biegnąca od nas w bok — droga.

Co do mnie, jechałam z uczuciem na poły radosnem, na poły trwożnem... Jedynym celem mej wycieczki, była gorąca chęć poznania chłopów z Chochołowa. — Marzyłam o tem od dawna — od chwili kiedy przed rokiem wpadła mi w ręce książka dra Eljaza Radzikowskiego p. t. „Powstanie Chochołowskie“.

Niestety! — z książki tej, dowiedziałam się, że nie żyje już żaden z uczestników ważnej chwili dziejowej, — żaden z tych, którzy ranami i krwawym bólem zawiedzionych nadziei, spłacili dług — Ojczyźnie! Ostatni z bohaterów — Jan Zych, kowal umarł w r. 1899.

Co pozostało po nich, jakie wspomnienie, czy poświęcenie ich nie przeszło bezowocne, jakim echem odbiło się w sercach synów i wnuków? — oto pytania, które przejmowały mię niepokojem... I jeszcze jedna myśl mię dręczyła, jak też przyjętą zostaną; czy nie wezmą mię za natręta, który tylko przeszkadza w czas roboczy... Nie znałam nikogo — wypisałam tylko nazwiska niektóre, na chybił, trafił, może Zych ma syna, może po którym z Kojsów

pozostały dzieci, które mi o tem co od ojców usłyszały — opowiedzieć potrafią...

Stykałam się dotąd niejednokrotnie z ludem polskim, który kocham bardzo, tak jak się kocha nadzieję lepszej przyszłości, jak się kocha serca proste a gorące, o których się wie — że nie zawiodą w chwili działania...

Mwślą tą krzepiłam się obecnie — przecież i to lud polski, potomkowie tych, którzy, w najdawniejszych czasach, jeszcze za Batorogo, za Jana Kazimierza krew przelewali; którzy szli zawsze, kiedy Ojczyzna wołała, aż w r. 46 poświęceniem swem, okupili winy — współbraci...

A zresztą — dzień cudowny, błękitny i złoty, góry, jak czarodziejska zjawia; powietrze, że człek się ptakiem czuje; — kto by się troskał o to, co będzie — będzie to jakoś — hej!

Na marzeniach, rozmowie, patrzeniu zeszło ze trzy godziny, a może i więcej — dość, że dzień się uczynił upalny, słońce już stało wysoko i sypało żarem — gdyśmy dojechały do Chochołowa.

Co począć dalej? — Woźnica nasz, nie zna tu nikogo, — radzi aby się udać do „Kółka rolniczego“ i tam zasięgnąć bliższych informacji... Tak też czynimy — i rada okazuje się dobrą. Przyjęte gościnnie, dowiadujemy się, że po Zychu została tylko wdowa, która obecnie musi być na robocie w polu, tak jak i wazysey, bo to czas sianokosów. — Co do rodziny Kojsów — najlepszych, najpewniejszych wiadomości udzielią nam w domu Józefa Kojsa, o ile go w domu zastaniemy; inni gospodarze tego nazwiska wyjechali za zarobkiem do Ameryki. — Nie zabierając więcej czasu uprzejmej gospodyni, dziękujemy za objaśnienia i idziemy dalej — musimy odnaleźć Zychową lub Kojsa.

Piękna to i rozległa wieś — Chochołów; po drodze spotykamy grupy ludzi, przeważnie kobiety z dziećmi. Witani serdecznie „słowem Bożem“ zatrzymujemy się — pytając o drogę.

Już przy pierwszym zetknięciu, lud ten, robi wrażenie niezmiernie sympatyczne, zdawać się nam może, żeśmy goście z dawna i z upragnieniem wyczekiwani — tak nas witają radośnie, pieszczotliwymi obsypują wyrazami; odbiega mię wszelki niepokój,

w rodzinie się czuję, między najbliższymi, dusza rośnie, „serce dla serca gotowe”.

Po drodze zwiedzamy nowy, gotycki kościół, z którym się już kilka łączy wspomnień.

Docieramy wreszcie do mieszkania Kojsa. Obejście wielkie, mieści w sobie nie tylko budynki gospodarskie, piękną, typowo-góralską chatę, ale i nowy, murowany dom, w którym jest sklep i kilka ubikacji, mieszkalnych. W jesieni mają się tam przenieść gospodarze — na razie szukamy ich w chaosie.

Kojsa nie zastajemy, wita nas żona (wnuczka Sabaty) prześliczna kobieta, bujna, rozkożna — jak otaczająca ją przyroda.

Prosi do izby — chwila wzajemnego zakłopotania, wyłuszczam cel przybycia; pragnę zobaczyć się z jej mężem, aby z nim o rozmaitych pomówić sprawach... „Mąż w polu” — zaraz po niego poślę... — wychodzi, prosząc byśmy usiadły.

Przyzwyczajona do małych chłopskich izb, z podziwem się rozglądam w około. — Nie izba to, a komnata, pełna światła i powietrza. — Wrażenie przyjemne potęguje widok świetlicy (którą nam później pokazuje gospodarz) prześlicznie przyozdobionej rzeźbą drewnianą; wzdłuż całej, dużej izby, biegną górą półeczki zdobne ornamentem w „gadzik”. Wspaniały „sosręb” dopełnia całości.

Kiedy wyraziłam zdziwienie, jak można, mając taką cudną siedzibę, porzucać ją dobrowolnie i skazywać na zagładę (chata ta, miała być, z czasem rozebrana), gospodarz tłumaczy, że w zimie bardzo dokucza zimno i że w dwóch izbach tylko nie można należytego utrzymać porządku...

Ten ostatni wzgląd nie przekonuje mię zupełnie — porządek i czystość wprost bajeczna, podłoga lśni mimo soboty — na gospodni śnieżnej białości koszulka, tak samo jak i na dzieciach, z którymi wkrótce bliższą zawieramy znajomość. — Z gustem też pijemy — podane nam przez uprzejmą gaździnę, zimne, kwaśne mleko.

Nadchodzi Kojs. — Zaczynamy rozmowę o tem, co blizkie nam, co drogie; młoda orla twarz mieni się wzruszeniem — co słyszał opowiada — wielkie wspomnienia żyją w sercu wnuka...

Widząc z jakim zajęciem chwytam każde słowo, obiecuje zawieść nas do naoczego świadka „poruseństwa“ z roku 46.

Posyła po Zychową, która też wkrótce nadbiega, żwawa, ozerstwa staruszka. Pytam o śp. jej męża o innych towarzyszy niedoli — rozpoczyna więc opowiadanie, przerywane łkaniem i wykrzykami... Mówi gwarą góralską, pilnie też słuchać muszę, aby zrozumieć, aby słowa nie uronić... Czego nie rozumiem, dopowiada mi jej twarz biedna, poorana łzami. Nie ona jedna mówi; przez jej usta żałą się wszystkie te, nad miarę udręczone matki i żony... Kreśli słowa gorącemi dzieje męczeńskie swego męża — odozuwa się, że nie ubarwia ani przesadza, jękiem mówi i łzami.

„A kiedy przišli po niego finanse, to powiązali i bili, kielo się mogło zmieścić, dziw że go nie zatłukli; a kiedy do Nowego Targu przygnali, te rence i nogi powiązali i tak o ziem rzucili — w tych pętach... Hań wysiedziań z innymi bez dwa miesiący — potem ile wywieźli do Nowego Sąca, na gorsą jescce poniewierkę. W lochu ich więzali bez jakiś cas. — Do piwnicy tej, bez otwór ik strącali, ze oud co sobie głów nie ostrzepali na schodach, bo lęły z kamienia...“

„Z sukien ozdarto do kosuli, nie tylko mego niesceśnika, ale i księży i waytkieh. Bili i po twarzy; pana Andrusikiewicza włosy z brodą wytargali z ciałem, tak się znęcali. — W lochu, kijem po głowach ruchowali, oy som sytkie... Nie bęto hań słomy, coby sie gdzie położyć. Żumne, ze nie wřpowiedzieć, bez sklepienie lało sie woda a co nogorzyj dojęło to, to, co oblecienie nie pozwolili zmienić. Bez całe tygodnie w jednej kosuli trza bęto chodzić a kiedy sie pon organista upominał, coby mu dali bielizne cysto — bo miał swoje, co bez gady cierpią bardzo, to mu rzekli: „A niech was i zjedzom!“ Haj! Juz w Nowym Targu głód cierpieli, ale w Sącu to tylko po pół bachenka mieli na jednego bez cały dzień... Jezus! Z Nowego Sąca do Lwowa ik gnali, ze Lwowa do Wiśnica i tak ik męcyli bez kilka lat niesceśników. Haj!“

Głęboko wzruszone, żegujemy serdecznemi słowy płaczącą staruszkę, i zanim nadeszły konie, po które trzeba było posyłać aż do „Kółka rolniczego“ — idziemy prowadzone przez Kojśa oglądnać skarb, którym się Chochołowianie słusznie szczyca. — Są to umie-

szczone u najgodniejszego z gospodarzy, w starej drewnianej skrzynce pod kluczem ze czcią przechowywane — nadania królewskie.

Przywileje to, męstwem i wierną służbą Ojczyźnie — dobrze zasłużone. Uwalniają one Chochołowian od robót, czynszów, zaciągów, podatków, wolnymi zachowując ze wszystkimi rolami, polami, gruntami, paszą leśną, wolny wyrąb w lesie na swoją własną potrzebę itd. Nadaje Batory, potwierdza Zygmunt III trzykrotnie, Władysław IV, Michał Korybut, Jan III, August II, wreszcie Stanisław August.

W oiohom skupieniu przeglądamy dokumenty, szeptem udzielamy sobie uwag, żal się rozstać z kartami, z których przemawia wielka przeszłość Batorych, Sobieskich, żal wrócić do teraźniejszości — ale konie zaszły, czas jechać dalej. Składamy drogocenne dokumenty, samknięta na klucz skrzynka zostaje umieszczona na dawnym miejscu — jedno jeszcze spojrzenie na starą chatę przechowywującą wspomnienie wielkich chwil — i ruszamy. Znami Kojs.

Z Chochołowa do Koniówki nie daleko; nie jedziemy dłużej jak półgodziny, kiedy powóz zatrzymuje się — a Kojs nam oznajmia, że jesteśmy na miejscu. — I oto zdawać się nam może, żeśmy zawitały w gościnę do Piasta — nie tylko na tle zieleni jawiąca się chata, ale widok gospodarza wywołuje złudzenie, tak prawdziwie „piastowska“ to postać, tak wybitnie polska twarz. Tylko zamiast sukmany — sucha góralska.

Nie trafiłyśmy w dobrą porę, spostrzegłam to po ukośnej zmarszczce, jaka przecięła czoło gospodarza — kiedy Kojs wskazując na mnie wspomniał, że przyjechałam umyślnie aby z nim pomówić (jak się dowiedziałam później, przerwałyśmy Pilchowi ważną naradę z kupcem), mimo to ruchem uprzejmym a pełnym gościnności — zaprasza nas do wnętrza.

Izba, w której znaleźliśmy się, była to świetlica obszerna, obyczajem góralskim przyozdobiona. — Uwagę moją zwraca przede wszystkim duży stół pokryty zupełnie gazetami i broszurkami treści rozmaitej — znać, że gospodarz w wolnych od ciężkiej pracy chwilach — czytaniem się zabawia. Tam też na miejsce poczystne, gdzie wiszą obrazy świętych Pańskich — Pilch nas wiezie.

Onieśmielona przybyciem nie w porę, cichym głosem wyluszczałam cel moich odwiedzin.

Jak nie znalazłszy już przy życiu, nikogo z tych, którzy brali udział w powstaniu — do niego jako do naocznego świadka tej chwili o szczegóły się zwracam. Że nie przywiodła mię ciekawość, ale wielka miłość do tych, którzy przywiązanie swe do Polski czynem stwierdzić potrafili, tworząc jedyny punkt świetlany w mrokach, nieszczęsną Ojczyznę naszą, wówczas ogarniających...

Wtedy on — zaczął mówić. Mówił długo i gorąco. Opowiadanie to powtórzyć postaram się — posiłkując się w części pamięcią, w części zapiskami. — Czemuż nie mogę odlać w słowach zapadu, który, ożywiając twarz starca, czynił ją dziwnie młodą wyrazem — czemu nie mogę odtworzyć pogardliwego błysku oka, kiedy z subtelną ironją, opisywał procesję urządzaną przez Austryjaków w celu rehabilitacji — orła czarnego.

Z początku starałam się słowa jego notować, z początku tylko — później nie mogłam...

Porwana opowiadaniem starca, wpatrzona w twarz tę, coraz to innym mieniącą się wyrazem — już nie myślałam, nie słuchałam, ja przeżywałam z nim to wszystko. — I tę oiekawość trapiącą młodego chłopca, którego starsi od działania odsuwają — a który czuje, że dzieje się coś niezwykłego, coś, co i na jego przyszłości odbije się niezatartem piętnem. I uniesienie, kiedy podczas kazania ks. Kmiotowicza, zrozumiał — że jest częścią zywą wielkiego narodu i razem z ludem całym płakał i szlochał o nieszczęściach Ojczyzny się dowiadując, i widok walki, i ta procesja, która nawet młody umysł chłopca razi swą sztucznością — i cały szereg wreszcie prześladowań, nie tylko ze strony wrogów, ale swoich, którzy w niezrozumieniu sprawy, bohaterów swych, rebeljantami przeżywają. — Struna ta najboleśniej w opowiadaniu starca dźwięczała... Bolał nie tyle nad krzywdą, ile nad ciemnotą ludu swego.

Skończył Pich. — A ja długo potem i dziś jeszcze — kiedy już Pich w ukochanej przez siebie spoczął ziemi — widzę tę ciemną świetlicę, a na jej tle szlachetną postać starca, błękitne, zapalem rozświetlone oczy, mądre wymowne usta — i smukłą sylwetkę zastuchanego Kojasa — i moje towarzyszki w skupieniu, biorące

w dusze, słowa płynące z przeszłości. — Zapadło milczenie i czuliśmy wszyscy, że serca w zgodny takt biją a dusze wypełnia uczucie — jedno...

Wtem, w ciszę tę wpada głos dźwięczny — a szarość izby, rozjaśnia jasność słoneczna. Na wysokim progu istoi smukła postać dziewczęca i chyliła się w głębokim ukłonie — rzuca nam okrzyk: „Witajcie!” — Zanim mieliśmy czas przyjrzeć się wdzięcznemu zjawisku — już Pilch poważnym skinieniem odprawia wnuczkę — zapadają drzwi, zaika różowa twarzązka a z nią i promień złoty.

Czas odjeżdżać a tak się nam żal rozstać z tym starcem, nieznanym nam jeszcze wczoraj, nawet z imienia a dziś tak blizkim, z tą mroczną izbą, którą wypełnia tyle naszych uczuć i myśli.

Gdyby tak można utrwalić te wrażenia — gdyby można się podzielić niemi z innymi... Uderzona tą myślą zwracam się do Pilcha z prośbą gorącą: Oto opowiadanie jego radabym powtórzyć tym, którzy go usłyszeć nie mogą, — ale obawiam się, żeby mi pamięć nie zawiodła i szczególnież jaki nie został fałszywie przedstawiony — proszę więc, niech przez opisanie tych zdarzeń dopomóż mi mej pamięci. — Po chwilowem wahaniu, spowodowanem obawą — czy potrafi się dobrze wywiązać z przyjętego zobowiązania — Pilch przyrzeka.

Zegnamy błogosławieństwem starca, unosząc w duszy słodkie wspomnienie przeżytej górnio ohwili — odjeżdżamy.

I oto w dwa lata później, dochodzi mię przez Kojsa (z którym w stałej jestem odtąd korespondencji) wieść smutna, że Pilch nie żyje — ale pamiętny danego przyrzeczenia pamiętniki owe spisał i mnie polecił odesłać. Wiele miesięcy upłynęło zanim kartki te znalazły się w mych rękach, później inne zaszyły przeszkody i zaledwie dał się Pilchu, podzielić się mogę, twojemi wspomnieniami z innymi. — Mów Ty teraz!

OPOWIADANIE JÓZEFA PILCHA Z KONIÓWKI jednego ze świadków powstania z r. 1846.

— A było to tak... Pamiętam wszystko jakbym dziś na to patrzył — Panie Świąty. — Chłopiec już byłem duży, piętnaście

lat mi było — chodziłem na naukę dopełniającą do pana Jana Andrusikiewicza, organisty — kiedy się zaczęło to poruszenie... Przy mnie nie mówili nic, między sobą sprawę czynili — i to nie wielu ludzi wiedziało o tem — tylko wiarogodni i dobrego ducha.

Znałem ich wszystkich — Panie Święty — i ks. Leopolda Kmiotowicza i dwóch Kojsów, naczelnika Jacentego, i zastępcę jego Wojciecha Kojsa, sołtysa Jana Mniszka, sekretarza gminnego Jana Churchota, strażników Lebiockiego i Dobosza; urlopników Józefa Walosa, Michała Szczurkę, Jana Wróbla, Jana Blasaka; gospodarzy Jana Zycha i Jakóba Blasińskiego.

Z gminy Dziańsiza: gospodarzy Wojciecha Kurasa, Jana Styrzulę i urlopnika Wojciecha Hanuszczarza; z gminy Witowa, naczelnika Szczyptę i gospodarza Kołtasza; i Ciego Jana Zawoduraka — gospodarza. — Prócz tych, znałem też ks. Makucha i ks. Głowackiego, bo często do Chochołowa przyjeżdżali.

To mnie i innym ludziom było dziwno, że w r. 1845, jeszcze na cztery miesiące, przed powstaniem z r. 46, przyjeżdżali przetożeni straży granicznej na jakieś poszukiwania do pana Jana Andrusikiewicza (komisarz Flutowski z Nowego Targu a później oberkomisarz od tejże straży i komisarz ze sądu z Nowego Sącza). Rewizję pełnili zawsze w przytomności Jacentego Kojsa naczelnika gminy, ale nie znaleźli nic, bo organista co miał powstania się tyżącego, to przechowywał u niejakiego Józefa Kalosa (Walosa), który był w obowiązku u gospodarza Jana Blasińskiego.

I to nam jeszcze było dziwne — Panie Święty, że gdy się zbliżał zapust na dwa tygodnie przed powstaniem, organista cały swój dobytek i dwóch synów małoletnich, z domu do brata do Głowa wyprawił — mimo że była wtenczas wielka zamieć śnieżna — a żegnał ich ojciec tkliwie i z płaczem tak, że ja patrząc na to, od żalu wstrzymać się nie mogłem, tem więcej żem był z nimi skolegowany. — A organista nikomu nie mówił dlaczego to czyni.

Aż tu raz, a było to w nocy, z soboty na niedzielę mięsopustną — przychodzi do naszego domu zastępca naczelnika, Wojciech Kojs.

Nie spałem i słyszę jak mówi: Że już tej naszej niedoli przy-

szedł kres, że w poniedziałek idziemy do Krakowa, bo tam nasz wódz będzie czekał, zaczem się szeregi posechodzą. A pójdziemy przez Nowy Targ, aby się z innym oddziałem połączyć, który czeka nas, we wsi Łopuszna. — Przedtem nam jednak trzeba straż graniczną rozbroić we Witowie, i Suchej-Górze... Z miejscową strażą już my się uporali. Lebiocki i Dobosz do nas przystali; Obrochta broń oddał — resztę strażników trzeba pilnować, to ja tu przyszedł po was, abyście szli straż pełnić.

Na drugi dzień, opowiadali chłopci — jako im się udało bardzo dobrze — Panie Święty...

We Witowie straż sobie spała w kasarni wygodnie; na pukanie tych strażników co trzymali z nami, wyszedł jeden z nich strasznie rozmarzony — i zanim się dowiedział, co to za przygoda, już nasi byli w środku. — Kiedy organista wyjaśniał strażnikom — co zaszło między Austrią a Galicją — chłopci się rzucili na zbrój, so wisiała w sieni. — Co żywo poubierali się w karabiny i pałasze. — Panie Święty. — Tam nikt nie przystał do naszych, bo przełożony był szwab, ewangielik; my jego znali, bo on był przedtem w Chochołowie przez parę lat.

W Suchej-Górze — o dwa kilometry od Chochołowa, już na węgierskiej stronie — otów ci dwaj strażnicy pukają do drzwi z oznajmieniem nocnego raportu... Poborca nie domyślając się podstępny, kazał stróżowi zgłaszających się wpuścić, a z organistą, którego znał, mile się przywitał. — Wtedy organista — oznajmiając, so ich sprowadza, zażądał pieniędzy złotych — ale tylko zebranych po polskiej stronie, czemu się też i poborca nie sprzeciwia. Otwiera kasę a organista wybiera pieniądze i przelicza w obecności chłopów i strażników — ile tam tego było, już dziś nie pamiętam...

Chłopci, zaraz po otrzymaniu pieniędzy, rzucają się na herbustryjacki i niszczą go — to samo robią — Panie Święty — z herbem umieszczonym na granicy węgierskiej... Wysoki, trzy metrowy łąp przewracają — a tablicę z orłem dwugłowym tłuką.

To wszystko działo się w nocy, Panie Święty, a gdy się uczył dzień, schodzą się gospodarze w sprawę niewtajemniczeni, bar-

dzo niezadowoleni, bo nie umiejący sobie wytłumaczyć, co to się dzieje takiego.

Dopiero około godziny dziesiątej, przychodzą chłopci z Dzia-
ni-za, z Witowa, jedni — Panie Święty z kosami, inni w fuzje
uzbrojeni i nuż tłumaczył nieświadomym, co zachodzi między Au-
strją a polskim narodem. — Mówili otwarcie, bo nikt nie podej-
rzywał, że mieliśmy zdrajców między sobą. — Było ich dwóch,
jeden się zwał Jan Tyrała, drugi Michał Liszka.

Poszli ci dwaj denuncjanci prosto do Czarnego Dunajca do
do sądu — a było to w niedzielę podczas kazania i tam narobili
wielkiego gwałtu, gły opowiedzieli to wszystko. Sąd wysłał zaraz
połańca do starostwa, starostwo do straży granicznej, bo wojska
nie mieli — aż o dwanaście mil w Nowym Sączu.

W Chochołowie tymczasem zdrady się nie domyślano. —
O godzinie jedenastej wychodzi ks. Kmiotowicz, przed sumą na
ambonę i po odczytaniu ewangelji — mówi zaraz o przyczynach
powstania; o tem jak nas dręczą, uciemiężają cudzoziemskie rządy —
nas austriacki, a bracia naszych pruski i rosyjski. — Że braciom
naszym nakazują czynić rzeczy przeciwne wierze naszej świętej a za-
braniają pełnienia obowiązków; oóż z tego — że ziemie polskie
żywe i bogate — pod rządami obcymi braknie nam chleba dla
ciała a pokrzepienia dla duszy...

I uczynił się w kościele wielki swar i płacz, a wtedy ks.
Kmiotowicz, zwracając się do matek i ojców mówi: „Nie żądajcie
synów swoich a wyślijcie ich na pomoc nieszczęśliwej Ojczyźnie!
Kto nie ma broni palnej, ten sobie niech narządzi bodaj kosę, aby
miał czem nieprzyjaciela odeprzeć“.

Zaraz też po mszy św. pozwala ks. Kmiotowicz rozejść się
chłopom do domów, aby mieli czas narządzić sobie te orężce. —
A po niesporach, podczas których śpiewano litanję do „Wszyst-
kich Świętych“ — wychodzi organista na plac przed wikarówkę —
aby sprawić ezerezi. — Organista był przybrany obyczajem jesz-
cze praorców naszych w pas szeroki, za który włożył dwa pisto-
lety, na ramieniu dubeltówka, u boku pałasz ciężki a na głowie
czapka barankowa z wierzchołkiem gniado-czerwonym.

Postawił ich wszystkich w jednym rzędku i podzielił na trzy

oddziały. — Dla dwóch oddziałów wybrał na dowódców — dwóch strażników. Tych wysłał do wsi Dziańsza i Witowa dla tworzenia legionów — a sam z trzecim oddziałem udał się do Cichego.

Nad wieczorem, około godziny siódmej, wszyscy wrócili, prowadząc mnóstwo chłopów... Każdy z dowódców sprawił swój oddział; trzech zaś Chochołowian wysłano, aby wartę pełnili na gościńcu, który prowadził do Czarnego Dunajca. Ruch ten trwał do godziny jedenastej — podziwiałem się temu, przechadzając się po wsi — wreszcie gdy wszyscy pokładli się spać — ja też poszedłem do domu.

Nie wiem, czy wytrzymało z godzinę, aż tu Panie Świąty, jeszcze w śnie będący, słyszę głos tych „warciarzy“ co na gościńcu od Czarnego Dunajca wartowali, jako krzyczą: „Idą!“... A nie długo potem dał się słyszeć głos dzwonu...

Jeden z tych trzech wartowników, człowiek starszy, bo już z pięćdziesiąt lat mający, imieniem Wojciech Gozdawa opowiadał później, co widział i słyszał.

Otóż, koło północy, na drodze od Czarnego Dunajca pokazała się óma ludźmi... Dwaj młodzi wartownicy biegli do wsi krzyżując — on zaś schronił się za stojącą przy końcu Chochołowa kuźnię, chcąc przekonać się — co to za czerniawa idzie... Tam to ukryty oczekiwał ich przyjacioła — widział też, jako przystanął i słyszał, jak ich pouczał niejaki Jakób Chlebek: „Że hasło jest „Ferdynand“ a kto nie będzie umiał na nie odpowiedzieć — to go bierz! a możesz i zabić jakby się opierał.“

Nie podobała się ta mowa ludziom i słyszał W. Gozdawa — jako jeden z nich mówił: „Że walczył dużo, bił się we Włoszech — ale nigdy nie słyszał, aby się stawało do ataku w nocy... Że to nawet niebezpiecznie... na co znów Chlebek odpowiada: „Jak się miotła rozsypie, to ją ściśniesz, a wtenczas zamieciasz — nie wam nie będzie, jak się będziecie trzymać w kupie.“

Ale już niektórzy, przekonani słowami starego wojaka — zaczęli się wysuwać i chronić za kuźnię — gdzie przydybali Gozdawę. — Ujęli go, do przełożonych zaprowadzili, którzy go do Nowego Targu postanowili odstawić. — Tak idąc z nimi przez wieś słyszał jak wołali: — Który człowiek z Boga — niech przy-

staje do nas!” — Obudzony tem wołaniem, pewien gospodarz Jan Ziender, chyłkiem po za domy pobiegł do kościoła, aby na gwałt uderzyć w dzwony; inni zaś ludzie rozbudzeni również hałasem, wybiegli na gościniec. — Tych — kiedy zapytani o hasło, nie umieli odpowiedzieć — raniono, kto zaś w domu światło rozniecił — to mu okna wybijano.

Powstańcom naszym na myśl nie przyszło — że to może być wroga strona, mniemali bowiem, że to oddziałek z Łopusznej chce się z nimi połączyć — wyszli więc jak do przyjaciół, ks. Kmiotewicz z małą pasyjką, obok księdza Józef Blasiński ze światłem.

Kiedy się do siebie zbliżono, mniej więcej na kroków czterdzieści — jeden z przeciwników mając dobry cel w księdzu, który stał w pełnym świetle — strzelił do niego, na szczęście trafił tylko w rękę — ale musiał się zaraz ksiądz na wikarówkę wrócić, gdzie mu ranę opatrzono. Wtedy nasi dali ognia, słychać było strzały, okrzyk naszych: hurra! — i zwarli się ze sobą...

Organista powalił komisarza Fintowskiego a reszta nieprzyjaciół strachem gnana — zaczęła uciekać. W ciemności potracali się, przewracali się jedni na drugich, rzucali oręż — widziałem to wszystko z okna; nie było dalej od naszego domu jak kroków z pięćdziesiąt.

Kiedy się walka skończyła, poszedłem na pobojuwisko. — Dwóch z naszych śmiertelnie raniono, żyli tylko do poniedziałku, do godziny ósmej z rana; Jan Wróbel pchnięty bagnietem w pierś i drugi gospodarz z Witowa, którego postrzelono śródtem.

Przeciwna strona straciła również dwóch ludzi, jeden był ranny, komisarz Fintowski. Chciano go dobić, niepozwoili organista, mówiąc: „Boże zachowaj! — to jest rodowity Polak. — Zaniescie go do mojego pokoju!” — Gdy z chłopów żaden nie chciał tego uczynić, kobiety ułożyły go na sanie i odwiozły na organistówkę, gdzie pozostawał przez poniedziałek, do godziny czwartej z południa.

Po nocy tej — upadli nasi powstańcy na duchu — jeden ze strażników Dobosz sam się do sądu zgłosił, drugi z rannym organistą schronił się do wsi Cichego; wójt z Witowa Szczypta uciekł

na Węgry, — reszta pochowała się w różnych schroniskach na wolę Boga się zdając...

Aż tu w poniedziałek, około godziny czwartej, powtórnie, ale z większą już siłą, ciągnie znów óma ludu od Czarnego Dunajca. Na czele idą księża, panowie ze sądu, komisarz ze starostwa, komisarz straży granicznej. Gdy się zbliżyli do Chochołowa wysłali naprzód parlamentarza, grożąc, że w razie oporu — całą wieś spalą...

W Chochołowie zostali tylko starzy, młodzież cała wyszła na pagórek — patrzeć co będzie... Kilku z nas, chłopcy w 14, 15, 16 latach, wróciliśmy i widzieli — jak wiązano powstańców, a chłopstwo, podłota, którzy z nimi przyszli — domy przez powstańców opuszczone — okradali.

Wzięli też wtenczas ks. Kmietowicza, Jana Zycha, Jacentego i Wojciecha Kojca, Jana Mniszaka i Jana Błaszaka. — Pozostali powstańcy postabli na duchu, nie wiedząc co począć — czy się mają sami dobrowolnie oddać — czy za granicę uchodzić... Jeden tylko wójt z Witowa uszedł na Węgry — inni nie mogli się na to zdecydować, żal im było żony i dziatki osierocić — wiedzieli, Panie Święty — że wyjść łatwo, ale trudno wrócić...

We wtorek przełożeni straży granicznej powiększyli swe siły zbrojne, zebrawszy straż od komitatu zwanego Spiż i od Orawy — chłopów już nie wołali do pomocy — byli im niepotrzebni — znalazło się też tylko kilku takich, Panie Święty, którzy sami przyszli, myśląc, że się znów coś przy tej sposobności uda ukraść — tak jak wczoraj.

Z całą tą siłą, wzięwszy jeszcze czterech urlopników do pomocy — szli do wsi Cichego po organistę, który się tam schronił z jednym ze strażników. — Bali się sami do organisty zbliżyć — wysłali wpierw urlopników do niego z wezwaniem — aby broń oddał. Gdy to uczynił, okuto jego i jego towarzyszy w kajdany i zaczęto się dopiero nad nimi znęcać. Sypały się, Panie Święty — wyzwiska, naśmiewania i policzki... Kiedy w Chochołowie przed caryzmą stanęli, a strażnicy ramem z cukrem się częstowali — to tym biedakom, Panie Święty, wody dać nie pozwolono, o którą

mię prosili. Odepechnął mię strażnik, kiedy ją im podawałem — lewie drugi zezwolił.

Za wasy ich do wsi targali, królami polskimi ich nazywali... Położas gdy tych powstańców męczono, za innymi się czyniły poszukiwania po całej wsi, wiązano ich i pędzono aż do Nowego Targu.

Wkrótce potem przyjechał komisarz sądu obwodowego z Nowego Sącza i zaczął czynić sprawę, Panie Świąty. — Naprzód polecił urzędowi gminnemu, aby zwołał pozostałe po powstańcach rodziny i nakazał im, aby swoim kosztem postawili słup sądu doraźnego, a także, aby śledzili, czy nie schodzą się ludzie, żeby mówić o tem co było — a już przeszło... Gdyby zauważyli coś podejrzanego, niech zaraz doniosą do sądu.

Wójt, wybrany na miejsce Kujsa, srogi był i nie miał względu na osieroczone zony i dzieci; stanął też ten słup, a stał przez niespełna trzy lata, dziś na tem miejscu figura św. Jana Nepomucyna.

Zaczęły się teraz Panie Świąty — ciężkie czasy dla Chochołowa; pozostałych Chochołowian rebeljantami nazywano, że ani przyznać się nie śmiano — żem z Chochołowa, bo rebeljant we wielkiej nienawiści i pogardzie. — Księżdz niema, kościół opuszczony — schodzą się do niego tylko pobożne dusze, starce i kobiety, aby ubłagać u Pana Boga zmiłowanie a odwrócenie tych frasunków i utrapień...

Wysłuchał Bóg nareszcie prósb gorących i wnet się zjawił ks. rodak z Czarnego Dunajca — Hadrian zwany, któremu pozwolono czasowo ludzi chrześć, spowiadać i udzielać Sakramentów św., później przysłał nam sąd obwodowy dwóch OO. Jezuitów. Przedstawiono nas im jako ludzi dzikich, to ci biedacy tak się bali, że nawet w jasny dzień po odprawionych mszach św. w pokojach się swoich zamykali... Pomatu jednak tak się z ludźmi oswoił, że im, Panie Świąty — tęskno było z Chochołowa odjeżdżać, gdy na ich miejsce przybył ks. Złrzelski na administratora.

Z końcem kwietnia zjechała znów komisja z Nowego Sącza na zbadanie tego pobojo-wiska...

Przybył z nimi i komisarz Fiutowski, widziałem go, rękę

miał jeszcze obandażowaną. — Po odbytej komisji — przemaszerowała kompanja wojska ludziom na postrach — ale więcej się oni nas „dzikich ludzi“ niżli my ich bali. — Z tego strachu nawet się rozkwaterować nie chcieli — aż ich gospodarze i gos-podynie do izb zapraszać musieli. — Przyjechał też komisarz z Nowego Sącza z jednym z więźniów Wojciechem Kurasem z Dzianisza, aby zabrać zdobyte przez powstańców na komorze pieniądze. — Znalezione je w organistównce, tak jak były schowane w próżnym pudle, nie zmarnieli ani nikt ich nie ruszał, mimo że leżały tam przeszło dwa miesiące.

Zaczęli tymczasem już i niektórzy z uwięzionych wracać — ci, którzy się tłumaczyli, jako przymuszeni związali się z tem powstaniem; siedzieli oni jeden, dwa lub trzy miesiące, jak się tam który mógł wykręcić, całą winę składając na tamtych...

Wtedy to przyszedł od rządu rozkaz, aby w miejsce dawnego zniszczonego, nowy słup graniczny kosztem powstańców w zrobić, kolorem czarno-żółtym, w pasy poprzeczne ponalować, napis wytłoczyć, a w pośrodku orła austriackiego umieścić. Słup ten nie tylko kosztem powstańców miał być zrobiony — oni go własnymi rękami zanieść i na poprzednim miejscu wkopać musieli.

Jak wszystko było gotowe, wtenczas uwiadomił wójt starostwo, starostwo wysłało komisarza, ten znów nakazał powstańcom z więzienia uwolnionym, aby ten słup uroczyście odnieśli; opierać się nie mogli, rozkaz ten musieli wykonać.

I tak w jasny, pogodny ranek wyruszyła, Panie Świąty — ta cała procesja. Pamiętam wszystko dobrze. — Na przodzie ksiądz z pasyjką w ręce; jeden z chłopów niósł większy krzyż, drugi chorągiew, czterech dźwigało słup, dwóch drabinę; inny tablicę, inny gwóźdź, jeszcze inny szufłę. — Uroczysta to była procesja — Panie Świąty — ale z naszych nikt się do niej nie przyłączył — zdaleka tylkośmy się temu podziwiali.

Tak było u nas w Chocholowie; — innych powstańców jak ks. Kmietowicza, Jana Andrusikiewicza, strażnika Lebiockiego, Jacentego Kojasa, urlopników Michała Szczurkę, Józefa Walosa, Wojciecha Hanuszczarza i Jana Styrculę z Nowego Targu do Sącza,

z Sączu do Lwowa a niektórych z nich — aż na Szpilberg wywiezł.

Smutek więc i strapienie było wielkie. — Aż tu raz w roku 49-ym już za wójtostwa ojca mego, wraca ojciec pewnego razu z Czarnego Dunajca do domu, przywoząc nowinę radosną, — że krajowi nadana konstytucja, że więźniowie nasi uwolnieni, i że słup „sądu doraźnego“ już można usunąć.

Opowiadał też ojciec, jaka to radość w narodzie — jak panowie goszczą wójtów a panie im przypinają kokardki czerwone, im i panom.

Zaraz na drugi dzień ogłosił to ojciec gminie, — potem wziął dwóch chłopów, aby słup ten wyrócili i na nasze wywieźli podwórze.

W miesiąc później i więźniowie nasi wrócili; przyjechali poyozem pewnego szlacheica; jaka też to radość zapanowała wten czas w Chochołowie — Panie Święty!

Wkrótce potem ks. Kmietowicz objął posadę w miasteczku Makowie, ks. Makuch dąstał probostwo w Mogielanach pod Krakowem; pan Organista przyjął posadę w papierni u pewnego szlacheica, który się zwał Marszałkiewicz; — tylko o urlopnikach — Szczurku, Walosie i Hauszczarze słych zaginał. Siedzieli oni we Wiedniu w garnizonowem więzieniu; nie wrócił z nich żaden, ani żadnej o sobie nie przesłał wiadomości.

Wójta zaś z Witowa, — Szezyptę, który nie chcąc aby go ujęli, porzuciwszy żonę i dzieci, jeszcze tej samej, pamiętnej nocy na Węgry do Pesztu wywędrował — los zagnał aż do Paryża. — Oto, gdy szedł pewną ulicą w mieście, uwidzieli go panowie z Polski, którzy musieli uchodzić za granicę przed mordercami, — chłopami z Wadowic i innych becyrków. — Poznawszy po odzieży swojaka, wybiegł z nich jeden na ulicę i pyta:

„Skąd ty jesteś człowieku?“ — Ten się obłąkł, myślał, że go chcą areztować. Poznał ten pan, że człowiek jest w obawie, więc go zagaduje innymi słowy: — „Jak dawno wyszedłeś z domu? Co słyhać w Polsce? — Mów śmiało! Jam też Polak! — Czy prawda to, że w Chochołowie stała się jakaś rewolucja? — Chodź ze mną, bo tu na ulicy nie można o tem mówić..“

Udaje się więc Szczypta za nim — tam gdzie przyszli, zebrano się więcej polskiej szlachty.

Wtedy przyznaje się Szczypta do wszystkiego, opowiada, jako był wójtem w Witowie, że do powstania nietylko sam przystał ale i innych namawiał, wyganiał a nawet i zmuszał; a teraz gdy jednego gospodarza z jego wsi w potyczce zabili, — on uszedł z domu, aby tam nigdy więcej nie powrócić..

Gdy to panowie usłyszeli i dowiedzieli się, że on się już szósty dzień tak tuła — naprzód go nakarmili, napoili a potem jeden z nich tak przemówił:

„Kiedy tak mówisz — rodaku, że nie myślisz już o powrocie do swoich, to chodź ze mną..“

Gdy Szczypta zgodził się, kupili mu inny ubiór i swoim kosztem wysłali aż do Paryża, gdzie powierzyli pewnemu hrabiemu, który od ostatniego powstania tam mieszkał.

Z Paryża Szczypta nie wrócił do domu, — tylko kiedy się dowiedział, że jego koledzy już wolni — całą tę historję opisał w liście do Jana Styrczuli z Dzianisza.

W Chochołowie pamięć tych zdarzeń trwała przez długi czas. Nie dali o nich zapomnąć i swoi, którzy sprawy nie rozumieli. Do późnych czasów znęcali się nad nami Czarno-Dunajczanie. Nie tylko rebeljantami nas przezywali, ale i czynnie znieważali. — Na jadącego spokojnie Chochołowianina — Czarnodunajczanin umyślnie kierował konie, aby mu zawadzić, a potem biczem ze sił smagał, wołając: „Ty bestjo, rebeljanie jeden!“

Ojciec mój z taką blizną na twarzy umarł, co ją od jednego Czarno-Dunajczanina otrzymał, a kiku innym to samo się przytrafiło. — Niech im Bóg przebaczy — Panie Święty! — Ale zdrajców już Bóg ukarał na tym świecie. Herszt Jakób Chlebek, który ludzi na Chochołów prowadził i co mają czynić pouczał — w krótkim czasie o zebranych chlebie, w nędzy żywota dokonał, chociaż był przedtem bardzo majątny. W Czarnym Dunaju kamienicę z kilkoma placami posiadał, przeszło 26 morgów gruntu — wszystko to przeszło w żydowskie ręce i do dzisiaj żydzi te place posiadają. Z sześciu córek, żadna nie dostała ani funta ziemi, ani najmniejszego wiana.

Na tem się kończy opowieść Pilcha. Ktoby pragnął zapoznać się bliżej z dziejami Chochołowa i dzielnych jego mieszkańców, temu polecam gorąco piękną i wyczerpującą pracę dra St. Eljasza Radzikowskiego p. t. „Powstanie Chochołowskie.“

I jeszcze jedno pozwolę sobie dodać. Obecny naczelnik gminy chochołowskiej, Józef Kojas, obawiając się, że po wymarciu wszystkich świadków powstania, pamięć o bohaterskim porywie zaginie, pragnie na miejscu dawnej wikarjówki, gdzie był niegdyś punkt zborny powstańców, wznieść skromny pomnik pamięci ks. Kmietowicza i Andruskiewicza poświęcony. — Co do funduszu liczy na miejscowych górali, zwłaszcza tych, którzy w Ameryce przebywają a także na ofiarność ludzi dobrej woli. Każdy najdrobniejszy dattek, jako objaw łączności narodowej z wdzięcznością będzie przyjęty. Nadsyłać można na ręce inicjatora Józefa Kojas, naczelnika gminy Chochołów (p. Czarny Dunajec).

W. LUTOSŁAWSKI

O PRZYSZŁEJ WOJNIE.

Nowożytne państwo, jednoczące zwykle wiele ludów pod jednym rządem, na wojnie stoi, z wojny powstało, przez wojnę zginie.

Więc nowy porządek rzeczy: wprowadzenie w czyn i w życie nowego hasła nieśmiertelności narodów i zniesienie niewoli ludów — bęłtzie wynikiem szeregu wojen, lub jakiejś wielkiej wojny, o którą Mickiewicz błagał Boga w Litanji Pielgrzyma.

Ludzie wyzwoli z ucuć narodowych mogą dziś marzyć o wiecznym pokoju, oi zaś, oo z panującego porządku rzeczy są niezadowoleni, muszą swe nadzieje pokładać w wojnie. Naturalnie, budżety wojskowe państw nowożytnych są świadectwem absurdu, do którego dawna zaborezość prowadzi.

Na utrzymanie zbrojnego pokoju wydaje się więcej ludzi, czasu, pieniędzy, niż dawniej na najkrwawsze wojny.

Coraz częściej bywa to wytykane jako rzecz nierozumna, bezsensowna — coraz to liczniejsze są wezwania, by tej bezmyślnej zabawy w żołnierze zaniechać — ale dopóki jeszcze jest o co wojnę prowadzić, wojska nie będą rozpuszczone.

Państwa istniejące dziś dzielą się na dwa rodzaje. Liczne są państwa narodowe, jak Szwecja, Norwegia, Danja, Grecja, Portugalia, Hiszpanja, Holandja, Japonja, Chiny, w których jeden naród sam sobą rządzi, a mało ma wśród siebie cudzoziemców.

Ale te państwa nie spełniają najoczęściej swego przeznaczenia, gdyż nie jednoczą wszystkich rodaków pod swoim rządem. Istnieją ziemie włoskie poza Włochami, duńskie poza Danją, greckie poza Grecją, francuskie poza Francją i mieszkańcy tych ziem oiążą ku swoim ojezyznom.

A zjednoczeniu przeszkadzają państwa zaboroze, jednoczące w imię swego imperjalizmu różne narody pod jednym rządem i dążące do ciągłego powiększania swej powierzchni.

Państwa narodowe powstały po części z państw zaborozych. Szwecja panowała nad wieloma ludami, nim pozostała państwem szwedzkiego narodu. A odkąd utraciła odpowiedzialność za swe zamorskie dzierżawy, cała energia mieszkańców skupiła się na udoskonaleniu zewnętrznej organizacji i naród żyjąc w pokoju, doszedł do wyżyn kultury i cywilizacji, stając się pod wieloma względami wzorem dla innych narodów. Ten sam proces zaczął się w Hiszpanji od utracenia reszty odległych kolonji. Grecja wiała w Azji i Afryce, a dziś po wiekach niewoli, które były pokutą za nadużycia wiekowe jej władców — znów się odradza na narodowej podstawie. Podobny jest los Bułgarji i Serbji.

Pozostają w Europie tylko cztery jeszcze państwa zaboroze i dwa państwa, które się zaborozości pozbyły, lecz jeszcze nie utraciły swych rozległych kolonji zamorskich, zdobytych poczęści przez podbój, po części przez ekspansję handlową. Wprawdzie i Danja, Holandja, Włochy, Portugalja mają kolonje w innych częściach świata, lecz nie mogą one iść w porównanie z ogromną powierzchnią kolonji Francji i Anglii.

Francja lekkomyślnie utraciła Luizjanę i Kanadę w Ameryce, przez co dała się wyprzedzić Anglii. Ale Anglii nie można dziś pożytywać za państwo zaboroze — ona nie myśli o nowych podbojach, a nawet wyrzeka się władzy nad krajami, które zdobyła, gdy tylko ich mieszkańcy dojrzewają do samorządu.

Charakter państwa zaborozego ma prócz tych trzech państw, które zwykle tak nazywamy, tylko jeszcze Turcja, która jednak po kolei traci swe zdobycze i ulega temsamemu procesowi, co przed nią Szwecja i Hiszpanja.

Zasada imperjalizmu szerzona dziś najbezwzględniej w Niemczech, polega na twierdzeniu, że wszelkie państwo stworzone przez wielki naród, ma prawo ujarzmić inne narody, o ile one zajmują ziemię dla zaokrąglenia tego państwa potrzebne.

Jest to starożytna zasada niewolnictwa, zastosowana do narodów. W starożytności uznawano, że wielki i mężny rycerz ma prawo

korzystać z usług tych, których zwyciężył i posługiwać się nimi jako niewolnikami.

Niewolnictwo jednostek zostało uznane za sprzeczne z obrześcijską i po wielkiej wojnie domowej Stanów Zjednoczonych zniesione we wszystkich cywilizowanych krajach, potępione przez wszystkie cywilizowane narody. Niewola ludów, choć równie sprzeczna z chrześcijańskim duchem, trzyma się jeszcze i ma wymownych obrońców.

Tak jak dawniej tłumaczono, że możny i wolny obywatel dla świetności i piękna swego żywota, nie mógłby się obejść bez licznych niewolników — tak dziś słyszymy analogiczne dowodzenia, że wielki i świetny zwycięski naród potrzebuje państwa dobrze obwarowanego, stanowiącego zaokrąglone terytorjum, na którym słabsze ludy powinny ulegać panującemu narodowi i cieszyć się, że służą za podporę tak znakomitego i potężnego państwa.

Potęę zaś państwa mierzy się jego podbojami i zakresem jego handlu i przemysłu, którego produkty zbyt muszą znaleźć w krajach ekonomicznie zależnych choć jeszcze nie podbitych. Podbój ekonomiczny wyprzedza podbój polityczny — jak n. p. kupcy angielscy wprzód opanowali Indje, nim za nimi podążyły wojska. Taksamo teraz kupcy niemieccy opanowują Królestwo Polskie, które jest potrzebne dla zaokrąglenia cesarstwa niemieckiego a gdy ekonomiczne interesy niemieckie dojdą w tym kraju do pewnego znaczenia, łatwo się znajdzie pretekst do wojny, prowadzącej do politycznego podboju tej prowincji, lub też można będzie ją zdobyć na mocy dobrowolnego układu z potężnym państwem sąsiednim.

Podbój jakiegoś kraju, to znaczy zapewnienie utrzymania dla urzędników, żołnierzy i kupców panującego państwa na koszt pracy podbitego narodu. Pełne życie każdego narodu wymaga, by jednostki wybitniejsze zajmowały w niem stanowisko wyższe w administracji politycznej, w wojsku, handlu i przemyśle.

Według doktryny imperjalistycznej tylko jeszcze narody są wyjątkowo uzdolnione do tych wygodnych stanowisk i powinny opanować narody mniej uzdolnione do pasożytnictwa.

Niestety, gdy naród jakiś przez dłuższy czas wydaje za wiele

urzędników, generałów i rozmaitych władców, to zwykle traci na jakości tych przodujących jednostek i zakradają się różne nadużycia, spostrzegane w ciągu wieków we wszystkich wielkich państwach zaborczych, poczynając od Assyrii i Babilonii, a kończąc na współczesnych Prusakach. Zbyt łatwe dochodzenie do władzy powoduje zepsucie moralne jednostek i całych grup społecznych. Rządzenie zaś obcym narodem wywołuje nieuchronną nienawiść tego narodu i towarzyszącą jej pogardę, które to uczucia dziwnie są w stanie oddziaływać na zarozumiałych władców i osłabić ich wewnętrznie, aż do tego stopnia, że tamci radziby się władzy pozbyć byle uniknąć tego nieznośnego żaru nienawiści i pogardy, który ich pali.

Napróżno pod groźbą i przymusem wymagają od tych podwładnych zewnętrznych objawów czci i uległości. Zawsze się znajdują okazy, przy których długo tłumiona nienawiść wybuchą i budzi strach w tych co strachem panowali. W miarę jak podwładni przywykają do swych władców, coraz to mniej ich się boją i umieją sobie zapewnić coraz to więcej faktycznej swobody, zachowując zewnętrzne formy hołdu i uległości.

Więc narody zaboreze dopóki się z tej gorączki zaborczej nie wyleczą, z natury rzeczy szukają coraz to nowych zdobyczy, nowych poddanych, nowych prowincji, gdzieby się znalazły miejsca dla nadprodukcji wyższych urzędników cywilnych i wojskowych.

To prowadzi do wojny. Państwa zaboreze są w ciągłej wojnie między sobą i ludami dotąd nie podbitymi, choćby formalny pokój trwał przez pokolenia. W ubiegłym stuleciu widzieliśmy wiele krwawych wojen i wiele zmian w granicach politycznych państw zaborczych. Choć od trzydziestu lat panuje pokój w Europie, to pokój ten pełen jest zapowiedzi wojny i wojna jest przez wszystkich oczekiwana.

Najwięcej nienawiści wywarli swymi zaborami Prusacy, choć stosunkowo daleko mniej ziemi zdobywali niż Anglja, Francja i Rosja. Ale zabory ich odbywały się w środku Europy, kosztem narodów o wysokiej cywilizacji — i narody te nie wyrzekły się praw swoich.

Anglja przez naturalny rozwój wewnątrz doszła do uznania

praw narodowości. Anglicy brali indywidualnie czynny udział w walkach o niepodległość Grecji i Włoch — a jako państwo dokonali niebywałego w historii czynu — gdy dobrowolnie ustąpili wyspy Jońskie Grecji.

Wiekopomna to zasługa Gladstone'a. Wyspy te były w posiadaniu Anglii przez kilkadziesiąt lat, a każde powstanie w ciągu tego czasu z łatwością bywało stłumione przez potęgę Wielkiej Brytanji. Stanowiły one bardzo cenną dla mocarstwa morskiego posiadłość, zapewniającą panowanie nad morzem Adrjatykiem. Nie było żadnej innej przyczyny, żeby się wyzecz tej wytrwale bronionej posiadłości, jak tylko stała wola jej mieszkańców. Anglja tę wolę uszanowała i bezinteresownie wyspy Jońskie Grecji oddała w 1864 r. Przez ten czyn uznała prawo narodowości.

Jeszcze dalej w tym samym kierunku zaszedli Anglicy, gdy w kilka lat po zwycięskiej wojnie z Transwaalem, nadali Burom zupełny samorząd i konstytucję z zupełnem równouprawieniem holenderskiego języka w całej południowej Afryce.

Przez takie czyny Anglja stanęła w rzędzie państw uznających hasło narodowości i przez to najostrzej się przeciwstawiła Prusom, które najbezwzględniej gwałcą prawa narodowości.

Gdy Prusacy rządzą w Niemczech, a Niemcy pod ich wpływem nie usłaną w zaborczych ambiojach, starcie między Niemcami a Anglją jest nienchronne i będzie decydującem dla polityki przyszłości.

Biorąc rzecz ogólniej, walka poprzedzająca powszechne uznanie prawa każdego narodu do rozporządzania sobą, wybucha z konieczności między mocarstwami zaborczemi i wskutek ich współzawodnictwa — zaborczość nie ma granic i wywołuje starcia między zaborczemi państwami. W tych starciach zwyciężają silniejsze i w ten sposób powstają coraz to potężniejsze zaborcze państwa.

Te, które nie chcą się zatrzymywać w swych ambiojach, z czasem dochodzą do wyczerpania sił swych i upadają pod ciężarem wywołanej przez nie w poddanych nienawiści, wskutek czego tracą podbite kraje i są zmuszone ład wewnętrzny zaprowadzić u siebie, jak Szwecja i Hiszpanja. Inne zaś państwa jak Wielka Brytanja w miarę swego rozwoju zaczynają uznawać prawa naro-

dowości i tem przedłużają swe państwowe istnienie, aż się przeobrażą na unje wolnych narodów.

W miarę jak rozwój państw dobiega do swego naturalnego kresu, a zabobczość w swym tryumfie zarazem uwydatnia wszelkie z niej płynące niebezpieczeństwa, szczególnie zwyrodnienie warstwy rządzącej, także rozwija się organizacja narodowa przeciwległa państwowej władzy, dążąca do stworzenia państw narodowych na gruzach rozbitych państw zabobczych.

Państwa zabobcze wzajemnie się pochłaniają, a te co w końcu okresu państwowości jeszcze pozostają, albo rozpadają się wskutek niemocy wewnętrznej, albo też nie mogą się dłużej oprzeć sprawiedliwym żądaniom uświadomionych narodowości.

Taki przebieg musi mieć przejście od współzawodnictwa państw do narodowej organizacji, gdy okres ambicji państw i ich władców dobiega do kresu, a poczyna się epoka organizacji narodowej i współzycia narodów wzajemnie się wspierających.

Odpowiada to nawróceniu narodów na chrześcijaństwo. Dotąd znamy tylko jednostki przejęte duchem Chrystusa, w stosunkach narodów między sobą niema miłości. Nieliczne są przykłady w dotychczasowej historii naszej ziemskiej ludzkości, zapowiadające chrześcijaństwo narodów, jak n. p. Unja Lubelska lub obrona Wiednia.

Żyjemy dziś w tej szczęśliwej epoce przejścia od wiecznej walki między państwami, do wiecznego pokoju między narodami. Ale pokój ten trzeba wywalczyć, a walka się zacznie jako walka między państwami, wzajemnie sobie pragnącemi wydrzeć władzę. Każde upokorzenie zabobczego mocarstwa zawsze przynosi korzyść narodom przez nie uciemiężanym. Węgry zawdzięczają swą narodową niezależność porażce Austrii w walce z Prusakami. Turoja pobita przez Rosyę musiała dać niezależność bałkańskim narodom.

Niemcy swą bezwzględną zabobczością budzą nienawiść nie tylko w uciskanych politycznie Francuzach, Duńczykach, Polakach, Czechach, Włochach, Kroatów — ale także w krzywdzonych ekonomicznie Anglikach.

Więc przyszła wojna musi wybuchnąć przeciwko Niemcom.

Każdy czyn ich brutalny zbliża chwilę odwetu. Obrażają oni już nie jednostki i narody, ale całą ludzkość.

W Austrii zostali już zmuszeni do pewnego umiarkowania, lecz Austrija sama jest w stanie rozkładu jak dawniej Szwecja lub Hiszpanja. A Niemcy nie dadzą Austrii się rozpaść, naturalnie, pokojowo na kilka mniejszych państw narodowych — jak Czechy, Kroacja, Galicja, Węgry. Więć gdy nieuchronny rozkład Austrii doprowadzi do pewnego kryzysu w tej walce narodowości z państwem, która się tam odbywa, Niemcy zechcą zagarnąć prócz niemieckich prowincji Austrii także wrogie im okręgi innych narodowości i to może stać się pobudką wielkiej wojny — koalicji narodowych państw z Anglią na czele przeciwko Niemcom, z którymi naturalnym sojuszem związaną będzie Rosja, oddawna rządzona niemiecką metodą, ze znacznym udziałem niemieckich urzędników i generałów.

A wojna taka nie będzie jak dotychczasowe wojny europejskie zlokalizowanym pożarem. Hasło narodowości poruszy nawet narody w spokoju będące od stuleci. Skandynawja będzie miała wybór albo w imię germańskiego powinowactwa stanąć po stronie Niemców, albo też ze względu na łączące ją z Finlandją stosunki i na prześladowanie Duńczyków w Szlezwigu, stanąć razem z koalicją narodów przeciwko zaboreom.

Włochy naturalnie upomną się o połączenie z nimi rodaków niezadowolonych z austriackiego rządu. Narody nie mające państw zaczną pod opieką Anglii i Franeji tworzyć legjony narodowe na wzór tych, którymi rozporządzał Napoleon. Będziemy więc w wojsku europejskiej koalicji widzieć prócz polskich inne słowiańskie legjony, które ogarnięte duchem narodowym dokonywać będą cudów bohaterstwa i nadadzą hasłu narodowości taką siłę, że zawarcie pokoju bez uwzględnienia wszystkich narodowych żądań stanie się niemożliwością.

Walka coraz to gorętsza będzie się toczyć między imperjalizmem a nacjonalizmem z tą szczególnością, że największe imperjum na ziemi stanie po stronie nacjonalistów i nie będzie bynajmniej rościć pretensji do nowych zaborów, tylko będzie walczyć przeciwko samej zasadzie zaborezości tak jak sto lat temu walczyła

Europa cała z największym zaborcą nowszych czasów, Napoleonem.

Ale walka ta musi być walką decydującą. Gdy chodziło Anglikom o zabezpieczenie się przed jednym zaborcą — nie wystarczały im zwykłe więzienia i nie spoczęli, aż osadzili go na wyspie św. Heleny. Gdy teraz chodzić będzie o cały zaboreczy system, uznany za szkodliwy i o zaboroze państwo, które jest tego systemu główną podporą, to zachodzić będzie potrzeba również radykalnego porachunku.

Można będzie Niemcom południowym i często niemieckim prowincjom Austrii dać niezem nieograniczoną wolność narodowej organizacji. Ale Prusy dla spokoju Europy będą musiały nie tylko powrócić ziemie zabrane Francji, Danji, Polsce — lecz całe to państwo zaboroze trzeba będzie unicestwić, nie naruszając w niezem praw narodowych przysługujących zamieszkującej je ludności.

Państwo to zawsze byłoby ogniskiem militarystyki, groźbą dla Europy. Więc nieuchronną koniecznością będzie poddać je długoletniej okupacji przez administrację międzynarodową utworzoną z przedstawicieli tych narodów, które były uciskane przez Prusaków, a które się mścić na nich nie będą, rade, że nareszcie hasło narodowości zwoiżyło.

Będą więc w Prusach przez kilkadziesiąt lat po decydującej wojnie rządzić Francuzi, Duńczycy i Polacy, kształcąc ich uczucia narodowe.

Jest wielce prawdopodobnem, że większa część Prusaków, gdy będą pozbawieni wszelkiej nadziei odbudowania rozbójniczego państwa, powoli utracą zewnętrzne swe cechy germańskie a powrócą powoli do Słowiańszczyzny, z której wyszli. Wszak Prusacy to przeważnie zgermanizowani Słowianie. Przyjęli język germański, lecz pozostają w głębi duszy Słowianami, a gdy się wyzwolą od chorobliwej ambicji zaboreczej — pokochają nasze ideały, jak to już uczyniło wielu z pomiędzy tych, co w Warszawie lub gdzieindziej w Polsce osiedli.

Ale nim to nastąpi, dużo walk minąć musi. Niemcy będą rozumieli, że chodzi o ich umiłowany byt państwowy i użyją wszystkich środków, aby w sojuszu z Rosją a może nawet jeszcze

• rozpadającą się Austrią zwyciężyć. Jeśliby im to się udało wskutek obojętności i antymilitaryzmu Francji, to nie zatrzymają się w pół drogi, lecz zagarną Belgję, Holandję, Danję, część Francji, Czechy, Węgry, Polskę, Rumunję, Serbję, Kroację, Bułgarję.

Utworzyliby wtedy w środku Europy potworne państwo z harkatyzmem skierowanym przeciwko wszystkim ujarzmionym narodowościom. Wymyślaliby coraz to straszniejsze prawa wyjątkowe tak dalece, że ani w Warszawie nie wolnoby mówić po polsku, ani w Brukseli po francusku. Zapanowałby ucisk niebywały w dziejach, rozpanoszenie prusactwa na wszystkie strony, przymusowe wychowanie młodych Duńczyków, Francuzów, Polaków, Czechów, Węgrów, Rumunów i innych mniejszych narodowości w pruskich szkołach, surowe zakazy pannom tych narodowości wychodzenia za mąż za rodaków — tortury w więzieniach za każdy swobodniejszy wyraz uczuć narodowych. Prusak doprowadzony do strachu szaleje, jak Słowianin gdy go radość porywa, lecz szal jego jest innego rodzaju i bardzo niebezpieczny.

Ogłoszonoby Alpy za niemieckie góry i zajęto by je od Nicei do Wiednia. Ren i Rodan byłyby niemieckimi rzekami, od źródeł swych do ujścia, podobnie jak Dunaj, Wisła i Niemen.

A na ostatej przestrzeni tego nowopruskiego państwa pobudzanoby przez ucisk uczucia narodowe, aż do wybuchu powszechnego powstania przeciw Niemcom i utworzenia w osłabionej Anglii i Francji mnóstwa legionów narodowych.

Walka by się wzniosła z bezprzykładną bezwzględnością i skończyłoby się mogła tylko zupełnym pogromem Prus, uniemożliwiającym na zawsze ich wskrzeszenie. Trzeba będzie poważnych gwarancji na przyszłość, aby wytepić ten wrzód wybujały kosztem tyłu narodowości Europy i nie stworzyć na ich miejscu nowego jakiegoś ogniska ucisku.

Ale ludzkość współczesna zawsze znajduje środki gdy ma pełną świadomość celu. Wojna nie stała się wcale niemożliwą, jak przepowiadał Bloch, tylko bardzo kosztowną i poważną sprawą a gdy już wybuchnie ta wielka pod hasłem wyzwolenia narodowości, to nie powstrzyma koalicji europejskiej od osiągnięcia celu.

Minął czas kompromisów i wybiegów dyplomatycznych lub względów na osoby panujące. Po strasznej wojnie trzeba będzie stworzyć warunki zapewniające wtedy pokój.

Wojna ta wieloletnia przewyższy grozą wszystkie dawniejsze. Nie potrzeba wysilać wiele wyobraźni, by opisać te bitwy, w których miliony żołnierzy, tysiące statków powietrznych będą po obu stronach. Niespodziewane i nieprzewidziane sposoby zniszczenia się objawiają, całe miasta poznikają prawie bez śladu z powierzchni ziemi, choroby zaraźliwe będą podstępnie szczepione wrogom, będzie to wielka walka o śmierć i życie między narodami a wybujałą nadmiernie państwowością. I choćby losy się ważyły bardzo, choćby wielokrotnie się już wydawało, że północne państwo, asymilujące wszystkie narody, zwyciężyło i panować będzie bez litości, zaprowadzając wszędzie jeden język, jedno prawo, jeden obyczaj — to w końcu napewno zwycięży idea narodowa, wyzwolenie ludów, prawo ludzi do grupowania się według duchowych podobieństw a nie według praw arbitralnych niemieckiego feudalizmu, który się przekształcił w nowszych czasach na bezlitosny imperjalizm.

W tej wielkiej wojnie legjony narodowe, w których najlepsza młodzież wszystkich ucisnionych narodów weźmie udział, wytworzą najskuteczniejszą szkołę narodowych uczuć. W nich oficerowie będą braćmi żołnierzy, a niejeden z pośród prostych żołnierzy w chwilach wolnych od walki będzie nauczycielem towarzyszy.

Ten charakter wychowawczy wojska, znany nam z historii naszych legjonów, stanie się zdobyczą powszechną. Będą się towarzysze jednej chorągwi uczyć razem dziejów swego i innych narodów, będą się wspólnie zastanawiać nad każdym bohaterskim czynem minionych walk o niepodległość, prowadzonych przez różne narody, będą w myśli swej doskonalić ideał życia narodowego, tego najściślejszego związku jednostki z ogółem jednostek duchowo do siebie podobnych.

Już w walce okażą się cechy rozmaitych narodów, ich odrębność duchowa, która się wyrazi w charakterze czynów przez nie popełnianych. Powstanie podczas tej walki olbrzymia literatura uczuć narodowych. Namiętna i szalona miłość, którą ludzkość dotąd znała głównie jako poezję wyłącznego związku dwójga osób

sobie najbliższych, zajaśnieje nowem światłem jako związek wielu duchów z sobą połączonych dla wspólnego ideału. Jeśli o szczęściu, jakie daje ów wyłączny związek, w którym tylko dwoje udział bierze, tyle napisano pięknych wierszy, to szczęście szersze, bogatsze, jakie daje poświęcenie jednostki dla narodu, miłość narodu — wyrazi się w utworach o nowym i niesłychanym uroku.

Wszak trzecia część „Dziadów“ bynajmniej nie ustępuje czwartej, a „Przedświt“ i „Psalmy“ Krasińskiego nie mniejsze wyrażają piękno niż „W Szwajcarji“ Słowackiego.

Dotąd miłość narodu tylko w naszej literaturze zajmuje tak wielkie miejsce, bo u nas uczucie narodowe najsilniej zostało rozbudzone, ale te uczucia łączące jednostki z narodem wzrastają wszędzie, gdzie tylko się toczy jaka narodowa walka i prowadzi do bohaterских wysiłków.

W wojnie przyszłości piosenki będą nie mniej skuteczne niż armaty, a wpływ sił ducha na świat materialny okaże się w pełni.

Walczyć będą ludzie nie tylko wszystkimi środkami materialnymi, ale też największem natężeniem sił duchowych. Już dziś widzimy znaczny rozwój sposobów działania na przekonania i uczucia mas.

W ostatecznej wojnie potęga słowa będzie czynnikiem bardzo ważnym, decydującym nieraz o najświetniejszych zwycięstwach, gdy całe pułki poruszone natchnionem słowem jednego nawróconego żołnierza lub oficera, przechodząc będą nagle do armji narodowych.

Żołnierze nie wyrzekną się obywatelskiej wolności słowa, którą nowożytnie państwo, wbrew swoim czysto państwowym interesom jest zmuszone coraz to konsekwentniej przyznawać swoim mieszkańcom. Nie będą też oierać żadnej cenzury, pozbawiającej ich poznawania najnowszych książek.

W tych męczących tygodniach oczekiwania, które w nowożytnej wojnie przy olbrzymich wojskach są nieuchronne, starczy żołnierzom czasu na czytanie i rozmowy, na uświadamianie się narodowe lub na budzenie ambicji państwowych.

Państwa dążące do podboju narodów będą kusity jednostki obietnicami wszelkich indywidualnych korzyści, jakie zwyyczajnie

państwo uprzywilejowanej jednostce zapewnić może. Więc pieniądze, urzędy, urok wielkiej władzy pozyskają wielu „oziioieli potęgi.“ Będą to ludzie, którzy najwięcej dla samych siebie łakną materialnych dóbr, a nie są w stanie poświęcić się dla ideału miłości, łączącej wiele jednostek duchowymi węzłami w jeden nieśmiertelny naród. W wojskach państwowych znajdzie się wiele żołnierzy trzymanyoh strachem, nie mającyoh wiary w ideały narodowe, ani też nadziei w ich urzeczywistnienie. Typ żołnierza owych wojsk państwowych zbliżony będzie do typu obecnych pruskich junkrów. Oficer uważający swój stan za elitę ludzkości, traktujący z góry i podwładnyoh i wszystkich cywilnyoh. Żołnierz ulegający karnie oficerowi ze strachu i czci dla tylokrotnie wykazanej mocy. Wyćwiczenie techniczne tych oficerów i żołnierzy państwowych będzie prawdopodobnie o wiele przewyższać pod wszelkim względem wyćwiczenie wojsk narodowych, złożonyoh z ochotników umundurowanyoh i uzbrojonyoh przeważnie na koszt własny i pochodzącyoh ze sfer ludzi fizycznie słabszyoh, pracującyoh umysłowo.

Siła materialna będzie z początku po stronie wojsk państwowych ze względu na ich karność i uzbrojenie.

Fachowi wojskowi będą sobie ochotników narodowych lekceważyć i grozić im rychło porażką. Ale z biegiem czasu się okaże, jak siły duchowe, łączność braterska oficerów z żołnierzami, uświadomienie żołnierzy łaknącyoh bohaterstwa — więcej znaczą w końcu od rutyny, wyćwiczenia a nawet mechanicznej karności.

W takiej walce trzeba będzie coraz to nowych pomysłów, a tych zbraknie rutynistom. Niespodziewane, nieprzewidziane sytuacje będą wymagały inicjatywy już nie tylko wodzów, ale nawet każdego żołnierza. Trudy, brak pożywienia, nadmierne podniecenie wobec niewidzialnego, a zabójczego wroga, będą wielu przyprowaiać o choroby szczególnie umysłowe — a na te wszystkie niebezpieczeństwa odporniejsi będą żołnierze owiani duchem narodowym, niż wierni studzy państw o wielu narodowościach.

Dwie takie wojny wielkie dotąd znamy w historii i obie doprowadziły do zwycięstwa stronę materialnie słabszą, ale duchowo więcej pobudzoną. — Wojna 30 letnia o wolność wyznania i wojny obywatelskie Amerykanów o zniszczenie niewolnictwa. Obie wojny

były niezwykle ciężkie — ale wojna o zniesienie niewoli narodów będzie jeszcze daleko gwałtowniejszą, przy niesłychanej zaciętości stron obu. Zwalczając się będą na ziemi, na wodzie, w powietrzu, pod wodą i nawet pod ziemią.

W czasie wojny i nawet podczas bitew nowe zabójcze wynalazki będą przechylały szale na jedną lub na drugą stronę. A wobec każdego nowego narzędzia walki będą ludzie wymyślać też nowe środki obrony. Takie podniecenie, w jakim wtedy cała ludzkość żyć będzie, nigdy dotąd jeszcze znanem nie było, nawet podczas wojen Napoleona. Te wojny i animusz żołnierzy wielkiego wodza, to dopiero zapowiedź wojen ostatecznych. Napoleon miał z początku powołanie obrońcy narodowości i niszczyciela państw zaborczych, lecz wskutek ambicji osobistych sprzeniewierzył się temu wielkiemu powołaniu, dał się przekupić stanowiskiem cesarza Francuzów i związkami bezprawnymi z jedną z najdawniejszych panujących rodzin.

Potem zdawało się, że wojna ludów wybuchnie w r. 1848, ale została wówczas przez państwa zaborcze uśmierzona. Odtąd widzimy szczególne zjawisko, jak wojny zaborcze wbrew woli zapasników służą sprawie narodowości i wyzwalają narody. Napaść Jamesona na Transvaal doprowadziła po krwawych zapasach do takiej potęgi Burów w południowej Afryce, jakiejby oni sami bez tego imperjalistycznego zamachu nigdy nie osiągnęli. Włochy zyskały przez kolejne pogromy Austrii i Francji urzeczywistnienie swych narodowych aspiracji.

Walka o prawa narodowości budzi się już w Egipcie i nawet Indjach, które dotąd od tyłu wieków znosiły różne jarzma obcych ciemiężców. Ambicje państwowe u wielu jednostek tłumią dotąd wszelkie uczucia narodowe. Ale gdy stanie się pewnem i niezawodnem, że jest tak niemożliwem oprócz byt państwa na prześladowaniu narodowości, jak dziś jest niemożliwem oprócz byt jakiegokolwiek fabryki na pracy niewolników — to w duszach wystygłych dziś międzynarodowców zaczynają się budzić ognie przynależności narodowej i staną wszyscy do tej walki decydującej — w której się rozstrzygnie, czy ludzkość cała ma żyć w jednym wiel-

kiem więzieniu państwowem, czy też rozwinąć swe siły twórcze w grupach narodowych duchowo zjednoczonych między sobą jednostek.

Rozstrzygnie się zarazem w tej walce, czy jednostka ludzka jest ostatecznym wytworem życia, czy też dopiero naród z wielu jednostek zespolonych jest członkiem zorganizowanej ludzkości.

A co najważniejsza, w tej samej walce rozstrzygną się losy socjalizmu. Przez wiele minionych pokoleń państwa prześladowały socjalistów jako swych wrogów.

Byli oni istotnie wrogami poszczególnych mniejszych państw i dziedzicznych rządów — lecz ich ideał odpowiadał największej potędze zwycięskiego nad innymi państwa, wznoszącego się na gruzach państw historycznych. Znamienny to fakt, że w Prusach wraz z hakatyzmem najsilniej się rozwinął socjalizm.

Oba te kierunki są wrogię narodowościom, a wynikają z nieokielzanej ambicji władzy, dającej pole jednostkom do wyjątkowych stanowisk niezależnych od pracy, ani od wartości moralnej, ani wysiłków twórczej myśli.

Socjalista pragnie potwornie potężnego państwa w nadziei, że w niem pozyska bardzo uprzywilejowane stanowisko. W walce między ideałem państwowym a ideałem narodowościowym, socjalista stanie po stronie uznającej przewagę i doniosłość sił i stosunków materialnych. Nacjonalizm w ścisłym znaczeniu tego słowa, jest dążeniem duchowem — podczas gdy hakatyzm, socjalizm, imperjalizm, są dążeniami opartymi na kulcie siły i potęgi materialnej.

Chodzi o to, czy życie ludzkie ma cele duchowe czy cielesne? Czy celem godnym wysiłków jest zdobycie największych bogactw, opanowanie największego terytorjum, zadowolenie wszelkich umysłowych pożądań — czy też twórczość przy największej swobodzie, którą człowiek czuje tylko w środowisku narodu swego, gdy dla tego narodu pracuje, z którego wyrósł.

W miarę wzrostu oświaty, znajomości historii, powszechnego czytelnictwa, coraz to więcej ludzi zda sobie sprawę z niezgodności tych dwóch celów — coraz to jaśniej każda strona wyobrazi sobie to, co ją pociąga w upragnionym przez nią ustroju — coraz to goręcej zapragnie ziszczenia swojego marzenia — i z większą stanowczością będzie zwalczać przeciwników. Choćby wojna

wybuchła z początku pod pozorem starcia kilku zaboreznych państw, lub pod jakimkolwiek innym pretekstem, to w końcu zawsze dojdzie do walki między ideałem potężnego państwa a ideałem narodu wolnego.

W potężnem państwie niema miejsca dla wolnego narodu, a wolność miłujący naród nie może tworzyć potężnego państwa — więc te dwa ideały obok siebie istnieć nie mogą i muszą się zwalczać nieubłaganie. A cele dla obu stron są tak ważne, że walka o nie będzie walką z wyęzieniem sił wszystkich, wojną straszną, jakiej wzoru dotąd ludzkość jeszcze nie widziała.

WACŁAW GASZTOWTT.

O PODRÓŻY J. F. REGNARDA DO POLSKI W R. 1682.

We wrześniu r. 1909 w miasteczku francuskim Dourdan odsłonięto pomnik sławnego komedjopisarza francuskiego *Regnarda* zmarłego tam lat temu 200 w 54-tym roku życia.

Regnard był następcą Moliera, a jedynym uczniem prawdziwie godnym niezrównanego mistrza komedji francuskiej i wszechświatowej. Jego arcydzieła *Le Joueur*¹⁾ (Graoz), *le Distrain* (Rozstrzepanie), *Demokrit*, *le Legataire Universel* (Ogólny spadkobierca) uważane są za klasyczne i dotąd grywane z powodzeniem na scenie Komedji francuskiej.

Nie dlatego jednak tu o nim wspominamy. Przyszły poeta był w młodości wielkim, jak dziś mówią, *Glob-trotterem*. Wędrował kolejno po Włoszech i Algierze, gdzie dostał się do niewoli u rozbójników morskich i pełnił znakomicie, jako sam wielki smakosz, u swego pana Achmet Talema obowiązki kucharza, był także później niewolnikiem w Konstantynopolu, chociaż z niewiadomych przyczyn o tej mimowolnej podróży sam w pismach swoich nie wspomina, a po krótkim pobycie w ojczyźnie i skutkiem zawadów miłosnych znowu puścił się, szukając pociechy w drogę (r. 1681) do Flandrji, do Holandji, a potem do Danji i do Szwecji. Ze Szwecji, za namową króla Karola XI, wyprawił się do Laponji, a zwiędziwszy kraj ten aż do morza Lodowego (ledwo że do bieguna północnego nie dotarł) powrócił do Sztokholmu, skąd (w r. 1682) wzięła go ochota poznania krajów polskich. Z Polski znowa udał się do Węgier i przez Niemcy powrócił do Francji 4. grudnia 1683 (w dwa miesiące po odsieczy Wiednia przez Sobieskiego).

¹⁾ Przełożony na polski język w swoim czasie przez X. Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich.

A podróżnik to był i ciekawy i, dzięki zamożności swojej, wszędzie przyjmowany chętnie: a ponieważ przy wielkim zmyśle spostrzegawczym posiadał i wielką łatwość pióra, spisał swoje wrażenia i spostrzeżenia i ogłosił szczegółowy opis swoich podróży. Należy zatem do liczego dosyć zastępu tych cudzoziemców, którzy w różnych czasach zwiedzili Polskę i zestawili o niej mniej lub więcej ciekawe relacje.¹⁾

Opowiadanie Regnarada jest niezaprzeczenie jednym z najbardziej interesujących, naprzód dla talentu i sławy autora a następnie dlatego, że podróż jego przypada na jedną z najświetniejszych epok naszej historii.²⁾ Dlatego nie będzie od rzeczy dać tutaj krótkie streszczenie jego opisu.

Po okropnej burzy na morzu Bałtykiem wylądował nareszcie w Gdańsku. „Miasto, pisze Regnard, pozostaje pod opieką króla polskiego; ale jakkolwiek ostentacyjnie oi panowie ohełpią się ze swojej wolności, posiadają tylko tej wolności nazwę, a ich opiekun może łatwo uchoǳić za ich pana.“ Podaje dalej oryginalną a bardzo wątpliwą etymologję nazwiska miasta: „Dantziek nazywa się po łacinie *Gedanum*, a wyraz niemiecki pochodzi od *Dantzen* (siⁿ), co znaczy tańcować. Przyczyną tej etymologii jest, że pewni wieśniacy gromadzili się zwyczajnie w miejscu, gdzie miasto potem zbudowano, a mając zamiar tam obrać swoje siedlisko, poprosili o ustąpienie im tego miejsca biskupa, do którego ono należało; ten zaś podarował im tyle ziemi ile będą mogli objąć, trzymając się za rękę i tworząc koło jakby taneoczne.“ O organizacji miejskiej, o handlu zbożem, woskiem, stałą i bursztynem, o samymże bursztynie rozpisuje się dalej obszernie; potem opisuje fortyfikacje

¹⁾ Patrz ciekawe i uczone dzieło Xawerego Liskego *Cudzoziemcy w Polsce* (Lwów — Gubrynowicz i Schmidt 1877). Dzieło to, o ile mnie wiadomo, przerwała śmierć autora, który ogłaszając pierwszą serję, złożoną z samych Niemców (L. Naker, U. Werdum, I. Barnonilli, I. S. Biester, J. J. Kausch) zapowiadał dalsze serje, mające być poświęcone Anglikom, Francuzom, Włochom.

²⁾ Można ją porównać z relacją Ulryka Werduma, ogłoszoną w dziele Y. Liskego, daleko obszerniejszą, zawierającą więcej szczegółów, ale o wiele niższą od opisu Regnarada pod względem stylu i humoru.

miasta, bramę *Hoedor*, szerokie ulice, duży plac z fontanną, przedstawiającą Neptuna w bronzie, arsenał, wielki kościół „z pewnym lochem, do którego Lutrzy wrzucili wszystkich świętych i wszystkie ozdoby znalezione w kościele katolickim, który to loch nazywają piekłem.“ Opisuje potem kościoły katolickie Jezuitów, Karmelitów i Karmelitów bosych. „Nigdy, dodaje, nie byłem tak zdumiony jak pierwszy raz kiedy tam słyszałem mszę świętą. W chwili kiedy ksiądz miał podnieść w górę Ciało Pańskie, dał mi prędzej wiedzieć o tem co miał uczynić hałas policzków, jakie sobie wymierzali obecni, niż dźwięk dzwonka, którego nie można było dosłyszeć. Jest mało ludzi bardziej nabożnych wrzekomo niż Polacy: są oni bardzo skrupulatnymi przestrzegaczami postów przez kościół nakazanych: w dnie postne nie jadają masła, ale tylko olej z ziarek lnianych. Niesposób dostawać mięsa w piątki, a niebezpiecznem by było zjadać takowe na Mazowszu: Polak sądziłby, że spełnia dobry uczynek, zabijając człowieka w tym stanie.“

Opisuje dalej młyn o trzydziestu kołach, najwyższą wieżę kościelną, skąd widać całe miasto i morze o pół mili... i t. d.

„Co do pań, trzeba im dać sprawiedliwość; mało widziałem krajów gdzieby były ogólniej przystojne. Są tam wszystkie bardzo białej cery i mają wiele powabów. Zauważyliśmy taniec polski (polonez), wcale osobliwy. Sługi postępują naprzód, a za nimi panowie: więcej chodzą niż tańczą.“

Przechodzi potem do ogromnych wołów, pochodzących z Podola, „należącego do Turków, albo z Ukrainy, której najlepsza część znajduje się także w ich rękach. Tę prowincję (Ukrainę) zamieszkują Kozacy. Kraj jest tak urodzajny, że wystarcza raz zasiewać na trzy lub cztery lata. Mało jest tak żyznych krajów.“

Dalej następuje polityka: wybór dzisiejszego króla (Sobieskiego), wybór poprzedni Michała Coribut Wesnowiseky (sie), kandydatura Kondensza, koronacja królowej (Marji Kazimiery), rozdawnictwo starostw, deputowani miast, prawo jednomyślności czyli *liberum veto*, województwa obejmujące kilka starostw, a to wszystko w kształcie luźnych notatek a poplątane anegdotkami. Najdłuższy ustęp z Gdańska poświęcony astronomowi

Heweliuszowi, z którym się zapoznał i miał długą rozmowę o systemie Kopernika i t. p. Od Heweliusza przechodzi niespodzianie do margrabiego Brandeburskiego (Wielkiego Elektora); wspomina o jego bogactwach prawdziwie królewskich, o jego rodzinie. Tu znówu anegdotka o pewnym zegarmistrzu nazwiskiem Macé, który długo mieszkał w Konstantynopolu i tam kupił (zapewne wykupił z niewoli) swoją żonę rodem z Gdańska; poczem następuje dygressya o Siedmiogrodzie, o Apaffim, o Rakoczym i o Betlem Garborze.

Z Gdańska wyjechał z towarzyszami swoimi do Warszawy 29. października małą karetą pokrytą za 24 talary monety krajowej, co stanowi 20 funtów francuskich. „Droga bardzo piękna, kraj bogaty, gospody nędzne.“ Tu krótka rozprawa o przyczynach nędzy wieśniaków, o tyranji szlachty i t. d. Przejeżdżają przez Grudziąż, „skład zboża nad Wisłą“, przez Toruń, „miasto bardzo przyjemnego wyglądu i dlatego nazwane *die Schoenste*, najładniejsze.“ W Toruniu zwiedzili wspomniały ratusz z portretami królów polskich poczawszy od Kazimierza IV-go (Jagiellończyka): tu krótka historia tych królów.

Najwięcej szczegółów o Zygmuncie III i o sporze szwedzko-polskim a potem o Michale, o bitwie pod Chocimem (*Cochim en Ukraine (!) entre le Niester et le Prut*) o elekcji i koronacji Jana III-go.

Wspomina w tem miejscu o nieco naprężonych stosunkach między Polską a Francją z powodu niechęci królowej do ambasadora markiza de Béthune. Dalej mówi o sejmach odbywających się w Warszawie lub Grodnie, o Pacu (którego nazywa *Spasem*), o pospolitem-ruszeniu, o zerwaniu ostatniego sejmku, o zajęciu między orszakiem ambasadorów francuskich (między innymi Markiza de Janson) z ludnością warszawską, która rzuciła się na Francuzów krzyżąc: „*Zabi* (zabij — sic), *zabi, franslent; tue, tue*: tak, że król musiał nazajutrz dać satysfakcję obrażonym ambasadorom. Mówi także o poselstwach perskiem, tureckiem i moskiewskiem.

Wie o dostojenstwach Rzeczypospolitej i wymienia z kolei piastujących urzędy hetmanów, chorążego koronnego, podskarbiego, prymasa. Podaje szczegóły o wojsku: o huzararach, o najemnych

Rzeczy ciekawe i pozytywne.

Tatarach (którzy są jak nasi Szwajcarzy), ale którym zbyt mało zaufać nie można.

O ówczesnej Warszawie wyraża się bez entuzjazmu. „Niema tam nic godnego uwagi, wyjąwszy posąg Zygmunta III-go, postawionego przez jego syna Władysława, przy wejściu do miasta na wysokiej kolumnie... Miasto jest nieczyste i bardzo małe i składa się właściwie z jednego wielkiego placu, w środku którego stoi ratusz, a naokoło mnóstwo sklepów Ormjan z materjami i towarami tureckimi, jako to łuki, strzały, koczany, szable, dywany, noże i inne. Jest wielka ilość kościołów i klasztorów.

W Warszawie byli z wizytą u W. marszałka Lubomirskiego, który przyjął ich bardzo gościnnie. Zwiedzili zamek, „w którym nie pięknego wyjąwszy izb Senatu i pokoju z marmuru, w którym odmalowano zdobycie Smoleńska przez Polaków na Moskalach, gdzie wielką rzeź wyprawili, a zabrali do niewoli dwóch synów wielkiego księcia (sic) których przywieźli do Warszawy gdzie umarli...” Byli i u Podskarbiego Morsztyna (M. Morstain), który ich zaprosił do stołu i mówił z nimi o Francji, gdzie posiada dobra obszerne i gdzie mieszka jego syn, którego nazywają M. de Château-Vilain.

Tu znowu powraca do dwóch ostatnich elek ji, poczem kreśli charakter Polaków. „Polacy są nadzwyczaj dumni i bardzo się szycią ze swojej szlachty, która po większej części jest zmuszoną sama orać ziemię, tak dalece jest ubogą. Drobnym szlachcicem nosi przy sobie szablę orząc ziemię i zawiązuje ją do jakiegoś drzewa; a gdyby przechodził jaki nie nazywał go Mouché-Panier (Mości panie) a mówił tylko do niego Panier, co znaczy jakby Panie (maitre), toby go zmaltretował.

„Zresztą są bardzo grzeczni i zawsze pierwsi podnoszą rękę do czapki...” Tu znowu o surowych postach, które, jak twierdzi rozciągają aż do zwierząt. „Polacy wielkie czynią wydatki na pogrzeby, a w dzień pogrzebu (chyba tylko po wygaśnięciu rodu) wpuszczają ludzi uzbrojonych jak dawni rycerze, którzy konno wkraczają do kościoła i biegną kruszyć kopję u stóp trumny.”

W Warszawie nie zastali nasi podróżni króla. Przebywał wtenczas z rodziną i z całym dworem w Jaworowie, który jest

miejscowością najbrzydszą nie tylko w Polsce, ale i na całym świecie.¹⁾ Tam mieli zaszczyt powitania króla i ucałowania rąk królowej. „Ten monarcha przyjął nas z całą dobrocią, która jest mu właściwą względem wszystkich, a szczególnie względem cudzoziemców.” Rozmawiał z nimi o Laponji a do rozmowy wzięła się i królowa. „To jest jedyna z księżniczek najznamienszych (les plus accomplies) w Europie: ma około 38 lat, a natura zaopatrzyła ją we wszystkie dary swoje. Jestto najpiękniejsza osoba na dworze, najlepiej zbudowana i najdowcipniejsza: dosyć spojrzeć na nią, żeby to poznać od razu; ale jest się jeszcze lepiej przekonanym, kiedy miało się zaszczyt rozmawiania z nią samą.” Tu pochwała jej biegłości politycznej.

Potem mowa o księciu Ludwiku-Henryku-Jakóbie o ósmioletniej siostrzyczce jego już bardzo ładnej, o sześcioletnim księciu Aleksandrze i o księciu Amorze (Amour) liczącym 3 do 4 lat. „Królowa, która jest obecnie w ciąży, porodziła czternaścioro dzieci; jest mimo tego tak świeża jak kobieta 20 letnia; cieszy się zdrowiem doskonałym. Miałem zaszczyt grać z królem w h o m b r a i na domiar łaski, jadłem z nim przy jego stole; ambasador siedział przy nim z prawej a ja z lewej strony... Towarzyszyliśmy tegoż dnia królowi na polowaniu.” Tu następuje opis tego polowania, którego bogaty plon stanowiły przeszło dziesięć sarn, trzy wilki, pięć czy sześć lisów, mnóstwo zajęcy a narereszoie dzik nadzwyczajnej wściekłości.

Wymienia tu wszystkich Francuzów znajdujących się na dworze króla i niektórych Polaków; dalej opisuje imieniny księżnej Radziwiłłowej i bal wyprawiony na jej cześć przez królową, na którym odznaczył się szczególnie „M. le chevalier Lubomirsky, grand seigneur du royaume,” tańcując kozaczka z prysiadami (mànière de danse à la russienne qui est è fort plaisante).

¹⁾ Jaworów lepsze wrażenie zrobił 10 lat wprzód na Ulyku Werdumie, Niemcu podróżującym w Polsce z abbé de Paulmiers (patrz X Liście: *Cudzoziemcy w Polsce* str. 78). „Miasto, pisze Werdum, „otaczają wały z ziemi a na nich wysokie ściany z balów i parapety. Na północno-wschodniej stronie miasta leży zamek, częścią z kamienia, częścią z drzewa wcale zgrabnie zbudowany z wesołym ogrodem. Wogóle „całe miasto otaczają dobre pola i ładne ogrody.”

Tu powraca do charakterystyki Polaków. O piękności pań, tych przynajmniej oo wtenczas znajdowały się na dworze, wyraża się bardzo niepoehlebnie. O Lwowie i jego fortyfikacjach mówi z ironją: „są to fortyfikacje à la *polonaise*, któreby Francuzi obalili patrząc na nie. O sprawach wojennych, o walkach z Turkami i Tatarami, o ich sposobie wojowania podaje ciekawe i dokładne szczegóły.

„Najpiękniejszą milicją Polaków są husarze, towarzysze (*les tasaches*) i pancerni (*les pansars*), którzy wszyscy należą do szlachty. Zbroja huzarów ma coś osobliwego. Król ma także kompanję złożoną ze stu rejterów, którzy mu wszędzie towarzyszą.“

Z kilku powyższych przytoczeń widzieliśmy, że Regnard próbował czasem używać wyrazów polskich; nie udawało mu się to w ogóle ze wszystkim. (Tak samo królowa Marja Kazimiera w listach do męża kaleczyła często język polski à la *française*). Mówi jednak ze śmiałością prawdziwie paryską: „jest to język słowiański (*esclavonne*) jak w Moskwie i Tartarji (!),“ i gubi się w dalszych wywodach pseudo filologicznych.

Z Jaworowa pojechali nasi turyści do Jarosławia. „Widzieliśmy, powiada, kilka miasteczek, które nie mają nic szczególnego.“ Napadnię i byli w drodze przez złodziejów, którym mężnie stawili opór i przybyli nareszcie do Krakowa.

Tam nie wiedzieli gdzie mają zamieszkać, bo niema w tem mieście gospody. Znaleźli nareszcie Włocha, który ich do siebie przyprowadził i porządnie oskubał. O Krakowie tak pisze:

„Kraków jest najpierwszem miastem we właściwej Polsce, (*dans la haute Pologne*), jest on nieskończenie piękniejszy, większy i bardziej handlowy aniżeli Warszawa... Jego akademja jest wysoko ceniona: została założona przed trzema wiekami przez Kazimierza I (?!)... Najznakomitszem miejscem w Krakowie jest zamek na małym wzgórzu. Jest on rozległy, ale bezkształtny i pozbawiony wszelkiej architektury. Jego pokoje są obszerne, a sufity wspinalne ozłoczone mogłyby go uczynić bardzo właściwym do pomieszczenia króla. Widać w kościele zamkowym grobowce królów.“ Tu opowiada zabicie św. Stanisława.

„Mało jest miast, nie mówię w Polsce, ale w całej Europie,

gdzieby było więcej kościołów, księży a mianowicie mnichów, jak w Krakowie... Co do kościołów, trzeba oddać sprawiedliwość Polakom i wyznać, że niezmiernie dbają o to, aby były piękne i dobrze obsługiwane... Najpiękniejsze kościoły są Tum (le Dôme) poświęcony Pannie Marji, który stoi na rynku. Jezuici mają także swój kościół nowo a pięknie zbudowany na sposób włoski; są też kościoły Muinnów(?) i Bernardynów. Wielki rynek jest bardzo obazerny a wpadają do niego główne ulice, mianowicie największa prowadząca do Kaźmierza, gdzie wszyscy żydzi, mający tu swoją rzeczpospolitą, mają synagogę i sądy.“ Tu szczegóły o żydach polskich a głównie krakowskich.

W Krakowie byli u wojewody najpierwszego w królestwie, nazwanego Wieliposki (sic. Wielopolski), wielkiego kanclerza koronnego a szwagra króla Jegomości. Wojewoda ich gościnnie podejmował i we własnym ekwipażu kazał ich zawieźć do Wieliczki. Opis kopalni solnych bardzo dokładny i malowniczy kończy tę całą relację. W kilka dni potem wyjechał Regnard z przyjaciółmi na Zator, Oświęcim (pisze *Ozwiensin*) do Wiednia.

Z tego pobieżnego streszczenia czytelnik mógł się przekonać, że Regnard umiał patrzeć na rzeczy i ludzi i sądził o wszystkim, czasem surowo, czasem zarozumiale *a la parisienn*, ale najczęściej bardzo sprawiedliwie.

Z okazji obchodu 200 letniej rocznicy jego urodzin, wydało nam się na czasie przypomnieć naszym czytelnikom tego gościa naszego sławnego króla, który potem u siebie (w Grillon pod Dourdan), gdzie prowadził życie nader epikurejskie, ugościł z kolei jak niesie tradycja dwóch synów Sobieskiego, a przynajmniej spotkał ich w Paryżu i grał z nimi w karty, jak dawniej z ich ojcem, z panien Loyson (*Dogaine et Fontine*).

JAN ANDRUSZEWSKI

ZE STEP U.

I.

Z ŁOSZNIOWA DO STRUSOWA.

Pogodnym rankiem wrześniowym wyjeżdżamy z państwem C. i panną B. z jaru Łoszniowskiej wsi.

Minąwszy stare topole i klouy okalające dwór, a potem piętrowy, murowany, blachą kryty dom Kółka rolniczego i podobną parterową szkołę przy „placu Adama Mickiewicza“ — pozostawiamy na prawo smukły kościółek, biejący ze wzgórza ociemnionego świerkami.

Opodal na wyższem wzgórzu po nad pastwiskiem wiejskiem, duży drewniany krzyż pławi czarne ramiona w błękitno siwej toplei nieba.

Przebywszy parę mostów drewnianych na rzece Gnieźnie, nad której krętą wąską rozsiadły się szeregi wysokich, białych, czystych chat. Obstawione złotymi stogami, stertami zbóż, obwieszone żółtą kukurudzą — oknami o ramach pomalowanych na niebiesko lub zielono, patrzą na ludzi krzątających się przed domem, na dzieci rozbawione nad rowem, przy ulicy.

Małańka, trzyletnia dziewczynina i pięcioletni może chłopczyk, wysuwają się śmiało z gromadki i cienkimi głosikami mówią naraz:

— Pochwalony Jezus Chrystus!...

— Na wieki wieków — amen!...

Teraz wspinają się konie pod dość stromy stok podolskiego „nyżu“, a za chwilę jedziemy już po nim.

Po obu stronach stwardniałej posuchą, ciemno popielatej

drogi polnej, zielenieją faliste łany ozimin. Ani jednej bruzdy na nich, ani jednego zagonu.

Na lewo widnokrąg obramowany lasami fundacji Baworowskich, na prawo lasy Suszeczyna, Cezarówki, Mikuliniec.

Lesista ta oześó Podola — dąbrowami, popielatą barwą ziemi, bujnością zbóż, przypomina żywo pejzaż Sokalski.

Tylko tam teren równiejszy, w.ęcej jeszcze lasów, łąk więcej porośłych łozinami, olszyną, więcej gajów, drzew około chat, przeczco i widok ciaśniejszy.

Tu, mimo pozornych analogji, charakter krajobrazu, dusza jego inna, niż gdziekolwiek po za Podolem w Galicji.

Inny tu rodzaj falistości ziemi, szerszy — przestronniejszy.

Fale tej ziemi rozkołysane rozmachem śmiałym, szerokim, dalekim, nie zamykają tak ciasno przestrzeni, jak wyższe, bliższe oka garby złoczowskie, roztocza rawskie, pagórki krakowskie.

Mijamy dębinę przetykaną tu i ówdzie jesionem, klonami, wiązem, brzostem, lipiną. Na tle ich żywej zieleni poźółtkiej już miejscami, odbija się ciemniej, zaledwie parę, jakgdyby przypadkiem zbłąkanych tu sosen.

Smukłe, wiotkie, nie rozrośnięte w konarach, o rzadkich jakby smutnych, chorych gałęziach.

Bujny, bezpłaszczysty grunt tutejszy nie służy kochance piasków — sośninie...

I znowu fale pól po obu stronach gościńca.

Po rozległych ich garbach złoci słońce łany młodziutkiej pszenicy, wiatr marszczy zielone morze jej runi. Na grzbietach tych fal ruszają się zwolna sylwetki oraczy, sprzężaje koni i wołów „pokładających“ ścierniska.

A po nad nimi, nad znój ich i pot, niby błogosławiać płodności tej ciemnej ziemi rodzajnej — wyciągają się nad nią ramiona dużych, drewnianych krzyżów, ciemniejących zdaleka po rozpiętem zda się gdzieś w bezkres, w niebiesko siwem niebie podolskiem.

Dziwna melancholja w tych krzyżach, w tej rozfalowanej szeroko ziemi. pełnej zaoranych mogił i ementarzysk pogańskich w pra-

starej tej ziemi, która wówczas była już łądem, gdy zachód kraju pławił się jeszcze pod morzem.

Ale to nie ścisłkająca serce melancholja równin zachodniej Galicji, nie dziwny ów smutek podmokłych nizin bocheńskich, o polach pokrajanych w wysokie zagony, wystające niby widne zebra ohudej roli — nie beznadziejna żaloba płaskich mokradeł Bierzanowa. Podłęża.

W Przestronnej zadumie podolskich nyży, coś słonecznego jest, coś pełnego powietrza, oddechu, coś co daje nadzieję ciągłości życia, nieśmiertelności jego przemian — coś, co daje wiarę w rozmach bujności, w moc życiowych sił tej ziemi, gotowych pracę kole niej hojnem żniwem nagrodzić.

W ogromie tych łąków nie pokrajanych zagonami jak gdzieś indziej, mimowoli zaciera się pamięć, że ziemia jest niewolnicą człowieka, że on może ją dowolnie kaleczyć, pruć żelazem, odsprzedać drugiemu, że jest „własnością“ kogoś, kto między jej strzeże za zdróżnie, gotów każdej chwili do walki z bliźnim, o jej „posiadanie“...

.....

Ku szerokiemu gościńcowi, dość licho utrzymanemu (co zdaje się być właściwością Trembowelskiego powiatu), staczają się fale wzgórz przedstrusowskich.

A wzgórze te przestronne, to ostrzej, to łagodniej wzniesione, zmieniają się teraz co chwila.

Oto na lewo biało zielony gaj brzozowy, żółkniejący już tu i ówdzie, jakby przeniesiony na te wyże gdzieś z pod Jaworowa, stacza się ku polom oberwanymi brzegami, bielejącymi, niby Cieszanowskie piaski.

Tam znów po prawej stronie głęboki jarek urwisty, o białych ścianach wypłokanych z murawy, to jakby żywy obraz wapiennego jaru z Potylickich Roztoczy.

Zbliżamy się ku Strusowu. Widać już czerwoną iglicę jego nowego kościoła, odcinającą się ostro na niebie, ponad zielen Strusowskich ogrodów.

Zadudniły koła powozów: po moście nad Seretem, wypływającym tu z głębi cienistego parku, ciemnym, mętym nurtem.

Już i kościół gotycki na wzgórkcu w śródmieściu pozostał na prawo — i ciosowe podmurowania wzgórzystych, stromych zboczy gościńca zostawiliśmy za sobą — i żydowski rynek zabudowany niskimi domkami o dachach z drewnianego gontu i okapach — i białe domki ulic przedmiejskich, okolone jasiennymi kwiatami.

II.

U WRÓT STEPŪ. SPOTKANIE W ZAZDROŚCI. „ZAGADKOWY“ GŁAZ.

Teraz jedzie się już „podolską“ drogą, ciemno popielatym, rozbitym w pył czarnoziemem, miejscami tak twardym, że ślady kół lania na nim, niby koleje wyślizgane przez sanie na zimowej zamrozi.

W miarę jak pędzimy naprzód — zmniejsza się — wyrównuje — układa się do poziomu falistość okolicy, aż zwolna, zwolna, zaniknie zupełnie, przechodząc w ogromną płaską równinę.

A na tej równinie nie ma już lasów i drzew mało — tylko pola — pola — popielato czarniawe, suche pola podolskie, zielonejące ozimina, młóca z koniezem, ziemniakami — albo szare złote od ściernisk.

Tu i ówdzie z odmetu tych pól zabieleją budynki „futoru“, pokryte szaremi strzechami lub czerwona dachówką — tu i ówdzie z białej plamy folwarcznych budowli, wystrzeli komin gorzelni, okolony ciemną grupą starych topoli.

Okolo takiego gaju topolowego obrastającego źródelko, skręcamy do wsi Zazdrości.

I znów szeregi białych, schludnych chat wzdłuż szerokiej wiejskiej drogi. Po przyzbach żółtą się pęki kukurudzy powiązane z sobą oddartemi od kaczanów łuskami. Tu kobieta w ciemnej spódnicy i w białej, cienkiej koszuli bieli chatę, tam między konopie — ówdzie chłop w krótkim żółtym kabacie, wieniec ze „stepu“ pełny wóz siana — albo snopów owsianych, hreczanych. Gromada chłopaków zalegająca ulicę rozstępuje się przed naszymi

końmi — leci chwilkę obok nich. Jakiś malec o płowym włosie podpędza je biczyskiem, inny z wyrazem zawziętości na śniadej twarzy, wygraża nam prętem.

Może bawił się w „bitwę“ z towarzyszami — i wziął nas za „nieprzyjaciół“, a może, może... i nasłuchiwał się od jakiego „przyjaciela ludu“, „strasznych“ rzeczy o „panach, co mają za wiele gruntów — i jeżdżą sobie powozem“.

Kilku z gromadki, jakgdyby po przez oszołomienie zabawą, przypomniałszy sobie nagle naukę profesora — śle za nami: „po-chwalony albo: „sława“!

Sporych parę minut jedziemy jeszcze przez długą wieś Zazdrości, ku cerkwi i nowo budującej się polskiej kaplicy, koło których mamy zjechać się z doktorem B. o dziesiątej godzinie przed południem.

Istotnie dziesiąta dochodzi, gdy z panem C. zdaleka widzimy doktora przechadzającego się już po drodze — widzimy go, jak wita się z panią C. i córką swą, panną B. które jechały przed nami.

Wnet złączyliśmy się z nimi i po chwili przywitań, przeszedłszy suchy rów obok drogi, jesteśmy u słynnego kamienia Zazdrości, „zagadkowego głazu“, jak go nazywa prof. I. A. Bayger w monografji powiatu Trembowelskiego.

Tuż za rowem leży ów głaz, wśród ziół porastających nasyp przydrożny.

Rdzawo-czerwona płyta, przeszło 5 metrów długa, metr szeroka, a około 20 cm. gruba, na pierwszy rzut oka przypominająca granit — jest jednak zwięzłym piaskowcem dewońskim, takim jak te, z których wyrabiają „płyty trembowelskie“.

Kamień odkryty został na stepie Zazdrości, w okolicy Warwaryniec, przez chłopą, co orząc pole nad bagnem, zawadzał tak długo o coś twardego lemnieszem, aż wreszcie zaciekawiony tą przeszkodą, zabrał się do odkopania jej.

Wydobyty następnie z mułu, gdzie tysiące lat może przeleżał, na miejsce, kędy obecnie spoczywa, przewieziony zos a' zimową porą, na osobno ku temu zbudowanych saniach, ciągnionych przez kilkanaście koni.

Chciano go stąd zabrać do nowo powstałego muzeum w Tarnopolu — lecz chłopi z Zazdrości nie dają go ruszyć, uważając go za rodzaj talizmanu swej wsi.

Utwierdzają ich zapewne w tem mniemaniu, wykute w górnej części kamienia, trzy tajemnicze znaki.

Chłopi wierzą, iż kiedyś, przyjdzie ktoś do wsi, kto znaki te dziś zagadkowe, odczyta i wytłumaczy ich znaczenie.

Część owa głazu ze znakami, dłuższa od $\frac{1}{3}$ — lecz krótsza niż połowa kamienia — węższa i widocznie wygładzona — musiała niegdyś, jak zauważyła pani C. wystawać po nad ziemią, podczas gdy reszta płyty szersza, wkopana była w grunt.

Znaki na płycie różnią się wielkością i rysunkiem.

Najwyżej położony, około 40 cm. wysoki — to dwa niezupełnie domknięte, elipsowato spłaszczone koła, leżące jedno pod drugim i połączone linią prostą.

Drugi znak, niżej leżący, prawie o połowę mniejszy, porównać by można z literą C. odwróconą grzbietem ku górze, a połączoną linią prostą ze stojącą na niej liną.

Trzeci wreszcie najmniejszy, bo około 6 cm. długi — wygląda jak leżąca rzymska jedynka, z której środka wystrzela litera Y (ypsylon) o ramionach wwinętych ku zewnątrz.

Młody uczoney p. Bohdan Janusz, w fachowej rozprawie (którą dzięki uprzejmości państwa B. mam przed sobą w rękopisie) — nazywa głaz w Zazdrości „Menhirem“ — i twierdzi, że jest on przedchrześcijańskim kamieniem grobowym

III .

STEP ZAZDROŚCI. ŻARÓWKA. POLOWANIE „STEPOWY“ JÓZEK, CO „NIE MOŻE“ MÓWIĆ PO POLSKU.

Wjeżdżamy już w prawdziwy „step“ — w step Zazdrości. Na południe od niego ciągną się należące do Strusowa stepy „Pantaliocy“ — na północ Mikulinieckie — na wschód Żarówka, a za nią step Bohatkowiecki. Okolony nimi step Zazdrości, leży w samym sercu kilkumilowej stepowej przestrzeni.

Równo tu całkiem, jak okiem sięgnąć, a ciemny koloryt ziemi, płaskość jej, przypominają mimowoli obszary podbełzkie.

Tak samo jak w Bełzkiem, niebo wydaje się tu przestronniejsze, szersze i dalej rozpięte, mniej jajowato kopulaste, niż w górach i okolicach pagórkowatych. Lasów tu nie ma i drzew mało, tylko pola — pola bez końca. A z pól tych widnieją co trochę, niewielkie, kilkumorgowe i mniejsze najczęściej jeziorka, porośnięte tak gęsto rogóżą i trzciną, iż wody w nich prawie nie widać. Za to widać już pierwsze stada ptactwa.

Tak duże są, że zrazu robią na nas wrażenie stad wronich. Ale, gdy się przybliżą, kiedy błysną pod słońce białemi łonami, poznaje się czajki. A one zawisną chwilę nad nami — i z szumem skrzydeł świszczącym, zwiną się w miejscu, a całe stado z piskiem rozsypie się luzem w powietrzu. Lecz wtem z chyżością myśli zbije się w żywy gąszcz skrzydlaty — i znowu w rój się rozsypie — i znów się skłębi w migotliwą chmurę krzyczącą, co zwolna — zwolna — oddala się — milknie — maleje — zacierą — aż wreszcie utonie — rozplynie się — zniknie w błękitie...

Step dokoła — równy, gładki, uprawny, szarozłoty od oranin i ścierniak, zielony oziminami i oczeretem jeziorek.

Na tle tego stepu przybliży się coraz więcej — widna już dawno grupa olbrzymich topoli, jakby przesadzonych z obrazu Boecklina na futor podolski — rzuconych na modrą, nieskończoną, zda się, toń stepowego widnokregu...

A teraz strzelby z futerałów i patrony z torb, bo ten futor, to Zarówka, gdzie już doktor B. ma pozwolenie na polowanie. Rozchodzimy się brzegami długiego jeziorka, tak zarośniętego ostrą, różną trzciną, iż nawet dla psów prawie niedostępne. To też trzymają się one brzegów lekko mokrawych, raz koło razu pęgarbionych niewielkimi, suchymi kępami.

Kilka, kilkanaście lat temu, brzegi te (to szerokie na kilkadziesiąt metrów, to zwężające się do kilku) — były zupełnie pod wodą, jak i znaczna część gruntów, które dzisiaj się orze.

Przeskakujemy z kępy na kępę, omijając je, gdzie suchszy teren na to pozwala. Rzadko kiedy porwie kszyc — lub pies wystawi młodą przepiórkę, bo stare już odleciały. Przed tygodniem

jeszcze, było ich tu podobno mnóstwo po suchych trawach, po resztkach niedożętych zbóż, po ziemniakach, koniozach.

Za to raz po raz nadlatują migotliwe stada czajek, okrążają nas, przyglądają się nam, by z głośnym piskiem ulecieć nad dalsze jeziora i ostrzedz ich ptactwo przed zbliżającym się niebezpieczeństwem.

Zaledwie padł pierwszy strzał do kszyka, kiedy z gromadki chłopaków pasących bydło na wygonie — oddzielił się jeden — i zanimby pies nadążył z drugiego brzegu jeziora — chłopak rzucił się w trawę i wyniósł z niej ustrzelonego ptaka.

— Jak ci na imię? pytamy go.

— Józek!

— A wiesz, gdzie są kaczki?

— Na tamtym „stauku“ — zamigotały uciechą oczy chłopca, wskazujące bystrem spojrzeniem, zaledwie widne trzciny odległego jeziora.

— Z pewnością?

— Je, je na tamtym ozerku!..

— Ty Polak Józku, czy Rusin?

— Polak! — rozjaśniają się znów ciekawe źrenice Józka.

— Czemuz odpowiadasz po rusku?

— Ja nie mogę mówić po polsku!..

— Przecież mówisz dobrze...

— Tak! trocha.. Ale dużo to nie mogę — przeblyskiem jakby tajonego żalu, wydobytego nagle z napół świadomych głębin duszy — mroczą się szaro modre oczy chłopaka.

— Jakże uczycie się w szkole? — Po polsku, czy po rusku?

— Po polsku i po rusku.

— A jak rachujecie?

— Po polsku!

— A w domu jak mówicie?

— Po rusku!

— A modlisz się jak?

— Po polsku!

— W kościele czy w cerkwi?..

— W cerkwi. Kościół „jaż“ w Strusowie...

.....
 Wilżą nam się oczy na myśl, ile to jeszcze dzieci polskich „nie może“ mówić po polsku...

Co robić, żeby mogły? Dom ich nie nauczy — widocznie i szkoła jeszcze nie bardzo...

Mimowoli myśl nasza bieży ku wykończonyj już prawie kaplicy polskiej w Zazdrości.

Przecież te dzieci polskie, które chodzą do kościołów — przecież one „mogą“ mówić po polsku: Usłyszą przecież polską naukę — przecież pierś młoda rozszerzy im się, rozfaluje polską pieśnią, jak młoda ruń zbożowa faluje w wichrze rozwianym nad stępy. Przecież... Przecież...

.....
 I na innych jeziorkach i po brzegach ich, rozszerzających się tu i ówdzie w spore pastwiska o bujnej trawie — nie wiele ptactwa. Kilku zaledwie kszykami, paru przepiórkami, chrósciołem schwytanym żywcem przez sukę pana C. — będziemy mogli pochwalić się przed paniami, przypatrującemi się łowom z powozu.

Podczas gdy my polujemy, pani C. i panna B. rozmawiają o polowaniu z właścicielem futuru w Żarówce, Mordkiem, starym, opalonym żydem o długiej siwej brodzie.

Mordko, mieszkaniec stepu od wielu lat, zdaje się być doskonale wtajemniczony w stan jego zwierzyny, bo opowiada paniom, gdzie i o jakiej porze siadają kaczki — i twierdzi, że dzisiaj ich nie ma, bo posucha i upał, więc odleciały na większe wody, aż na staw Bohatkowiecki.

Tymczasem „stepowy“ Józek, jak go nazwała panna B. nie opuszcza nas ani na chwilę. Krok za krokiem trzyma się z nami, nie wyprzedzając, nie przyzostając zanauto z tyłu, jak doświadczony towarzysz myśliwski. A jak się czai, jak przypada do ziemi, jak chowa się w trawę, kiedy stado młodych cyrauek okrąży jezioro, jak chciwie wzrokiem wodzi za lisem, co ruszył z suchego oczeretu i „czesze“ pod pagórek.

Bystre oko stepowego dziecka, przywykłe do ogromnych przestrzeni, z łatwością widzi tam, gdzie wzrok nasz nie sięga już tak

dokładnie. To też ustrzelonego przez doktora B. kszyka, który spadł po strzale za dużym bagnem, a którego nie mogliśmy odszukać z psami — stepowy Józek znajduje prawie od razu i z tryumfem go nam odnosi.

Namawiamy chłopaka, żeby jechał z nami dalej w step — ale wymawia się, iż nie może ołjechać powierzonego mu bydła. Żal mu jednak rozstać się z myśliwymi. Szarosiwe oczy błyszczą ochotą do polowania. Wskakuje nawet na wózek doktora B. i odprowadza nas parę staj — lecz, kiedy ogłądaliśmy się za nim przed Żarówką, już go nie było na wózku.

IV.

ŚNIADANIE W ŻARÓWCE. OPOWIADANIE DOKTORA B. O DAWNYM STEPIE, O STEPOWYM ŻYDZIE, SZLACHCICU i O STEPOWYM KSIĘDZU.

Pod ogromnemi Boecklinowskieni topolami, okoleni morzem pól — zabieramy się do odpoczynku i śniadania, na podścielonych kocach i szalach, gdy niestrudzony p. C. przeszukuje jeszcze ziemniaki za przepiórkami. Wreszcie i on przyłącza się do nas, chroniąc się przed dopiekającym jeszcze dobrze skwarem słonecznym, rozdrganym drobnemi łalami nad bezkres niw. Jakże musi tu prażyć słońce w pełni lata, kiedy potopem żaru zaleje te stepy — jak okiem sięgnąć i myślą — wszędzie tu słońce — słońce bez końca! Niedarmo ohyba nazwano to miejsce Żarówką.

— Nie tego coś ze zwierzyną — mówi doktor B., dolewając nam wina — nie tego! Inaczej to było przed kilkunastu laty, kiedy jeszcze Podole tutejsze nie wyschło tak jak dzisiaj. Zjeżdżali się tu wówczas myśliwi z daleka i z bliska, nocowali u Mordka w Żarówce i po chatach chłopskich, by równo ze świtem wyruszyć na łowy. Inaczej wyglądało tu niż teraz i było na co polować!.. Step marszczył się wówczas lustrami wód, kołysał się trzcinami i oczeretem w rytm stepowego wiatru, w rytm stepowego oddechu. A cóż mówić o ptactwie? Roilo się po prostu od

niego! Tu porywało się kwacząc stado ciężkich krzyżówek z kaczorami o zielonych, lśniących szyjach — tam kszyk po kszyku z chrapliwym ksykaniem ulatywał chyżo z przed psa — ówdzie tłusty dubelt, wystawiwszy długi dziób przed siebie, zawisał ciężko w powietrzu.

A co kulonów, kulików, dropi, czapli, żurawi, co za różne większe i mniejsze kaczusie, cyranki, cyraneczki — prawdziwy raj dla myśliwego! Strzelisz bywało — to z gwarem poderwie się rzęsa skrzydlata i okrążać pocznie dym strzału, to gubiąc się w mgłach porannych, to błyskając z nich białymi łonami. A potem wszystko to zapada na innem jeziorze, gdzie powitane strzałami, wraca napowrót pod lufę. Mógłby coś o tem powiedzieć i ów żyd „stepowy“, z którym panie mówiły przed chwilą. On także myśliwy, choć i nie strzela. Ale i dziś zajmuje go jeszcze, gdzie zapadają kaczki, koło których jeziorok trzymają się kszyki... A ile to nawynosił się ich z wody, gdy z własnej ochoty towarzyszył nam w polowaniach. Napatrzył się wówczas na coś, nasłuchał się strzałów, kiedy to jak step długi i szeroki polował prawie kto chciał, a mimo to nie brakło nigdy zwierzyny!..

A co za typy tu polowały! Co za typy! Pamiętam, jak raz, „szlachcic“ z Pautali chy N. zaprosił mnie i pana J. na „jedno jeziorko“, na dubelty. Istotnie dubeltów było w bród, nabiliśmy ich co niemiara. Wtem, gdy tak używamy, N. poczyną naraz jakby czegoś niepokoić się, kręcić — i wśród najlepszej „zabawy“ proponuje nam, byśmy przeszli na drugą stronę jeziora, gdzie ja już miałem polowanie. Po co? Po co? pytamy go, wszakże tam nie ma ani jednego dubelta? Ale szlachcic kręci się coraz niespokojniej...

— Bo tego... tego... proszę panów, tam... widzę jedzie rządca z P. a on — powiem panom prawdę — on tak grzecznie mnie prosił, żebym tu nie polował. Rzecz prosta wynieśliśmy się jak niepyszni — oglądamy się jednak za owym rządca, który tak zdetonował naszego towarzysza. Ale nie widać nic dokoła, prócz jakiegoś czarnego punktu daleko na horyzoncie. Lecz nie mylił stepowego szlachcica prawdziwie sępi jego wzrok, gdy po ewnym czasie punkt ów poczyną ruszać się — powiększać, przybliżać, aż

wreszcie poznajemy i my konie i wózek i samego rządcoę przejeżdżającego stepem opodał. Teraz panu J. żal się robi dubeltów — i mówi do N.: Kiedy on pana tak grzecznie prosił, to możeby przecież pozwolił panu...

— Eh! odpowiada szlachoić uradowany, że zeszedłszy już z terytorjum, na które nas „zaprosił“ eh! grzecznie... grzecznie... Z przeproszeniem panów, to „po prawdzie“ on tak mi powiedział: „Słuchaj N.!“ jak ja cię jeszcze raz zastanę na stepie, to ci własną ręką takich odlewanych dwadzieścia pięć“...

Oczywista, po takim wyznaniu, zrezygnowaliśmy już z dubeltów...

A ksiądz „stepowy“? Ten też napolował się coś! Sześćdziesiąt lat miał już, a nie opuścił „okazji“ myśliwskiej... Pamiętam go jak dziś: wysoki, suchy, czerstwy na twarzy. W długiej rewerendzie, szyję wiecznie miał okręconą długim, czerwonym szalem, którego jeden koniec zwisał mu aż do ziemi. Niby młodzik skakał ksiądz z kępy na kępę — a przestępując przytem koniec szala, raz po raz potyka się, przewraca. Trudno było wówczas i wstrzymać się od śmiechu. Ale starzec szybko się „zbiera“ — i okręcając niecierpliwym ruchem szal nieposłuszny około szyi, niby to gniewny, grozi: „Ej pane doktor, pane doktor, nie śmiecie się ze starego, przyjdzie i na was czas — postarzejecie się i wy kiedyś — i wy będziecie przewracali się po kępach... Ej doktor, nie godzi się śmiać ze starego! A teraz „vorwärts“ doktor, jeszcze stary za wami „naduża“! I znowu skakał po kępach i znowu potykał się i „zbierał“ — i strzelał do kazyków — i krzyczał na psa, donośnym jeszcze głosem płosząc ptaćtwo dokoła.

Ów pies księdza nazywał się także: „Vorwärts“.

— Wstyd ojeze nazywać psa po niemiecku — perswadowałem nieraz staremu, jak gdyby to nie można nazwać go Don — albo Karo — albo jakkolwiek inaczej, byleby nie po szwabsku...

— Macie recht panie doktor — macie recht — ale ja sprawędywyj rusyn — mnie go trzeba... ja go muszę nazwać... po rusku...

Aż raz, gdy znów spotkałem starca na stepie — podchodzi ku mnie z tajemniczą miną i mówi:

— Znajete doktor? „Przechrzoilem“ psa...

— No?

— Ptachowyd nazywa się teraz — ptachowyd! A wy co na to? Ładnie? Co? Prawda? Na tu ptachowyd! Na tu! Tu na! Sprezentuj się panu! A co? Jak rozumie? Ho! ho! Z dobrej on szkoły, z dobrej! Każde słowo ludzkie zrozumie! A co? I głośkał psa i klepał go długim, frendzlastym końcem czerwonego szala...

.....
Miał staruszek i chłopca Filka, który nosił za nim torbę z nabojami i troki z ubitem ptactwem.

— Ho ho! I Filko rozumie polowanie — cieszył się bywało starzec — i Filko! Nieraz i kszyka zobaczy on „na siedzączku“ — kaczkę wyniesie z „trościny, lepiej od samego ptachowyda. Nie wstyd ci gałganie — mówił wówczas do psa, taże twoja to robota wynosić kaczki z wody... Ale tobie nie chce się, niedojdo ty stara, leniuszysku ty niemrawy! No, poszukaj kszyka ptachowyd — poszukaj krasneńko!...

I młodzieńczym, elastycznym ruchem, czerwony szal około szyi okręci — i brodzi z kępy na kępę.

Wiatr swawolny szal mu rozkręca, owija frendzlami łożę strzelby podnoszonej właśnie do ramienia. Teraz, to łożę czerwone i wystające z niego lufy „pukawki“ — sterczą przed ciemną sylwetką księdza niby olbrzymi dziób ptasi, a cały „stepowy“ ksiądz wygląda z bujnych oczeretów, jak jakiś potwornie wielki ptak z rodzaju „brodzów krwawodzióbnych“, stąpający cicho po trawach stepowych.

Jezdźliśmy zwykle na te polowania żółtą bryczką księdza, zaprzęgoną w parę siwych „kobył“, z których każda miała obok siebie najmniej po jednemu siwemu łoszczciu, a często i po dwa, bo prócz małego, ssącego i duże już, przesztoroczne. Jakże rozbiega się ta stadnina — bywało — po stepie — rozbryka się — rozerzy — rozegzi! Często i pospędza z przed nas kszyki, zanim dobierzemy się do polowania. Złości się wtenczas ksiądz — zwo-

łuje łoszęta — gwizdże na psa, który wyrwał się tymczasem z wózka i maszeruje na rozhukane źrebaki. Wtem Filko z kozła ujrzał kulika na niezarośniętej łasze błotnej — i pokazuje go palcem: „A wo! A wo! Jegomoś! A wo!

Jednym susem już starzec na ziemi i strzelbę szybko nabija — i pyta Filka przyeiszonym gorączkowym głosem:

— De? de?

Spostrzega wreszcie ptaka podchodzi go — strzela. Poderwał się kulik, zatrzepotał czarno-białymi skrzydełkami — i usiadł opodal.

A ksiądz, sądząc, że upadł, mówi do chłopaka:

— Filuniu! Idy, bery!

— Ta win szeze żywyj, jegomoś!

— Szczoty znajesz durniu! Idy bery!

Idzie Filko po kulika — lecz on znów się poderwał — i znowu siadł niedaleko. Więc znów go starzec podchodzi — i strzela — i krzyczy do Filka:

— Filuniu! Idy bery!

Nadbiegł i pies na odgłos strzałów.

— Aport huncwot! Aport ptachowyd!

— Jegomoś! Jegomoś! A wo! A wo! pokazuje chłopak — „tam poleciał — tam!..“

Więc złości się starzec — i odwołuje psa i mówi do niego syczącym szeptem, żeby kulik nie usłyszał:

— A do nogi huncwot! Do nogi gałgan! To ja cię na łozaki wziął z sobą, ozy na polowanie? A do nogi „łoszolat“!.. Do nogi huncwocisko“ ty jeden!..

Aż wreszcie za piątym coś strzałem przyniósł ptachowyd kulika, a staruszek uradowany ogląda ptaszka i piórka jego gładzi czarniawe i mruczy:

— A to „niesamowita“ jakaś „omama“ — pięć „szusów“ zjadł — i jeszozeby usiekał!..

Lecz pomimo to, całe wory ptactwa biliśmy nieraz na takim polowaniu — aż nie wiedzieć było co z tem robić, a dziś...

A przed oczami nas, zasłuchanych w słowa doktora B. —

z sinawej dali stepowej, ze stopowych traw — wyrasta wysoka, sucha postać „stepowego“ księdza — i po wyschłych kępach dziesięjszych jeziorok potyka się — i przygląda się im — i siwą głową kręci i pyta o coś Filka — i woła „ptachowyda“ — i niecierpliwymi ruchami poprawia na sobie czerwony szal, którego końcem łopocze wichery wiejący stepami...

Tymczasem doktor B. mówi dalej, jakby wpatrzony w dawniejsze czasy, wsłuchany w huk strzałów dawniejszych polowań, jakby owiany ich dymem, co rozwiął się dawno, niby mary rozwiwne przeszłości: Osiemdziesiąt kilka lat miał już staruszek, gdy naraz śmiertelnie zaniemógł. Wezwano mnie wówczas do niego. Zastałem go w łóżku, zmienionego, dogasającego już prawie. A jednak czułem, że chciałby być jeszcze żyć, wyzdrowieć — polować... Zapiśałem mu lekarstwo, uspokajałem. A on wpatrywał się we mnie dobrymi, siwymi oczami, uporzyciwie wpatrywał się, podejrziwiewie, jakgdyby ze wzroku mego pragnął wyczytać, czy mówię prawdę, czy nie łudzę go nadzieją wyzdrowienia...

Jesienne słońce padało z okna na przyciemną ścianę izby malowanej w kwiaty, na łóżko księdza zasłane wypłowiałą, czerwoną koldrą — ślizgało się po niegolonej twarzy starca, żółtawej, siwo omszonej, niby kora usychającego dębu. A on widocznie rad słońcu, uśmiechnął się jego promieniom, jak śniada rola uśmiechać się zdaje ostatnim błyskiem pogody jesiennej, przypominającej jej lato upalne i wiosnę rozkoszną:

— Pane doktor! a pamiętacie wy nasze polowania?

Usiadłem tuż przy nim, a on mówił, z ceglasytymi wypiekami; na wpadniętej, wyschłej twarzy:

— A pamiętacie wy Filka? Dziś on już i dzieci ma takie, jak sam był wtenczas... A pamiętacie, jak raz Filko z Mordkiem łapali kaczkę zbarozoną, w „trościnie“? O wtedy był strach, wtedy mało nie utopił się chłopak w błocie, bo był już w niem po pachy, „zaczem“ wyciągnęliśmy go za ręce z „bruzi“... O wtedy był już strach!.. A tu Mordko wrzeszczy gwałtu, a tu ptachowyd „skawuli“...

.....
A pamiętacie jak łoszyca siwa topiła się w „bezdni“, na tem

jeziorku, które najwięcej zawsze lubilem, za to, że tak „krasno“ „szpigluje“ ?

Pamiętacie, jak dźwigaliśmy ją wszyscy — i wy i ja i Filko i Iwan furman i ptachowyd nawet szarpał ją za obwost“... Pamiętacie jak potem z siwej zrobiła się czarna, tak, że jakeśmy jechali przez wieś, to ludzie biegli za nami i mówili, że to „bihme nie samowite“. A najśmieszniejszy ten ptachowyd, jak ciągnął łoszycę za ogon...

— Albo wtenczas... wtenczas, kiedy to cała wieś śmiała się z tych bab, którem tabakierką „nastukał“ po głowach w konfesjonale... No! ja bym wam był już powiedział, co to był za „porachunek“ — ale ja kapłan — nie mogłem... Spowiedź rzecz święta...

Mimowoli uśmiechnąłem się.

— Ja wiem ojeze, za co to było.

Wiedzą i inni, że Motrunka „chapnęła“ wam dropia, którego podechodziliście kilka tygodni, aż wreszcie „barezony“ lotkami upadł wam w trzoinę — ale było już ciemno, a kiedyście przyjechali po niego nazajutrz do dnia, już go ktoś zabrał, przy miesiącu widno... Aż potem Motrunka sama przyznała się przed ludźmi, że go dobiła nad wodą patykiem — i wzięła go sobie — i za to przy świętej spowiedzi...

Ledwie dostrzegalny uśmiech błogi rozświetlił gasnące rysy starca, a ja przypominałem mu dalej:

— I o drugiej babie, także wiedzą ludzie... Ta znowu podjęła w kartoflach waszego kszyka, którego pies nie mógł znaleźć, a który brakował wam do trzydziestki, kiedy to założyliście się z poborcą o dziesięć flaszek miodu, że będziecie mieli trzydzieści kszyków do południa. Południe tuż tuż, macie już dwadzieścia dziewięć długodzióbnych, a ostatniego, co upadł koło baby kopiającej ziemniaki, ani rusz znaleźć...

Pytamy babę, czy go nie widziała, a ta: „bihme!“ — powiada — „nie widziałam na oczy“!

I ona przyznała się potem, za co dostała tabakierką po głowie przy spowiedzi.

— A wy ojeze w ten sposób właściwie wygraliście zakład —

i o tem ludzie wiedzą, tylko przez uszanowanie dla świętej spowiedzi nie chcieliśmy wam o tem mówić... A ptachowyd coś wtedy miarkował w tych ziemniakach, bo przypominam sobie, jak babę obwąchiwał, jak skakał na nią łapami... On z pewnością zawąchał u niej tego kszyka za pazuchą...

Lecz starzec milczał, tylko ustami poruszał, jakby przeżuwał niemi dawne wspomnienia, jak gdyby rad, iż przecież ludzie wiedzą, że i dropia nie chybił — i zakład wygrał z poborą, że będzie miał do południa trzydzieści kszyków.

Nagle poderwał się na łóżku.

— To pamiętacie doktor ptachowyda?

— Doskonale pamiętam...

— Ptachowyd! Ptachowyd! To był raz piesek! On „ptacha“ nie popuścił, on go widział, zdawałoby się po koniec ziemi, tam aż, gdzie ona z niebem się schodzi... Ptachowyd! To był pies! Gdzie teraz takiego! Ten osioł — tu wskazał wzrokiem na brązowego wyżła, zwiniętego w kłębek na wytartej sarniej skórcie przed łóżkiem — ten osioł tylko z maści podobny do „niebószczyka“... Gdzie jemu do niego!.. „Filozof“ niby to się nazywa, a taki on i filozof!.. Za zającem goni w polu, przepiórkę mi potknął.. Ten osioł „naprzeciw“ tamtego! Słyszysz smarkaozu? Osioł jesteś nie żaden filozof — osioł nie pies!..

Umilkł starzec, a oczy jego przymglone, z wpadniętych orbit pomarszczonej żółtej twarzy — patrzą na żółknące jesienią klony ogrodu — na liście opadające złotymi płatami z topoli, na rude kasztany — na skrawek stepu siniejący po przez drzewa w oddali.

A z tego stepu, tohnienie jego wolne, przestronne, szerokie, płynęło przez przerwę pomiędzy drzewami ogrodu, jakby dusza jego serdeczna podpływała pod okna starca — i przyglądała mu się — i żałowała go — i pieściła łagodnem tohnieniem przez siatkę okna — i zapraszała zapachem oczeretów, szuwarów, na step... do siebie...

A starzec, jakgdyby odczuł ten pocałunek stepu, bo przymknął oczy na chwilę — i uśmiechał się jakoś błogo...

Cisza zrobiła się w izbie — słychać było tylko miarowe ty-

kotanie starego zegara z wagami na łańcuszkach — i bicie ogona „filozofa“ po sarniej skórze. Nagle chorey otworzył oczy.

— Pane doktor! Pane doktor!

— Co ojeze?

— A będzie tam step na tamtym świecie?

— Będzie ojeze! Będzie!..

— I to nasze jeziorko, co tak „fajno“ „szpigluje“?

— I nasze jeziorko...

— I ptactwo będzie — i polowanie?

— I ptactwo i polowanie...

Naraz ksiądz podniósł się na poduszkach i wyschłą ręką chwycił mnie za guzik od surduta, a ja ozulem w tym jego geście odruchowym, że dusza starca czepia się mojej — i żąda od niej potwierdzenia najtajniejszej swej myśli, najgorętszego pragnienia.

— Doktor! Doktor!

— Co?

— A ptachowyd, ptachowyd „tam“ będzie?

— Będzie ojeze, będzie...

A staremu aż ceglaste wypieki zaogniły się silniej na twarzy zapadłej i ręka wpiła się mocniej w mój guzik — a usta drgają bezwiednie, jakby poruszane w rytm wysiłku myśli, jak gdyby myśl ta gasnąca obliczała coś jeszcze z trudem, jakby przed odlotem w nieznaną podróż, ostatnimi błyskami rozświetlała sobie mrok wątpliwości jakiegó największej wagi.

— To i mnie już „taki“ t a m czas! Doktor! Kochany doktor i mnie już tam czas!

— Eh! jaki tam czas!..

— Czas doktorciu! Czas najoczywistszy! I powiem ci szczerze, jeżeli tam będzie ptachowyd, to po co mi męczyć się tu z tym durniem smarkatym... Ja na to za stary... I patronów robić nie „podużam“ — i lufy w pukawce wystrzelały się „het na papier“ — i torba „wskróś“ połatana... J: już i nad tem myślałem, czyby nie można tego... he?... rozumiesz?. I waffenpass“ nawet za-zylem w tę nową sutannę... Ale nie! nie! Tam pewnie dadzą wszystko „nowiuskie“, „extrafajn“...

— Ojcie, ojcie, ktoby tam o takich rzeczach...

Lecz myśl starca z uporem trzymała się wątku ukochanego...

— A głównie — szeptał już coraz ciszej — z tym osłem gorącym... z tym filozofem durnowatym! Przepiórki polyka, za zajęciami pędzi — a jeśliby tam ptachowyd — jeśliby na prawdę ptachowyd...

.....
Osłabł widocznie, bo ręka jego puściła mój guzik, a oczy znowu poczynaly się kleić...

.....
I znów cisza zaległa izbę — tylko zegar miarowo tykotał — tylko wyżeł sapał przez sen na sarniej skórcie przed łóżkiem.

A przez zieloną siatkę otwartego okna, Anioł Pański stepu nalatywał zapachem świeżo rozoranych ról — wonią szuwarów i oczeretów.

Szum trzcín pierzastych słychoć było w jego paoierzu i ksykanie kszyków i gwizd kulonów i kulików — i świst czajczych lotów — i cichy plusk fali rozstępującej się przed stadem rozigranych młodych kaczek — i głosy gęsi ciągnących — i żalosańską skargę ulatujących żurawi...

.....
Anioł Pański wieczoru nalatywał od stepu — i wiewem skrzydeł otrącał żółte liście z topoli i klonów — i chwiał malwami w ogródku plebanji — i po ich kwiatach różowych i czarnych płynął cicho do pokoju księdza...

V.

KU BOHATKOWCOM. OSTATNI KSZYK. KRÓLE STEPU.
PONURY LEJ. ROZSTANIE. STEPOWY JÓZEK Z TOWARZYSZAMI PRZY ROBOCIE MYŚLIWSKIEJ.

W stepowym wietrze czujemy zda się wiew jego skrzydeł — na twarzach — na rękach — w szeleście trzcín słyszymy go i w szmerze rokiein — z oddechem ról, bagien wciągamy w piersi stepu niesyte...

Już po spoczynku — i odjeżdżamy już w stronę Bohatkowic — a widmo księdza majaczy ciągle przed nami po sienie dalekiej stepowej — a wicher szal mu czerwony rozwiewa i igra swawolnie z jego frendzlami.

.....
Taki sam kraj ku Bohatkowicom, jak i z tamtej strony Żarówki. Tak samo płasko-równo-szeroko-bezkreśnię..

Tak samo po polach (kobiety) kopią ziemniaki — chłopcy podorują żółte ścierniska. Coraz więcej kurczą się złote przestrzenie tych ściernisk — coraz to powiększają się ciemno-popielate łachy czarnoziem. I tu podobnie jak przed Żarówką gromadki chłopaków pasą bydło nad jeziorkami.

Tylko jeziorka te większe teraz, jak gdyby stopniowaniem ich, step przygotować nas pragnął do pozdrowienia króla tutejszych jezierek: stawu Bohatkowieckiego. Lecz pozdrawiamy go tylko w myśli, bo dobrze już z południa — i czas nie pozwala zapuścić się tak daleko.

Przeszukujemy jeziorka zwane czarnem i siwem. Dawne to nazwy zapewne, bo dziś lustra wód zarosnięte trzeźnami i rokiciną, że woale prawie nie widać ich, a i ta woda, co tu i ówdzie przebłyśnie z gęstwiny, nie wydaje nam się jakoś ani czarna, ani siwa..

Jeszcze jedna ustrzelona przepiórka i parę kszyków. Ostatni z nich, wypłoszony przez psa z oczeretów — krąży wysoko nad stepem — gdzie natrafia na przelatującego właśnie jastrzębia i uciekając przed nim z głośnym ksykaniem zawraca nad bagno. Ale smać „sądzonym“ mu był dzień dzisiejszy, bo „ściągnięty“ celnym strzałem pana C. z wysokości jakich osiemdziesięciu kroków nad nami — nie leci już dalej — lecz z dzióbem na bok zwieszonym, z opuszczonemi bezwładnie skrzydłami, zawisa chwilę w powietrzu, by skośnym łukiem opaść jak kula na ziemię..

„Gęsi! Gęsi!“ — mówię do doktora B. — pokazując mu w dali sześć dużych ptaków, płynących, zda się, topielą przestrzenną. W różnych od siebie odstępach — wolno — ciężko, jakby w takt, miarowo poruszając skrzydłami — oddalają się od nas powoli. Ale doktor B. lepiej odemnie orientuje się w zwierzyńcu ste-

powym, bo przypatrzwszy się ptakom, rozpoznaje w nich dropie. Lecz nie oczekają myśliwych madre ptaki, co tak często bez obawy pasą się w stepie tuż obok ludzi pracujących w polu. Kilkadziesiąt majestatycznych poruszeń ciężkimi skrzydłami — i korowód „krolów“ stepowego ptactwa, maleje, rozplywa się, znika przed nami w błękitnym odcieciu dalekiego nieba.

• • • • •
 Pora do odwrotu — i z drogi ku Bohatkowcom, omijając Żarówkę, skręcamy w stronę stepów Mikulinieckich. Tu już grunty więcej torfiaste, widocznie nie dawno były pod wodą. Niewiele ujechaliśmy, kiedy doktor B. zwraca naszą uwagę na zagłębienie lejowate, na prawo od drogi, tuż przy niej w polu. Lej ten, o kilku sążniach średnicy, okrągły u góry, zwęża się coraz więcej ostrym stożkiem, w dość głęboką czeluść. Coś ponurego bucha z tajemniczego jej dna, zarośniętego zielskiem wodnem i rokiciną.

Kilka takich lejów znajduje się w południowo-zachodniej części stepu, w okolicy wsi Pantalichy. Jeden z nich utworzył się przed kilkudziesięciu laty, podobno za pamięci żyjących jeszcze ludzi. Stało się to tak nagle, iż Niemiec z Najtyczan, orzący pole w tem miejscu, nie miał czasu uciec — lecz wraz z końmi zapadł się w ziemię bez śladu. Od tego czasu brzegi leju, poszarpane pierwotnie, nierówne, wypłukała woda, zaokrągliła je, a niezgruntowanie głębokie dno, zaciągnęło się ziemią, porośło szuwarem i zielskiem.

Doktor B. twierdzi, że „zapadliny“ te powstają wskutek usuwania się podmywanych przez wodę, głębokich podziemnych pokładów gipsowych. Dzieje się to w miejscach z natury już zakłębionych, kędy wyschły, łatwo przepuszczalny torf ochłonie chętnie spływające z wyższych pól wody.

Przypominają mi się podobne leje w lesie Wróblaczyńskim powiatu Rawskiego, tuż przy drodze ze Smolina do Niemirowa, kędy również głąb ziemi obfituje w pokład gipsowy. Od nich to prawdopodobnie, las ów od niepamiętnych czasów nazywa się: „Zapadziska“.

Tylko tamte jeszcze więcej ponure, bo o dnach niczem nie porośniętych, czernią się ciemną, smutną wodą, niby jakies „nie-

samowite“, przekłete jeziorka, na których ziele nawet nie chce porastać.

.....
Nie laleko, w stepie rozstajemy się z doktorem B. Jemu droga wypada ku Mikulińcom, nam z powrotem przez Zazdrość.

— Wstępujcie na jeziorka — mówi doktor B. — spoglądając na słońce, obyłące się w stronę zachodu — macie jeszcze czas — na jeziorkach będą kaczki...

— A czy to terytorjum, na którym wolno panu polować? — upewnia się pan C. — bo żeby nie było z nami jak z tym szlachcicem...

— Wolno, wolno bez obawy — śmieje się doktor.

Widzimy go jeszcze przez tuman kurzawy, gdy nagle, jak z pod ziemi, wyrasta przed nami stepowy Józek — i zaprasza na jeziorko, gdzie „je“ kaczki.

— Gdzież to? — pytamy chłopaka.

— A wo tam! Na tamtem „jeziorku“... I pędzi na przełaj obszernego pastwiska, kiwając na nas, byśmy za nim jechali. Dojeżdżamy już bagna, gdy z szuwarów jego podrywa się stado małych cyranek i krąży nad lustrem wód, przeblyskującym z oczerótów. Chciwie śledzi lot ptaków stepowy Józek, przyczajają się do ziemi, a z nim i gromadka rówieśników, pasących bydło nad bagnem.

Nabijamy strzelby — i nie strzelamy nawet do dwu żurawi, żerujących spokojnie na roli obok bagna, żeby nie płoszyć cyranek... A one tymczasem białymi spodami błyskają pod słońce — okrążają nas kilkakrotnie — i coraz niżej krążą — coraz niżej — aż wreszcie stulonymi skrzydłami opuszczają się skłonnie w gęstą kępę szuwaru.

Rozchodzimy się z panem C, każdy z nas innym brzegiem, by stanąć naprzeciw miejsca, kędy zapadły. Ohwila, a znów zrywają się bliżej mnie. Strzelam w stado i dwie cyranki wpadają w wodę porośniętą szuwarem.

Długimi nogami podbiegają po roli, spłoszone wystrzałem żurawie — rozpędzają się do lotu — i wnet, machając ciężkimi skrzydłami, ulatują w bezpieczniejsze strony.

Z jeziora porwała się para siwych czapli — i wyciągając przed siebie długie, kręte szyje — unosi się w przestwór.

Nie opadł jeszcze dym strzału, gdy już stepowy Józek z dwoma towarzyszami, rozebrawszy się nie wiedzieć nawet kiedy — rzucili się w wodę po kaczki — i płyną na wyścigi z naszym „Karem“. Tuż przed psem podnosi cyrankę jeden z chłopaków i wyskoczywszy ohyżo z toni, nagi, obmazany błotem, ociekający wodą — z tryumfem odnosi ptaka panu C. — lecz nie śmie zbliżyć się do niego z obawy przed „Ciupą“, która ujrzawszy kaczkę, „wystawia“ ją, podchodząc z wolna ku chłopcu, z wyciągniętym jak struna ogonem. A chłopak, sądząc, iż pies nastawia się do niego, w obawie o nagie swe łydki, cofa się przed nim, zasłaniając się kaczką, niby listkiem figowym...

Udaje mu się wreszcie pozbyć zwierzyny i wnet wraca do wody, gdzie stepowy Józek z towarzyszem usiłują schwycić drugą cyrankę. Już, już sięga Józek po nią ręką, kiedy zbaczony tylko ptak, daje nurka pod wodę, by za chwilę wypłynąć gdzieindziej — i znów zanurzyć się w oczeret i toń... Nie mogą poradzić jej chłopcy, nie zdoła i zachęcany przez nich Karo, zawstydzony, że ubiegł go ktoś w aportowaniu pierwszego ptaka.

Tymczasem podrywają się kszyki, kuliki, ozajki — i krążą nad nami ksykając i piszcząc żałośnie w powietrzu. Gwar robi się nad jeziorkiem, jakby ożyło w tej chwili dawnym swem życiem stepowem...

Słońce złoci lustra wód — drży, tańczy — pali się na falach marszczonych ciałami chłopaków, na kręgach tych fal, rozstępujących się przed brązowo - żółtą sylwetką pławiącego się w nich Kara. Jeszcze kulik „ściągnięty“ przez pana C, jeszcze pościsg Ciupy za ptakiem spadającym skośnie na dal pastwiska — i zostawiamy za sobą jezioro — przeprowadzani rozpolowanym wzrokiem młodocianych „towarzyszy myśliwskich“ — i szaro - niebieskimi oczami stepowego Józka, suszącego się z tryumfem w purpurowym zalewie stepowego słońca...

.

VI.

POWRÓT.

Inaczej zachodzi tu ono niż w górach, niż w pagórkowatej lub lesistej okolicy. Nie chowa się tak szybko za skały, za góry, za drzewa, gaje, za chaty — lecz zwolna, majestatycznie płynąc zda się po okadzaniem lekkim, przejrzystym oparem przestworzu — po bezkresnej topieli niebieskiej.

Powietrze, przeźroczyste jakieś, przybliża przedmioty — jaśniejszymi je czyni — widoczniejszymi. Bylice, szczawie, osty, odcinają się tak wyraźnie na tle nieba, iż bierze się je mimowoli za drzewa — i trzeba wciąż przypominać sobie, że to zioła... A z ziół tych, z ich woni, z ciemnej, bujnej, żyznej, prastarej ziemi, o łonie pełnem cmentarzysk, z rozfalowanych wiatrem jej runi, wstaje i z nieprzepartą siłą odżywa zjawia dawnej przeszłości.

I kiedy tak stepem jedziemy, a wiatr nam oddech przepaja zapachem tej ziemi — czujemy się pieszczonei przez nią, ukochanemi jej dziećmi, którym ona, dobra mądra matka, w zwierzeniach swych przedwieczornych, przy blaskach przedzachodnich — objawia, powierza pogrzebione w niej tajemnice.

Stary łąd podolski odsłania nam, wystający nad morza dalekie — a potem fale oblewające go przez długie, długie wieki — i znowu łąd wyłoniony już z pod nich, gdy wszędzie na okół szumił jeszcze ocean.

I lasy dziwne, o nieznanym dziś drzewach, pełne mamutów, nosorożców, lwów, jeleni — i bory, kędy w jaskiniach mieszkał niedźwiedź i człowiek jaskiniowy, posługujący się kamiennymi narzędziami...

I hordy Hunów, tratujące ją kopytami końskimi — okazuje nam ta ziemia stepowa, oblana fioletowawo różowemi światłami — i uroczyste obrzędy pogańskie, odprawiane u tajemniczych kamieni...

Za coraz gęstszy tuman przedwieczornych oparów — kloni się teraz kula słoneczna. Złotokrwawy jej pożar, owany kłębami tego tumanu, to niby pożoga zapalanej gdzieś daleko przez Tatarów osady, buchająca płomieniem i dymem.

I rżenie tabunów tatarskich zdaje się nam nalatywać gdzieś z rosą — i kwik gryzących się koni po pastwiskach — a ostatnie lśnienia zorzy krwawiącej jeziorka, to jakby odblask łuny owych płonących sadyb ludzkich, z których wiatr niesie jęki pędzonych w jassy, głuszone dzikim wrzaskiem pohańców...

Powiał wiatr silniej — a w jego gwizdzie, ze szmerem suchych ostów, bylic, piołunów, niby szum skrzydeł hussarji słychać, niby chrzęst zbroie skrzydlatych rycerzy, pędzących przed sobą najeźźców...

Już hen pod widnokrąg zapływa krwawa kula słoneczna. Drżą, błyszczą rosy na runiach w purpurze wieczornej — rzeźwość z nich tryska — step pachnie ziołami, ziemią — młodem życiem, rodzącem się w kielkach zbożowych.

Coś niewypowiedzianie drogiego zmartwychpowstaje teraz z piersi tej ziemi — zapala się w światłach ostatnich, oświetlających lustra tych wód.

Coś, co od dziecka tliło gdzieś w głębiach duszy — za oczem od dziecka tęskniło się — lecz co nie uświadamiało się nigdy z taką mocą potężną, jak oto w tej chwili stepowego zachodu.

Z nadchodzących z dala mroków z cieni ślizgających się tu — i ówdzie po falach pól — z tajemnic zaoranych mogił — hymn jakiś bije uroczysty, jakieś nieszpory się prawią świątecznie... Dziwna moc w tym Aniele Pańskim stepowego wieczoru.

Dziwna moc, nad wszystko większa, nad wszystko silniejsza — jakby rodzicielska moc życia nad jego stworzeniem — jakgdyby nieznanie źródło tego życia, jego bujności, wolności, czaru jego młodości — swobody myśli — polotu natężeń...

Niby w księdze otwartej, czytamy w duszy, w sercu, w najtajniejszych zda się drgnieniach tej moocy władającej życiem stepu w tej chwili, rozszumianej, rozdzwonionej w jego wichrze.

Niby w księdze otwartej czytamy w niej miłość ojców do tej

ziemi, miłość, oo piersi ich zwierala w żywy mur, chroniący zachód przed zagładą od dziezy — oo wałem poległych ciał, nie wolą dzieci, sromotą żon, sióstr, córek, zagradzała czerni drogę na ten zachód — oo kazywała ojcom naszym kośćmi swemi zasiewać, nżyźniać te pola...

Niby w książce otwartej czytamy w tej Mocy Duszę Polski — swobodną, orlą — rozwianą wolnością, jak dale stepowe, jak wichry, oo pędzą nad niemi!

Czytamy w niej myśl, która osadników naszych gnała na wachód — na świeże nieraz pogorzeliiska — na losy niepewne, na utratę mienia i życia — byle grób im wicher owiewał od stepu — okadzał zapach stepowego ziela.

I tę myśl, oo „w stal zakutego rycerza“, walecznego Bartoza z Trembowli, wiodła pod znaki Jagiełły, na bój z krzyżactwem na polach Malbarga.

O myśli polska, rozwiana po stepie skrzydłami husarzy leących z Sobieskim w odsiecz Trembowli, a potem z Jabłonowskim z pod tejże Trembowli do obozu „Króla Jana“ na obronę uciśnionego Wiednia!

O myśli polska, orla, bohaterska, niepomna własnej korzyści, byle nieść pomoc drugiemu! I ty, oo święciłaś jedną z ostatnich twych chwał orężnych w zwycięstwie Strzyżowskiego nad Austryakami, na polach niedalekiej stąd Wieniawki, którą odtąd za karę przewano gwałtem „Chmielówką“...

O Duchu Polski, białopióry Aniele szlaków męczeńskich, o piersi krwawej „rubinowem pierzem“, broczącej wieczystą tęsknicą za matką — kochanką: Ojczyzną!

O Duchu Polski! W stepowym wicherze Cię słyhać, w szeleście trzoin, szuwarów, w szmerach ostów i bylic.

Widać Cię w blaskach słonecznych, złocących tę ziemię — widać, jak oicho płyniesz owiany królewską purpurą wieczoru...

Niby zwiędłe liście jesienne, mogilna pleśń opada z Twych skrzydeł jasnych, odmłodzonych, jak owe skrzydła ptaków wypierzonych latem, porastające młodymi piórami pod jesień...

O Duchu Polski! Widzimy Cię w tej chwili w prochach Twej ziemi, iak niby Fenix z nich zmartwych powstajesz! Wi-

dzimy Cię w tej chwili w sercach, w duszach Twych dzieoi, jak mto kwiecie wiosenne z ich życia wykwasz!..

W zorzy zachodniej czerwieni nam się wieża Strusowskiego kościoła — a my przypominamy sobie tego murarza ze Strusowa, który niedawno temu pytał nas z radosnym niepokojem: „Czy będzie jeszcze nazwa Polska“?

Czy będzie?

Ona jest, Ona żyje, odradza się z najgłębszych korzonków Swego drzewa, z dziewiczej runi najmłodszych Śwych dzieci..

Mrok już gęstnieje, a w jego cieniach widać wianek czerwonych ognisk na wzgórzach Łoszniowa. To robotnicy palą po polach stosy suchej naciny ziemniaczanej.

A po przez blask ogni, mrokiem, po mgłach osnuwających kręty bieg Gniezny, płynie rozwdzięczony, rozelkany modlitwą Anioł Pański dzwonów Łoszniowskich — i widać czerwonaświatła chat we wsi Łoszniowskiego jaru.

A nam, zjeżdżającym w ten jar, zasluchanym w modlitwę dzwonów, zapatrzonym w ogniska domów i w ognie na wzgórzach — przychodzi na myśl, co nam mówił parę dni temu chłop, gospodarz z Łoszniowa, Jan Babeczyszyn: „Trzeba, byśmy wszyscy trzymali się razem, byśmy mieli wciąż na pamięci słowa naszego kochanego wieszca: „Niech żywi nie tracą nadziei — i przed Narodem niosą oświaty kaganiec“.

— Tak, tak! Wszyscy nieśmy te kagańce — nieśmy ich coraz więcej — mówił nam chłop — a one już drogi nasze rozświetlą..

Aniołem Pańskim po nglach wieczornych modlą się dzwony — a przed oczami naszymi staje wysoka, chuda poważna postać tego chłopca polskiego, bystrym wzrokiem siwych oczu wpatzonego z duchem wieszca w odrodzenie swojego Narodu.

I mimowoli widzimy naokoło niego ten drobiazg najmłodszy, kilkuletni ledwie, tych chłopców i dziewczątka, co stojąc u rowów przy ulicach wsi, witają śmiało przechodnia świętymi słowy dziecinnego szczebiotu:

— Pochwalony Jezuiś Chłiśnuś!

I owe starsze dzieci, co z gwarem i wrzawą wesela rozbiegają się po wsi ze szkoły.

I te świąteczne szeregi dziewczątek w białych sukienkach chłopców w białych komeskach — te białe szeregi polskich dzieci, po które polski ksiądz Łoszniowski przychodzi z processją do szkoły — i prowadzi je do pierwszej komunji — przez wieś — prowadzi do kościoła na wzgórku — z chorągwiami, przy biciu wszystkich dzwonów — przy śpiewie pieśni:

Serdeczna Matko, Opiekunko ludzi,
Niech Cię płacz sierót do, litości wzbudzi;
Do Ciebie dzieci wygnane wołamy:
Zmiłuj się, zmiłuj, niech się nie tulamy.

I mimowoli widzimy obok tego chłopca, obok tych dzieci świątecznych — nieśmiałą postać „stepowego“ Józka i jego twarzyczkę zawstydzoną żalem szaro-niebieskich oczu, że on „nie może“ mówić po polsku... Kto go nauczy? Kto? Nieprzepartą troską ciśnie się nam na myśl — kto go nauczy?

Może, gdy rozewrą się drzwi polskiej kaplicy w Zazdrości, gdy w niej usłyszysz polską naukę, kiedy żalonna nuta „Serdeczna Matko“... nieznanym dotąd żalem pierś mu przepełni stepową — rozetka serce — rozkołysze duszę — może wówczas... wówczas.. i on — i jego rodzice.. a potem już i jego dzieci.. Może wówczas..

Anioł Pański przesłanych dzwonów Łoszniowskich, ostatnim ich dźwiękiem ulatywał gdzieś w step — i jakby go pieścił oichnącą coraz modlitwą, jakgdyby błogosławił ją we mgłach sennym dalom stepowym:

— Niech się tak stanie wam — niech stanie się.. stanie!..

Łoszniów, w Październiku 1909.

GEORGES d'AVENEL.

W STANACH ZJEDNOCZONYCH.

POLA, OGRODY I LASY.

Dużo jeszcze minie czasu, zanim ludzie przestaną „odkrywać Amerykę“. Nawet ci, którzy od dawna mieszkają w „nowym świecie“ nie zawsze są *au courant* wszystkich przemian, przez które kraj ten ustawicznie przechodzi. A jeżeli sporo jest jeszcze wiekowego dorobku, którego St. Zjed. mogą nam pozazdrościć, to z drugiej strony, próby, doświadczenia i wysiłki jankesów, we wszystkich kierunkach życia ekonomicznego, przedstawiają dla nas, niesłychanie cenny materiał dydaktyczny.

Ponieważ należy zawsze unikać odkrywania tajemnic dawno znanych, przyjmę za pewnik, iż czytelnik zna ważniejsze opisy St. Zjed. i ograniczę się tutaj do przedstawienia ewolucji dążeń i dzieł ostatniej doby, które, jak sądzę, nie znalazły jeszcze swego kronikarza.

I.

W tym „nowym świecie“ trawionym przez gorączkę business'u — najważniejszym business'em jest rolnictwo. Jedynie dzięki rolnictwu kwitnie w St. Zj. przemysł. Farmer nie dostarcza, jak we wszystkich innych krajach, tylko materiałów surowych fabrykantowi, ale gromadzi także spory kapitał zapasowy, z którego przemysł czerpie.

Przez wywóz produktów rolnych, który dosięga rocznie sumy czterech miliardów fr. i przewyższa o $1\frac{1}{3}$ miljarda fr. przywóz materiałów tej samej kategorii, dostarcza rolnik amerykański przedsiębiorstwom kolejowym, fabrycznym i górniczym, potrzebnych do przedsiębiorstwa kapitałów.

W miarę jak rozwija się przemysł, część przypadająca w eksporcie St. Zj. na produkty rolne, zmniejsza się stale procentowo, ale bezwzględnie zwiększa się niepomniernie. Obecny wywóz produktów surowych St. Zj. przewyższa eksport roczny z lat 1896 do 1900 o 660 mil. fr.

Farmer amerykański, który przez ostatnie szesnaście lat sprzedał do różnych części świata za 62 miljardy ł. produktów — czyli pięć miliardów więcej niż ogólna wartość całej sieci kolejowej w St. Zj. — wprowadził do kraju netto 25 miliardów fr. Bogactwo, które amerykański rolnik — to znaczy 35 proc. ludności — sprzedał za granicę kraju i które on sam z resztą ludności Unji, spożył w przeciągu ostatnich lat dziesięciu, równa się połowie całego majątku wszystkich obywateli St. Zj., nagromadzonego w przeciągu trzech stuleci.

W r. 1906 wartość płodów rolniczych — przedziwny wytwór pracy mózgow, mięśni i maszyn — na terytorjum St. Zj. obliczono na sumę 32 miliardów fr. — Ta cyfra, całkiem zresztą teoretyczna, — gdyż niektóre produkty wchodzi w rachunek kilkakrotnie, n. p. pasza, bydło i mleko — może nam połużyć do mierzenia postępu wytwórczości. Sprawdzamy więc, że ostatni rok wykazuje 4 proc. nadwyżki w stosunku do przedostatniego a 8 proc. w stosunku do r. 1903, przewyższa zaś r. 1899 o przeszło trzecią część, bo o 36 proc.

W skutek obfitości ostatnich lat wzrosła niepomniernie cena ziemi, której plody pomimo ilościowego przybytku, nie straciły na wartości handlowej. Ta podwyżka cen uprawnego gruntu, rozdziela się bardzo rozmaicie w pojedynczych stanach. Na wschodzie n. p. a więc w najbardziej cywilizowanej części St. Zj. dochodzi zaledwie 13 proc., gdy tymczasem w zachodnich i południowych Stanach, waha się, zależnie od przyrodzonych warunków gleby, między 25 proc. w gospodarstwach mleczarskich, a 48 proc. w ziemiach zdalnych pod uprawę bawełny. W przeciągu podniosły się ceny ziemi w St. Zj. w ostatnich pięciu latach o 33 proc. W poprzednim dziesięcioleciu (1890—1900) zwyżka ta wynosiła tylko 25 proc.

Zamieniając na pieniądze tę zwyżkę wartości ziemi w St. Zj., otrzymamy przecięciowo 28 fr. na jeden hektar. Z tego k...

przypada na Stany półn.-wschodnie, bo chociaż procentowo wartość gruntów wzrosła tutaj, jakeśmy to widzieli, tylko o 13 proc., to przedstawiały one już dawniej tak znaczny kapitał, iż ta stosunkowo drobna zwyżka więcej wyniesie, niż 40 proc. w St. zachodnich, w których ziemia była bezporównania tańszą. Ogólny przyrost wartości ziemi uprawnej w St. Zj. od roku 1901 dochodzi olbrzymiej sumy 31 miliardów frank. czyli 17 milionów frank. dziennie!

Na podwyższenie cen ziemi w St. Zj. złożyły się bardzo rozmaite i liczne przyczyny. Przedewszystkiem wysoki poziom cen produktów rolnych na całym świecie w ostatnich latach. Następnie, intensywniejsza gospodarka; meljoracje rolne, jak irygacja i drenowanie pól, przedsiębrane na wielką skalę; rozwój sieci kolei żelaznych i dróg bitych. W reszcie tańszy kredyt.

II.

Z cyfr, któreśmy przytoczyli wynika, iż przemysł rolniczy w St. Zj. rozwija się obecnie na zgoła innej drodze, od tej po której kroczył przed laty trzydziestu. Zdaje się, iż ekstensywna i prymitywna gospodarka amerykańskiego farmera, niegdyś przysłowiowa, przeszła już do historii. Z tym procesem, który się już w znacznej części odbył, trzeba się liczyć i wyrzucić z balastu naszych przesądów zakorzenione wyobrażenie o rabunkowej eksploatacji ziemi przez jankesów.

Powtarzano nam, że Amerykanie wymagają od ziemi rokrocznych plonów w zbożu, aż do zupełnego wyczerpania gleby, którą zmuszeni są potem pozostawiać odłogiem i że w niektórych okolicach pól całkiem nie nawożą, a gdy stajnie i okólniki na bydła napelniają się obornikiem, przenoszą je na inne miejsce! Otóż obecnie nic podobnego już się nie zdarza. Ciężkie materialne położenie farmerów, o których powiadano, że uginają się pod ciężarem długów hipotecznych, należy także do legend. Banki lokalne przepelnione są oszczędnościami okolicznych rolników¹⁾.

¹⁾ Pisane przed kryzysem finansowym (przyp. tł.).

Równocześnie bezpłatne rozdawnictwo ziemi państwowej, z której każdy nowy osadnik mógł otrzymać dawniej 65 hekt. prawie ustalo. Niema już plemion Dziurawych Nosów, któreby można przepędzić setki kilometrów poza góry Skaliste. Obecnie już się nie widuje tych nagłych i masowych zaludnień pustkowi, jak to się jeszcze zdarzało przed dwudziestu laty na terytorjum Oklahomu i nad rzeką Cheyenne w kraju nabytym przez rząd od Sioux'ów.

Z chwilą, gdy strzał armatni oznajmił moment oficjalnego wejścia w posiadanie kolonistów, spekulanci i przyszli osadnicy, czekający na granicy nowej osady sygnału — pędzili chmarą zatykać pale na swoich działkach, przez co stawali się ich prawnymi właścicielami. Ale ciągle jeszcze powstają improwizowane miasta, do których przenoszą się jednocześnie: rzemieślnicy, kupcy, lekarze, bankierzy, dziennikarze, jednym słowem wszyscy, z wyjątkiem p. t. mieszczuchów, bo tego gatunku ludzi Ameryka nie zna. Niejedno takie wiejskie miasto spotkałem w części mojej wędrówki po St. Zj., miasto z domami bez ulic i z ulicami bez domów a zwłaszcza bez bruków i chodników, ale z regularnie kursującymi automobilami po drodze jaka się zdarzy; a więc to po trawniku, to między ściekami błota. Niektóre z tych osad rosną ogromnie szybko, n. p. miasto Seattle, gdzie w 1884 r. żyło zaledwie 3500 mieszkańców, liczy ich obecnie 241 tys. Lecz epoka chaotycznej i prymitywnej gospodarki na terytorjum St. Zj., z którego dwie piąte, 400 mil hekt. są własnością prywatną, już się skończyła. Świadczą o tem ceny gruntów dosyć zbliżone do europejskich. Hektar ziemi uprawnej, za który w 1890 r. płacono 204 fr., wart jest dzisiaj 350 fr., oczywiście w przeciwieciu, gdyż cena ziemi jest w niektórych Stanach bez porównania wyższą.

Rolnik amerykański wkroczył już w perjod użyźniania ziemi, w perjod intensywnej kultury. Istnieje jeszcze wprawdzie w St. Zj. kontrast między gęstością zaludnienia i obszarem kraju, wart zastanowienia i omówienia.

Cyfry, któreśmy przytoczyli o zdobyczach i zyskach przemysłu rolnego w St. Zj. wydadzą się nam albo nie znacząca, albo kolosalne, w miarę tego czy je będziemy rozważać w stosunku do obszaru kraju — większego ośmnaście razy od Francji — czy

w stosunku do ilości mieszkańców, których jest w St. Zj. niewiele więcej niż dwa razy tyle co we Francji. Amerykanie otrzymują więc doskonale rezultaty jako szczupła garsika ludzi — bardzo skromne jako właściciele olbrzymich obszarów. O tem wiedzą oni sami bardzo dobrze, to też starają się wszelkimi sposobami nie tylko zdobywać pod pług nowe terytorja, w miarę jak przybywa rąk do pracy, ale podnoszą równocześnie produktyjność gruntów już uprawnych.

Francuscy właściciele ziemscy są nieuleczalnymi pesymistami, a ich narzekania dowodzą, że nie znają przeszłości. Od stu lat czynsz dzierzawny ziemi zdwoił się u nas, pomimo że cena zboża prawie nie uległa zmianie. Wystarczy zestawić te dwa fakty, aby wyprowadzić wniosek, że rolnictwo musiało uczynić ogromne postępy. W przeciwnym razie większa część naszego kraju leżałaby z pewnością odłogiem, jako niezdolna do rywalizacji z produkcją dziewiczych ziem St. Zj. i Argentyny. Zwiększanie rentowności ziemi w ostatnim stuleciu nie jest wcale wyjątkiem. To samo działo się w dawnych stuleciach. Nasi rolnicy, którzy uchodzą za ludzi rutyny i którym się wydaje, iż są nimi istotnie, należą owszem do nowatorów z profesji, którzy z konieczności muszą się stosować do nowych warunków i wypadków, których im przewidzieć niepodobna i wymyślać nowe metody czy to uprawy czy hodowli.

U nas ciągle reformy i zmiany w rolnictwie trwają tak dawno, jak dawną jest nasza cywilizacja. W Ameryce epoka ta dopiero się rozpoczęła. Ponieważ rewolucje w gospodarstwie rolnem odbywają się bez hałasu, i stopniowo, trudno za nimi śledzić — spostrzega się je zazwyczaj dopiero, kiedy już przeszły. Niepodobna nieraz odgadnąć losów kawałka ziemi, bo szmat lasu, który pierwszy kolonista wykarczował, stawał się bądź pastwiskiem, bądź polem uprawnym. Pole zamieniano na winnicę, winnicę na łąkę, łąkę na staw rybny albo na warzywny ogród, albo zalesiano ją na nowo. Wszystko to pod wpływami ekonomicznymi, ta znowu ze względów politycznych albo fiskalnych.

Przyszłość gotuje nam z pewnością cały szereg niespodzianek. Któż przed dwustu laty mógł się domyślić roli jaką kiedyś w gospodarstwie rolnem odegrają ziemniaki? — Z grudek ziemi, z któ-

ych wyoiskamy: drzewo, chleb, cukier, jedwab, olej, pieczone: papier itp. kto dziś zgadnie, co jeszcze w przyszłości dobedziemy?

Rolnik starego świata będzie dalej rodził w boleści, bodzony ostrogą konieczności, nowe odkrycia i za każdym razem będzie mu się zdawało, że doszedł szczytu i że dalej już iść niepodobna, i pomimo to będzie zawsze dążył naprzód.

Rolnik amerykański, który wczoraj dopiero rozpoczął swoją karierę, przejdzie przez te same fazy, lecz jest on podatniejszej natury, bo bardziej mu spieszo i więcej dba o zysk doraźny i obfity. Europejczyk, rozważając rzecz historycznie, przeszedł z rolnictwa do przemysłu; Amerykanin przeciwnie, z przemysłu zwrócił się do rolnictwa. Pierwszy ohoiałby swoją fabrykę prowadzić jak folwark, drugi swoje gospodarstwo traktuje jak fabrykę albo dom handlowy.

W braku rąk roboczych wysila Amerykanin swój umysł, żeby je zastąpić i ciągle dąży do powiększenia wydajności swojej farmy. Zuakomienie wspiera go w tych wysiłkach rząd, przy pomocy departamentu rolnictwa, którym kieruje od lat piętnastu p. Wilson, dawny farmer, minister niepospolitych zalet, nowoczesny Colbert, którego mogą St. Zjednoczonym pozazdrościć wszystkie państwa.

Dawniejsi koloniści amerykańscy, gospodarowali na „ohybił trafił.“ Siali co bądź i gdzie bądź, zajęci jedynie myślą natychmiastowych zysków.

Olbrzymie przestrzenie gruntu zdadnego pod pług, dozwalały na gospodarke rabunkową i powierzchowną uprawę. Ale wkrótce przedsiębiorstwa w ten sposób prowadzone przestały się rentować. Farmerzy nie upierali się przy dawnym systemie, ale natychmiast zwrócili się do płodozmianów, nawozów naturalnych i sztucznych i do racjonalnej starannej uprawy. Oprócz tego zmienili niejednokrotnie zupełnie rodzaj produkcji. Stany n. p. Ohio, Pensylwania Nowy York z gospodarstwa zbożowego przeczuciły się do nabiałowego, które jest dla nich najodpowiedniejszym. — W Stanach południowych skasowano na znacznych przestrzeniach plantacje bawełny, przynoszące tylko 63 fr. z hekt. czystego dochodu i zastąpiono je farmami hodowlanemi, które przynoszą intratę trzy razy większą.

III.

Rząd federalny, wspomaga farmerów bardzo skutecznie. Kosztem swoim utrzymuje około 200 stacji doświadczalnych, porozrzucanych po 44 Stanach w ten sposób, żeby wszystkie klimatyczne różnice kraju, oraz wszystkie rodzaje pól było można należycie studjować. O wszystkich sprawach dotyczących rolnictwa wydaje rząd St. Zj. osobne popularne dziełka — w 1906 odbito ich 12 milionów egzemplarzy! Ministerstwo rolnictwa jest równocześnie wielkim magazynem różnorodnych nasion, które przesyła do szkół publicznych i rozdziela je między farmerów za pośrednictwem senatorów i deputowanych.

Te funkcje państwa nie mają w sobie nic biurokratycznego. Rząd St. Zj. nie wieńczy cieląt i jałówek odznaczonych na wystawie, jak to czyni rząd francuski. Nie rozdaje nagród na uroczystych konkursach za najlepsze sztuki bydła lub koni, bo dobrze wie, iż cena otrzymana za nie przez hodowcę, powinna być dla niego wystarczającą nagrodą za trud i starania. Jeżeli miesza się do gospodarstwa prywatnego, to tylko aby odważyć się na próby i innowacje, które dla prywatnego przedsiębiorcy byłyby zbyt ryzykowne. Rząd St. Zj. nie rozdaje złota między rolników, lecz stara się, aby każdy mógł je zarobić. Rząd amerykański jest to pośrednik i opiekun, ale nie dobrodziej i łaskawca: ostrzega, doradza, wyszukuje dobre interesy dla swoich klientów, lecz ich nie wspomaga materialnie, nie robi im prezentów.

Minister Wilson wysłał do wszystkich krajów i we wszystkie strefy, całe tuziny fachowców, których zadaniem jest wyszukiwanie nowych gatunków roślin, nowych odmian wszelkiego ziarna i nasion, któreby się z pożytkiem dały zaaklimatyzować w St. Zj. Wszystkie kontynenty i wyspy zwiedzają ci komiwojażerzy rolnictwa. Poszukiwania ich objęły pustynie Afryki i Azji; okolice podbiegunowe Rosji, Szwecji i Norwegii; Chiny i Japonję, Indje holenderskie, Amerykę środkową i południową.

Ten system rozpoczęty przed kilku laty, wzbogacił już florę St. Zj. nowym gatunkiem alfy (roślina pastewna) z Turkiestanu, kaktusem meksykańskim bez koleców; pszenicą twardą z południo-

wej Rosji, której w przeszłym roku (1906) wywieziono już z Ameryki 6 mil. korcy, sprzedając korzec o 1 fr. 80 cent. drożej niż inne gatunki.

Przed pięciu laty zapożyczono w ten sam sposób od Szwecji pewien gatunek owsa *swedish select*, który sieją obecnie farmerzy na całej północy St. Zj. od St. Wisconsin aż do Manitoby. — Z Kaukazu sprowadzono do St. Zj. przed czterema laty „owies sześćdziesięciodniowy“, bardzo dogodna odmiana dla Stanów środkowych, gdyż dojrzewa wcześniej i przez to nie jest narażona na śnieg zbożową i pasorzyty, od których bardzo w tych okolicach cierpią inne gatunki, dłużej dojrzewające. Dwie odmiany algierskiego jęczmienia nadały się doskonale do południowych Stanów od Kaliforni aż do Texas. Wydają one 50—80 proc. więcej ziarna od innych gatunków.

Rozpowszechniło się także żyto ozime charkowskie w St. Zj. prawie taksamo jak kukurudza z Kansas.

Ryż uprawiano przed sześciu laty w St. Zj. na 84 tys. hekt. z rezultatem dosyć miernym, gdyż z tego obszaru zbierano tylko 90 mil. kłgr. Dziś, dzięki nowej odmianie oplaca się kultura ryżu znacznie lepiej, bo 244 tys. hekt. dały w 1905 r. 435 mil. kłgr.

Departament rolnictwa utrzymywał przez cały rok agenta w Argentynie, który zbierał dane o tamtejszych stosunkach rolniczych i o handlu zbożowym. Żeby zbadać przyczyny, dla których produkty mleczarskie St. Zj. nie znajdowały popytu w Europie, „plenipotent maślany“ od czterech lat bawi w Londynie i śledzi wszystko, co się tyczy handlu masłem, a więc, ulepszenia techniczne, wymagania odbiorców i koniunktury handlowe. Nie zapominajmy, że masło stało się teraz towarem międzynarodowym. Niedawno temu, jedyna Francja produkowała je w większej ilości na wywóz. Z okolic Isigny i Gournay wysyłano masło w puszkach hermetycznie zamykanych, do Brazylii i Ameryki centralnej. Masło francuskie z Cotentin panowało bez współzawodników na targach londyńskich. Potem Danja weszła w szranki. Pamiętam, że przed trzydziestu mniej więcej laty, jadłem masło duńskie w Cordobie Grenadzie. Danja walczyła także z Francją w Londynie i w czp-

ści wyparła masło francuskie. Sama zaś została pokonaną przez Syberję, która produkuje masło o wiele tańsze.

Obecnie, kiedy chodzi o podróż, nie mówi się już o odległości, ale o czasie potrzebnym do przebycia danej przestrzeni. Miejsce wości nie rozdziela taka a taka ilość mil, ale tyle a tyle godzin drogi. Co się zaś tyczy towarów, to ani odległość, ani czas nie obchodzą kupca, a jedynie koszty transportu. Dlatego konkurencja jest wszechświatową. Rolnik zamieszkały na antypodaach, może nieraz dzięki ulepszonej komunikacji, skutecznie współzawodniczyć z europejskim producentem w jego własnym kraju.

Utrzymywanie „przedstawicieli handlu“ ofiojalnych i narodowych za granicami kraju, nie jest wyłącznym zwyczajem St. Zj. Anglja i Rosja utrzymują przy swoich ambasadaach i konsulatach doradców handlowych, którzy o ile nie drzemią na swoich stanowiskach, oddają państwu takie same jeżeli nie większe usługi od politycznych reprezentantów. Przykład godny naśladowania. Nadejda zdaje mi się wkrótce czasy, że ludzie mniej będą się zajmować opinią salonów i biur redakcyjnych i kularowymi plotkami posłów do parlamentu, a więc zaczną ich obchodzić działalność fabryk i ruch w składach towarów u sąsiada.

IV.

Z początku uprawiał farmer amerykański ziemie najbardziej podatne albo najprzystępniejsze, które pługowi rolnika splancały haracz z uległością — teraz wziął się do gruntów trudniejszych i opornych wszelkiej uprawie na pierwszy rzut oka. Do takich należy n. p. pas ziemi, ciągnący się od zatoki meksykańskiej do Canady i od południowego stoku gór Skalistych aż do rzeki Missouri, 120 mil. hekt. obszaru czyli trzy razy tyle co powierzchnia uprawnej Franoji. Na całej tej przestrzeni roczny opad atmosferyczny nie dochodzi 500 mm. Tutaj więc susza, w innych zaś miejscowościach np. w dorzeczu rzeki Missisipi 40 mil. hekt. z powodu bagnistego terenu i częstych zalewów uważano za niezdatne pod uprawę.

Okolice wystawione na posuchę należą w znacznej części do

bardzo urodzajnych; mają klimat zdrowy i przyjemny. — Mniej więcej dwadzieścia lat temu, sporo kolonistów, w nadziei, że staranna uprawa wynagrodzi niedomogi klimatu, pozakładało osady w zachodnim Kansas, w Nebrasce i we wsch. Colorado. Po kilku latach obfitych w deszcze, nastąpiła posucha. Miljony hektarów zboża zmarniało na pniu. Koloniści walczyli energicznie z niepowodzeniem, przez lat parę, ale w końcu ulegli i przenieśli się w inne strony. Farmy, w które włożyli spory kawał swojego życia, opustoszały nagle, a w ślad za nimi wyludniły się okoliczne miasteczka.

Stan ten trwał kilka lat. Surowa nauka odstręczała przyszłych od „krajiny śmierci“. W końcu jednak pod wpływem różnych przyczyn, nowa fala kolonistów zajęła opuszczone posterunki, miasta się zaludniły, farmy zakwitły.

Leżąc teraz, próba nie była powtórzeniem pierwszej. Powstała nowa metoda uprawy ziemi, zastosowana do suchego klimatu. Odkryto, szperając po różnych zakątkach kuli ziemskiej, gatunki zbóż odporne na posuchę.

Wynaleziono sposób uprawy, który zapobiegał panowaniu ziemi i odpowiednie narzędzia. Kombinacja tej metody, tych narzędzi z selekcyjnym nasieniem, wytrzymałym na posuchę, stanowi to, co Amerykanie nazywają „suchą gospodarką“ — *dry farming*. Dzięki tej metodzie, miljony hektarów, dotąd zaledwie zdalnych na pastwiska, przeszło pod racjonalną, intensywną kulturę zbożową.

Na równinach południowo-wschodnich Stanów, gdzie pluwiometr wykazuje zaledwie 250 mm. opadów atm. rocznie, upływają miesiące bez kropli deszczu, bez jednej chmurki na horyzoncie. — Wiatr gorący, jakby pochodził z rozpalonego pieca, przemienia w ciągu 24 godzin soczyste łodygi kukurudzy na suche bąble. Przynajmniej raz na pięć lat przypada susza i nieurodzaj zupełny. Tę katastrofę perjodyczną, mógłby jeszcze wytrzymać rolnik, gdyby równocześnie nie zamierały doszczętnie drzewa owocowe i alfa.

Farmers amerykański poradził sobie na posuchę, użytkując wilgoć z dwóch lat w jednym roku. Otrzymuje zaś ten rezultat w ten sposób, że daje ziemi spoczynek jednoroczny, ale ją przez ten czas starannie orze, bronuje i plewi za pomocą specjalnych narzędzi i nie pozwala, ażeby na roli jedna bodaj trawka wyrosła.

W ten sposób podglebie nie traci wilgoci, a zasiane zboże korzysta z przeszłorocznych deszczów „przechowanych pod ziemią“.

Doskonałe rezultaty otrzymane tą metodą — wprost przeciwną do dawnego ugorowania — tyczą się oczywiście tylko roślin rocznych, pszenicy i innych zbóż, które są tryumfem „suchej gospodarki“ — ale nie można jej stosować do winnej latorośli i do drzew owocowych, których niepodobna raz sadzić, to znowu wyjmować z gruntu, żeby ziemia odpoczęła.

Trzeba więc było z konieczności przeprowadzić irygację w sadach i kulturach alfy, tembardziej, że rośliny rosnące w suchem powietrzu wymagają bez porównania większej ilości wody od rosnących w wilgotnem.

W St. Wisconsin 200 litrów wody wystarcza do wyprodukowania jednego funta substancji suchej, podczas gdy do tej samej ilości w St. Utah potrzeba podwójnej ilości wody. Wiele jeszcze innych okoliczności n. p. szybkość wiatru, wystawa słoneczna albo północna, spadzistość pola, wywiera również wpływ na większe lub mniejsze zapotrzebowania wody przez rośliny w okresie wegetacji, zwłaszcza, gdy chodzi o sztuczne skrapianie, którego skuteczność podlega wielkim wahaniom. Grunty irygowane w St. Colorado absorbują 2 tys. litrów wody na jeden funt pszenicy, tymczasem na wyspach Hawaj 200 litrów wody wystarcza do produkcji funta cukru.

Dry farming — sucha gospodarka, dała doskonałe rezultaty, ale nie we wszystkich okolicach dało się zastosować nową metodę, i nie do wszystkich zbóż. Trudno sobie wyobrazić rozpaczliwszy widok od zabudowań farmy tego typu, pokrytych warstwą kurzu, prażonych słońcem, bez jednego drzewka, bez kawałka trawnika koło domu.

Koloniści zamieszkali w płaskowzgórzach, niemogąc stosować irygacji, rzucili się do kopania studzien głębokich na 15—90 m. i zapomocą pomp poruszanych wiatrakiem, skrapiają swoje pola. Jedna zwykła studnia wystarcza na 40 arów, większe na 1—4 hekt. Koszt wynosi 10—30 fr. na jeden hektar, z którego zbiory mogą być warte 150—2.250 fr., zależnie od rodzaju plodów.

W suchych okolicach Kaliforni, gdzie zboże dawało coraz to

gorsze zbiory — 12 hektolitrów z hektara — spróbowano sztucznego skraplania pól. Pompa o sile dwóch koni parowych, pochłaniająca za 2 fr. 50 dziennie opału i czynna bez przerwy od czerwca do września, zwilżyła 40 arów (niespełna jeden morg) z których dochód brutto w poziomkach, melonach i pomidorach wyniósł 6 tys. fr. Kalifornia ma wprawdzie wyjątkowo urodzajną rolę, ale i w St. Texas za grunty sztucznie skraplane czynsz dzierżawny wynosi 312 fr. z jednego hektara, oprócz kosztów pompowania wody, które ponosi dzierżawca. Co prawda zbiór z tych pól przedstawia wartość 1250—2500 fr., zależnie od urodzaju patatów.

W St. Washington na drugim końcu rzeczypospolitej, patoty dają na polach nawodnianych tą samą metodą do 5 tys. fr. z hektara. W St. Colorado zbudowano pompy, mogące zwilżać aż do 20 hekt. Koszt roczny skraplania wynosi 250 fr. na 1 hekt., ale buraki cukrowe dają z tej samej przestrzeni plon wartości 1250 fr. Właściciele tych potężnych motorów, wynajmują je czasem sąsiadom, licząc 38 fr. z 1 hekt. za dzień sztucznego deszczu. Dziesięć procent tej sumy stanowi ich czysty zysk, resztę pochłania koszt opału, utrzymanie i amortyzacja narzędzi.

Te szczegóły dają nam wyobrażenie, jak dalece postąpiło rolnictwo w St. Zj. Czy na starym kontynencie dużo jest majątków uprawianych z równą starannością? W braku perjodycznych deszczów i studzien, farmer amerykański gromadzi zapasy wody w głębokich basenach i rozprowadza je kanałami po polu. Ale ponieważ dla dostatecznego nawodnienia roli, potrzeba 1 m. kub. wody, na każdy m. przestrzeni, podobny proceder może wystarczyć tylko na bardzo drobne działki. Żeby zraszać pola na większą skalę, potrzebną jest rzeka.

Wszędzie, gdzie to jest możliwe i gdzie może się opłacić, kompanje akcyjne rozporządzające znacznym kapitałem, przeprowadzają na ogromnych przestrzeniach całe sieci kanałów, ciągnących się nieraz przez pare Stanów, i dostarczają okolicznym farmerom wody. Te tow. łączą sprzedaż wody z handlem ziemią, której wielkie obszary zakupiły. Jedna z takich kompanji, z siedzibą w St. Louis, operująca w Nowym Meksyku, sprzedaje działki cztero-

hektarowe, sztucznie nawadniane, na spłaty tygodniowe $12\frac{1}{2}$ fr. Farmer staje się właścicielem po 10 latach, płacąc łączną kwotę 6500 fr. a równocześnie ma prawo do 5 pre. rocznego dochodu od sumy, którą kompanji wypłacił. Według zapewnień prospektów tow. z St. Louis. dochód z tych czterech hekt. może już w pierwszym roku wynieść 15 tys. fr.

Cokolwiek byśmy sądzili o tych ponętnych widokach, nie da się zaprzeczyć, iż woda jest w tych stronach istną czarodziejką i zamienia olbrzymie pustynie prawie w mgnieniu oka na bujne okolice. Widziałem pole przesycone solami, które przed trzema laty sprzedawano po 78 fr. za hekt. na którym dziś zbierają rocznie za 3.500 fr. melonów.

Te pustynie przesiąknięte alkaljami, które dziś jeszcze widzimy na mapach zaznaczone podobnie jak Gobi albo Sahara, zamieniają się teraz dzięki wysiłkom człowieka na ogrody warzywne, na sady i plantacje buraków.

Alkaliczność gleby owych pustyń, pochodzi od chlorków, węglanów i siarczanów sodu, zmieszanych z ziemią w proporcji 6 na sto i w głębokości jednego metra.

Te sole, rozpuszczalne w wodzie, są prezentem historycznym i przedhistorycznym gór okolicznych. Spłynęły z wysokości na barkach potoków i spłukiwane deszczem. Ale co woda naniosła może równie i wynieść. Wystarczy nawodnić biały pył, który pokrywa te ziemie — na zawsze, zdawało się jałowe — żeby alkalia rozpuściły się jak cukier w szklance wody.

Spostrzeżono się, że te sole są doskonałym nawozem nieobliczonej wartości, którym natura obdarzyła kraj ten, tylko, że trochę za hojnie. Dają dziesięć i dwadzieścia razy więcej niż było potrzeba. Trzeba więc wydzielić nadwyżkę, która pali rośliny zamiast je zasilać. Skoro fakt został poznany, rolnik amerykański wyciągnął z niego praktyczny wniosek. Cały zastęp fachowców zajmuje się analizą chemiczną ziemi, oraz sporządzeniem „map chemicznych“ gleby i podglebia według procentowej zawartości minerałów. A ponieważ koloniści nie mają, ani czasu, ani wiedzy potrzebnej, ani pieniędzy na próby agronomiczne, wyłącza ich w tem i udziela im wskazówek, stacja doświadczalna — *Alkali reclamation service*.

Stwierdzono dzięki pracom tej stacji jaki stosunek alkaliów najbardziej sprzyja burakom cukrowym, daleko czulszym na chlorki niż na siarczany. Według zbadanego okresu kiełkowania danych nasion i poznanej siły rozkorzenia korzeni, koloniści regulują swoje irygacje i dreny, żeby zapobiedz nadmiarom soli chemicznych, porozrzucanych bardzo nieregularnie, czasem zasianych po wierzchu, czasem utkanych parę stóp głęboko.

Jest więc to gospodarka bardzo naukowa, polegająca na dokładnem poznaniu wszystkich czynników uprawy. Jak więc widzimy, amerykański farmer, niczem już nie przypomina kolonisty z przed laty trzydziestu, który karczował lasy, i obsiewał pola z roku na rok tem samem zbożem; owszem, pod wielu względami rolnik europejski musi mu przyznać wyższość.

Zamiast postępować po omacku, według fantazji lub naśladować gospodarkę ojców, amerykański rolnik idzie za wskazówkami wiedzy i wychodzi na tem dobrze. W 1897 r. n. p. wytwarzano tylko 30 tys. ton cukru z buraków w St. Zj. — obecnie wyrabiają go tam przeszło dziesięć razy tyle. Z tłustemi glinami Michiganu, Ohio i Wisconsinu współzawodniczą teraz wczorajsze pustynie. Co prawda, nie zamieniono jeszcze wszystkich alkalicznych terenów na pola uprawne. Irygacja kosztuje dużo. W Stanie Utah np., gdzie dzięki trzechkrotnym zalewom ziemie pokryte krzewami i liche pastwiska zamieniły się na pola uprawne, sztuczne nawodnienie nie wszędzie by się opłacało. Ale w żyznej Kalifornii i w Colorado nakładem 500 fr. na hekt. obrócono pastwiska i łąki średniej jakości, warte 250 fr., na winnice warte 4—8 tys. fr.

Dreny i irygacja, należą w tych stronach do bardzo skomplikowanych urządzeń, gdyż woda spływająca z góry, przynosi z sobą sporą ilość alkalicznych soli, które właśnie ma za zadanie spłókiwać. Kanaly irygacyjne muszą być przytem odpowiednio głębokie, żeby zapobiegły zalewom i zmywaniu uprawnej ziemi na stołka h. Pierwsi koloniści nie się nie znali na drenowaniu i irygacji, to też duże ponieśli straty przez nieumiejętne stosowanie tych meljoracyi.

Z powodu bardzo rozpowszechnionej irygacji w St. Zj. powstało tam osobne ustawodawstwo wodne, bardzo rozmaite w ró-

żnych Stanach. Warstwa wody, którą farmer rozporządza, waha się między 15 cm. a 150 m. Tak więc, jeden ma o wiele za dużo, drugi za mało. Rząd federalny zbadał tę sprawę szczegółowo i przekazał ją do załatwienia autonomicznym rządóm pojedynczych Stanów.

V.

Podobnie jak wody, taksamo lasy, pozostawione były w St. Zj. aż do ostatnich czasów na łasce fantazji: nie tylko lokalnej, ale nawet indywidualnej. Dopiero od 1. lutego 1905 r. datuje się racjonalna opieka państwa nad drzewostanem kraju. W r. 1898 etat lasów państwowych składał się z 11 osób, w tej liczbie szceci podrzędnych manipulantów, a z pozostałych pięciu urzędników, za ledwie dwóch posiadało wykształcenie zawodowe. Zajęcie ich czysto biurowe, nie miało w sobie nic leśnego. Obecnie personal administracji lasów, składa się z 321 osób, w tem 153 wykształconych leśników, którzy porozrzućani po 27 Stanach i Terytorjach, kierują techniczną stroną kultury i eksploatacji leśnej, oraz wspomagają radą, pryw. właścicieli obszarów leśnych. W przeciągu jednego roku, centralne biuro lasowe w Washingtonie, wysłało 62 tys. listów w odpowiedzi na pytania pryw. osób, oprócz licznych drukowanych okólników. Zadziwiające zjawisko w kraju, który wczoraj jeszcze nie miał pojęcia o nauce leśnictwa i fachowych sił nie posiadał. Ale reforma w gospodarce leśnej była konieczną — groziło zupełne spustoszenie lasów. Przemysł ciesielski bardzo żywotny w St. Zj. upadłby bezpowrotnie z powodu braku materiału, gdyby pozwolono na dalsze rabunkowe gospodarstwo w lasach.

Właściciele wyprzedawali na wyścigi starodrzew, a przedsiębiorcy z równą skwapliwością uprzętałi każdy pieniek, żeby się nie dać pobić współzawodnikom. Ci nawet, którzy uważali racjonalną kulturę leśną za konieczność ekonomiczną nie przypuszczali, aby dzisiejsza generacja zdolną była do poprawy. Złe miano wyobrażenie o inteligencji właścicieli przestrzeni leśnych. Tymczasem nowy racjonalny system eksploatacji leśnej przyjął się bardzo prędko, z tym szybkim zwrotem, tak charakterystycznym u janke-

sów, gdy poczują, że są na złej drodze. Obecnie nawet przedsiębiorcy leśni sami wyposażają katedry leśnictwa.

Oczywiście nie może być mowy, aby na całym obszarze St. Zj. odrazu wszędzie ustała gospodarka rabunkowa. Sam widziałem przykłady dewastacji w Stanach bardzo lesistych, np. w Washingtonie i w St. Oregon, ale uświadomienie pod tym względem coraz się rozpowszechnia. W każdym razie, w ostatnich paru latach większe zrobiono postępy w gospodarce leśnej w St. Zj. niż przez cztery wieki poprzednie.

Stworzono nowe rodzaje kultur leśnych, oparte na pomiarach milionów sztuk drzewa, na badaniach handlowej wartości trzydziestu paru gatunków. Wypracowano plany zalesienia i eksploatacji leśnej na wszystkie Stany, a różne studia lokalne nad gospodarstwem lasowym wytworzyły całą specjalną literaturę.

Amerykanie powtarzają z pewną dumą, iż niepotrzebują już teraz jeździć do Europy dla studjowania nie tylko prawa i medycyny, ale także leśnictwa.

Dawny system gospodarki leśnej polegał na jaknajszybszem ścinaniu drzewa zdatnego na użytek i na dostarczaniu jaknajwiększej ilości bali po najtańszej cenie, do tartaków. Żeby przeprowadzić reformę, którą nie każdy mógł odrazu pojąć, należało nie tyle krytykować dawną metodę w imię zasad i reguł, ale koniecznem było, wykazać pewność materialnej korzyści nowego systemu.

Ten sam proceder powtórzył się, gdy z kolei przyszło przekonać farmerów o nieskończonej wyższości zadrzewiania poręb, za pomocą sadzonek wyhodowanych w szkółkach, nad dawnym systemem zasiewania lasów. Studja nad zalesieniem, obejmowały oprócz porównawczego zestawienia różnych gatunków drzew i ich przystosowania do rozmaitej gleby i klimatu, również obliczenie zysków i procentów od wyłożonego kapitału. To jest kwestja, która zawsze wszędzie stoi w St. Zj. na pierwszym miejscu.

Wprowadzenie ulepszonych metod suszenia i chronienia drzewa od wpływów wilgoci, zmniejszy bezwątpienia olbrzymi haracz, którego wymagają od lasów amerykańskich podkłady kolejowe o wiele gęściejsze w St. Zj. niż w Europie.

Dzięki nowemu systemowi gospodarki leśnej, który nie po-

zwala ani na gnicie drzewa na pniu, ani na przedwczesny wyrąb, mają już teraz St. Zj. większy z nich dochód, niż dawniej przy daleko obfiszszej trzebieży.

Zarząd amer. lasów państwowych, oszacowanych na 1 miliard 250 mil. fr. a których wartość rok rocznie wrrasta o 10 pro., kosztuje zaledwie $\frac{1}{8}$ pro. ich dzisiejszej wartości, czyli około 4 mil. fr.

VI.

Nie mam zamiaru w tym krótkim szkicu opowiadać o wszystkich gałęziach przemysłu rolnego w St. Zj. — trzeba by na to całego tomu, zresztą byłbym znudzony nieraz powtarzać te same spostrzeżenia. Ograniczając się więc do zaznaczenia przeobrażeń ostatniej doby, chociażem tylko wskazać na obecny kierunek *businessu* rolnego w Ameryce, który wobec warunków, wśród których powstał i rozwijał się, zdało się iż na zawsze pozostanie ekstensywnym i prymitywnym. Tymczasem dzięki usposobieniu i inteligencji mieszkańców, wkrótce przeobraził się na wysoce przemysłową i racjonalną gospodarkę.

Właściwością wiedzy agronomicznej w Europie jest, że zwykle tylko ci ją posiadają gruntownie, którzy się osobiście rolnictwem nie trudnią. Najwięcej interesowani: drobni właściciele, dzierżawcy, patobcy rolni, jednym słowem chłopci, tworzą osobną kastę, dosyć zamkniętą; bo chociaż ten i ów włościanin przeniesie się czasem do miasta, już więcej na wieś nie wraca. Atawizm, przywiązanie do odwiecznych nawyków, a zwłaszcza obawa strat sprawia, iż chłop nasz putrzy z niedowierzaniem na wszelkie innowacje w zakresie rolnictwa. Bo włościanin jeszcze bardziej boi się ruiny, niż pragnie zysku.

Inaczej zachowuje się Amerykanin, wszystko jedno czy rodowity czy przybysz z Europy. Jeżeli nawet oderwał się od ojczywego pługa, żeby szukać szczęścia za oceanem, jest już przez to samo przedewszystkiem spekulantem, i ma widocznie skłonność do śmiałych przedsięwzięć. W Ameryce nie istnieje ani klasa mieszczkańska ani włościanańska, są tylko ludzie gotowi taksamo do pro-

dukowania ogórków, jak do zakładania tramwaju, do prowadzenia dziennika albo do hodowli bydła i do każdego przedsiębiorstwa przynoszącego zyski.

Pomimo iż wydać się może paradoksem twierdzenie, iż lepiej wykona rzemiosło nowicjusz od tego, który się z niem oswoił od dziecka, trzeba jednak przyznać, że „laik“ nie posiada przynajmniej przesądów fachu i nie wnosi do przedsiębiorstwa ducha rutyny. Jest on białą kartą, na której tylko osobiste doświadczenie zapisuje swoje nauczki. Amerykański farmer ma nad europejskim właścicielem tę wyższość, co nad starym warszlatem nowa fabryka, której nie krępuje staroświeckie urządzenie, ani regulamin cechu. Dlatego łatwo przystraja się do zmienionych warunków.

Wiedza amer. farmera jest dosyć przytem ograniczoną i horyzont jego myśli nie zbyt szeroki, ale wiadomości fachowe są w St. Zj. bardzo rozpowszechnione, chwytane zaraz i zaraz stosowane. Z ochwilą, gdy się przekona — a łatwo go przekonać, skoro mu się wykaze materialną korzyść — farmer amerykański, nie rozprawia, nie namyśla się ale, natychmiast zmienia i rodzaj uprawy i narzędzia i nasiona. Na tem polega tajemnica tak szybkiego rozwoju amerykańskiego rolnictwa.

Jeżeli obliczymy ogólną przestrzeń uprawną St. Zj., przekonamy się, iż stosunkowo do powierzchni kraju rozległego jak cała Europa, obszar ten jest bardzo mały. Biorąc w rachubę pola obsiewane zbożem, kukurudzą, bawełną, tytoniem itp., sady, winnice i łąki, jednym słowem wszystkie grunty, których dotknął pług albo łopata, otrzymamy sumę niespełna 140 mil. hekt. Na jednego mieszkańca przypada więc w przecięciu wcale dużo, ale zważywszy obszar kraju, jest to dopiero nikły ułamek, bo przeszło pięć razy tyle ziemi dziewiczej czeka na następne pokolenia.

A więc, nie jedynie olbrzymim przestrzeniom zawdzięczają Amerykanie swój dobrobyt, lecz przede wszystkim umiejętności ich wyzyskania, skoro tylko z części swoich posiadłości korzystają. Od czterdziestu lat powiększył się znacznie obszar uprawnej ziemi w St. Zj., ale równocześnie podniosła się także produkcja z każdego hekt. wziętego osobno. W r. 1867 obsiewano np. pszenicą w St. Zj. 6 mil. hekt. — obecnie 19 mil. hekt. ale dzisiaj zbiera

farmer amer. 12 korey z hekt., przed czterdziestu laty tylko 8 korey. Owsem obsiewano w St. Zj. 1867 r. 3 mil. hekt., a hektar dawał 22 hektolitrow. Dzisiaj pod owsem jest tam 11 mil. hekt. a hektar daje 28 hektolitrow.

Jeżeli St. Zj. hodują obecnie 20 mil. koni, 72 mil. sztuk bydła rogatego i 107 mil. owiec i świń — to znaczy siedm, pięć i cztery razy tyle co Francja — zawdzięczają to nie tylko pastwiskom i sianu z łąk, którego St. Zj. zbierają ledwie dwa razy tyle co Francja, ale głównie kukurudzy, którą obsiewają 37 mil. hekt. zbierając z hektara 23 hektolitry, podczas gdy kukurudza we Francji daje tylko 14½ hektolitrow z hektara.

Również nie dzięki przypadkowi i nadzwyczajnym przymiotom gleby zbierają amer. farmerzy w przecięciu 4 tony siana z jednego hekt., lecz dzięki starannej i umiejętnej kulturze. Łąki naturalne są w St. Zj., gdzie wiele okolic musi walczyć z posuchą, dosyć stosunkowo rzadkie. Ale farmerzy przez uprawę konieczyn, a szczególnie alfy wynagradzają braki w paszy. Czasami nawet zużytkowują na karmę dla bydła kaktusy, które z powodu swoich kolców, długi czas uważane były za zupełnie bezużyteczne. Kosztem 12 fr. dziennie — tyle kosztuje 36 litrow gazoliny — spala farmer kolce kaktusowe wagi 4500 klgr. Bydło zjada wtedy ochciwie tę roślinę, która zawierając 75 proc. wody, gasi równocześnie pragnienie inwentarza, co w okolicach cierpiących na posuchę, jest bardzo ważną zaletą paszy.

Znamiennym objawem obecnego ruchu w przemyśle rolniczym St. Zj. jest zmartwychwstanie albo raczej odrodzenie Południa. Stany południowe, które dzięki klimatowi posiadały monopol na niektóre produkty, stanowiły najbogatsze terytorjum amer. Unji na początku dziewiętnastego stulecia. Wtedy to Georgja, Wirginja i obydwie Karoliny wyrabiały więcej towarów niż cała reszta wszystkich Stanów. Potem St. południowe oddały się całkowicie plantacjom bawełny. Niewolnictwo, odstraszało immigrantów. Wojna secesyjna zrujnowała połud. St. na długie lata i aż do ostatnich czasów wegetowały one jakby pogrążone w letargu. Obecnie ocknęło się Południe z przydługiej drzemki i okazało się, że jest to kraj nadzwyczaj bogaty w węgiel, żelazo i naftę oraz w siłę wodną,

która np. koło samego tylko miasta Charlotte w Karolinie, w promieniu 100 km. przedstawia milion koni parowych.

Od ozaśu wojny secesyjnej aż do 1896 r. zbiory bawełny zwiększyły się w czwórnasób w St. Zj. Co prawda ceny tego produktu spadły równocześnie o trzy czwarte. Dopiero w ostatniem dziesięcioleciu poszły znowu w górę bardzo znacznie. Dzięki tej okoliczności dochód St. Zj. połud. wzrósł o 1500 mil. fr. rocznie. Ożywiony ruch przemysłowy w kraju wynikły z tej szczęśliwej koniunktury handlowej, podwoił dochody St. Połudn. Miejscowe fabryki tłoczą co roku za pół miljarda fr. oleju z bawełny, a tkanin i przędzy wyrabiają za miliard fr. Powstało również wiele nowych linii kolejowych, dzięki czemu mogą St. Połud. wywozić rocznie za 500 mil. fr. różnych prokuktów rolnych, które dawniej nie miały prawie żadnej wartości z powodu złej komunikacji.

Stany Zjednoczone połud. produkują trzy razy tyle bawełny co wszystkie części świata razem wzięte. Dosyć dziwny fakt, jeżeli zważymy, że bawełna jest rośliną importowaną do St. Zj. Tłumaczy go — zdaje mi się racjonalnie — tem, że w krajach zwrotnikowych, z których bawełna pochodzi, pasorzyty niszczące jej plantacje prosperują, gdy tymczasem pora zimowa w St. Zj. jest dla nich zabójczą.

Plantatorzy amerykańscy nie zasypiają na laurach i dążą wytrwale do produkowania najlepszych gatunków bawełny, na co dotąd ma przywilej Egipt. Dotychczasowe usiłowania nie wypadły pomyślnie, bo zbiory wyższych gatunków dały ilościowo bardzo skromny rezultat.

Jankesi są także głównymi eksportatorami tytoniu. Pomimo że o cygara hawańskie dobijają się palacze całego świata, powszechnie wiadomo, iż wyspa Kuba jest dla cygar krążących w handlu pod tą etykietą, nieraz tylko przybraną ojczyzną, podobnie jak Szampania dla win musujących, które często, jak nieboszczyk król Klodwik — otrzymują tylko chrzest w Rheims.

Tytoń St. Zj. albo stara się tylko o indygenat w Hawanie, albo wchodzi w związki małżeńskie z liściami hawańskimi. Czasem i tego procedera nie potrzeba, a cygaro, które nie widziało Hawany może być mimo to doskonałe. Kuba produkuje zresztą bar-

dzo mało tytoniu. Wywozi ogółem 14 mil. kgr. czyli dwa razy mniej niż Brazylja, która wcale do pierwszorzędných producentów tytoniu nie należy.

St. Zj. natomiast produkuje 330 mil. kgr. tytoniu, a wywożą 180 mil. kgr. Od czasu kiedy plantacje tytoniu zaprowadzono w Wirginji, t. j. od początku 17 stulecia, aż prawie do obecnej chwili, uprawiano tę roślinę w ten sam prymitywny sposób. Teraz dopiero przez użycie odpowiednich nawozów, poprawnych nasion i udoskonalonego sposobu fermentowania liści, zastosowano postępową technikę produkcji tytoniowej. Wprowadzenie tych reform podwyższyło wartość zbiorów tytoniu w St. Zj. o kilkadziesiąt procent. W ostatnich latach założono sporo plantacji tytoniu w Texas i Alabamie z doskonałym finansowym rezultatem, pomimo że w tych stronach są to dopiero pierwsze próby.

VII

Jankesi dążą nie tylko do podniesienia swojej produkcji pod względem ilościowym, ale pragną także usilnie podnieść wartość a przez to i cenę swoich towarów. Zamiast soli nadmiar masła wyrabianego w lecie — gatunek tani i trudny do zbycia — wymyślili bardzo sprytnie masło zwane najpierw „magicznem“ potem „gotowanem“ następnie „sterylizowanem“ a które otrzymało teraz oficjalną nazwą „masła odświeżonego“ — *renovated butter*.

To masło, którego przerabianiem truci się 80 fabryk, zostaje najpierw przetopione; następnie po dodaniu 1 pr. gliceryny i 5 pr. soli zamraża się je aż do zimy. W miarę jak popyt na masło zaczyna przewyższać produkcję, staremu masłu przywraca się dawne zalety, przez powtórne przegotowanie i wydzielenie z niego gliceryny i soli. Potem kłóci się masło z świeżem mlekiem w stosunku 1:3, a z otrzymanej w ten sposób emulacji — bardzo podobnej do śmietanki — znowu wyrabia się masło zwykłym sposobem. *Renovated butter* jest tłuszczem zdrowym i zupełnie wolnym od przymieszek — ustawy St. Zj. surowo ścigają fałszerstwa zapomocą margaryny — i chociaż nie wolno go sprzeda-

wac pod nazwą świeżego masła, jest jako tańsze bardzo poszukiwane.

Dla owoców, które St. Zj. hoduja na wielką skalę, zbyt w kraju został od lat kilku zaewniony, dzięki wagonom lodownianym. Jabłka, które dojrzały nad oceanem Spokojnym, nadechodzą w doskonałym stanie nad ocean Atlantycki. Brzoskwiń, pomarańcz, moreli, nie notowano dawniej wcale na targach — dziś jest to towar wielkiego handlu. W skutek zaprowadzenia na linjach amerykańskich wagonów owocowych *fruit express cars*, znaczne przestrzenie kraju, dotąd leżące odłogiem, zamieniono na sady, z których zbiory rozchodzą się po całym świecie.

Kaliifornijską brzoskwinie, wiezie od producenta do spożywey nieprzerwany szereg lodowni, bądź toczących się na szynach, bądź pływających po morzu. — Po raz pierwszy w 1876 r. wysłano na Wschód 300 pak z pomarańczami z San Francisco. W dziesięć lat później roczny transport pomarańcz z Dalekiego Zachodu wynosił już 1000 wagonów. W 1896 r. 16 tys. wagonów. Dzisiaj wysyłają St. Zachodnie 10 mil. pak pomarańcz w 33 tys. wagonów wartości 135 mil. fr., nie licząc 10 tys. wagonów gruszek, jabłek i brzoskwiń.

Te *rustica dona* Kaliforni bynajmniej nie reprezentują całego handlu owocowego St. Zjednoczonych. Obie Caroliny (półn. i połud.) rozpoczęły eksport owoców wysyłką 500 wagonów truskawek — dzisiaj wysyłają ich 3 tys. wagonów.

Wywóz brzoskwiń z Georgii wzrósł w tym samym czasie z 700 wagonów do 5 tys. Dwadzieścia mil. drzew owocowych rośnie w sadach Georgji.

Zbieranie owoców przeznaczonych na wywóz, stanowi problem trudny do rozwiązania. Owocu nie można nawet dotknąć paznokciem, bo najlżejsze zadrażnienie naskórka, wywołuje na nim plamę; od najmniejszej ranki może zepsuć się cały owoc. Trzeba także obcinać owoce umiejętnie, nie zostawiać im zbyt długich ogonków, którymi by mogły kaleczyć swoich sąsiadów. Następnie należy ochłodzić owoce zbierane przy 30-sto stopniowym upale, dosyć szybko, aby zatrzymał w nich w parę godzin proces dojrzwania. W wagonach musi panować chłód jednostajny, na wszystkich pię-

trach i w każdej pauce, które zwykle zagrzewają się od środka. Papier w który obwija się owoce jest złym przewodnikiem ciepła — to też przy dawnym sposobie oziębiania wagonów, potrzeba było trzech dni ozasu, żeby całkiem ostygły.

Otóż te wszystkie zabiegi, należało wykonać bardzo szybko i niewielkim kosztem, jeżeli przedsiębiorstwo ma się opłacić. Pierwsze próby dały rezultat ujemny. Wentylatory z oziębionem powietrzem funkjonowały źle. Owoce przybywały na miejsce przeznaczenia prawie nie do użytku. Lód nie chłodził temperatury panującej w pakach dostatecznie szybko. System trzeba było zmienić: lód porozmieszczać w różnych kierunkach wagonu, mieszać go z solą itp. Zupełne powodzenie dzisiejszej metody sownicie wynagrodziło trudy i koszty poniesione z jej wprowadzeniem.

Ameryka, jak powszechnie wiadomo, oddawna próbuje uprawy winnej latorośli — dotąd z niezbyt pomyślnym rezultatem. Czy winna temu nieodpowiednia gleba, czy też zły gatunek szcepów? Czy też — jak mnie się zdaje — brak wiadomości fachowych fabrykacji wina? — Wino nie jest naturalnym napojem, naturalnym napojem jest tylko woda. Nie wystarczają zatem winogrona do otrzymania dobrego wina. Trzeba jeszcze umieć obchodzić się z niemi i trzeba mieć cierpliwość. Ten ostatni przymiot mało jest rozpowszechniony w St. Zj. W Europie sporo jest winnic, dających dobre winogrona, z których właściciele wyrabiają podrzędne gatunki wina, bo nie umieją ani go zrobić, ani go przechować.

W czasach, kiedy filoksera czyniła takie spustoszenia we Francji, oskarżano francuskich handlarzy, że przerabiają hiszpańskie wina na „Bordeaux“. Przemysłowcy niemieccy próbowali tego samego proceduru i z wina otrzymali miksturę niemożliwą do picia. Jasną jest rzeczą, że amer. szcepki mogą dostarczyć dobrego wina, w obec tego że niemi regenerowano winnice francuskie po klęsce filoksery. Ciekawy szczegół: dzisiaj filoksera pustoszy kalifornijskie winnice, uznane dotychczas za odporne, a winnice amerykańskie sprowadzają szcepki z Francji.

Może więc gleba Ameryki, która rodzi doskonałe winogrona stołowe, nie może wydać owocu odpowiedniego do fabrykacji wina? A jednak białe wino z okolic San-Francisko, w cenie około 50 fr.

za hektolitr, ma smak wcale przyjemny. Wina czerwone za to ciężkie i ostre należą stanowczo do bardzo miernych. Zdaje mi się, iż dużo by zyskało gdyby umiano się z niem obchodzić, a przede wszystkim gdyby umiano czekać. Ale Amerykanie stanowczo nie chcą czekać. Chcą koniecznie, aby wino trąciło myszka po sześciu miesiącach. Ponieważ według opinii znawców podróż po morzu ma na proces starzenia się wina wpływać zbawiennie, amerykańscy handlarze ładują swoje winnice na statki żaglowe i każą im odbywać dalekie podróże. Nie cofają się przed opłatą bardzo wysokiego cła, kiedy wino po odbyciu takiej kuracji wraca szczęśliwie do rodzinnego portu. Dodajmy, że rezultat z tego systemu edukacji wina wcale na jego korzyść nie przemawia. Byłoby bez porównania prościej, taniej i korzystniej wybudować obszerne składy i czekać aż wino dojrzeje. Kiedy zrobiłem tę uwagę handlarzom, odpowiedzieli mi, iż z powodu olbrzymiej produkcji wina, koszty budowy piwnic wypadłyby bardzo wysoko i kapitał wyłożony nie przyniósłby odpowiednich zysków.

Co prawda, konsumpcja wina jest w St. Zj. bardzo ograniczoną. Przy stole pija się zazwyczaj tylko czystą mrożoną wodę. Nawet w San-Francisko i wszystkich okolicach produkujących wino woda jest zwykłym napojem, a butelka z winem występuje na stole nader rzadko. Pomimo to St. Zj. należą do najlepszych klientów Francji na wino szampańskie. Sprowadzają go rocznie $4\frac{1}{2}$ mil. butelek.

Na pieniądze znaczy to mniej więcej 30 mil. fr., jako ilość zaledwie: 36 tys. hektolitrów. Francja, chociaż wielka dostawczyca win doborowego gatunku, wywozi zaledwie dwa mil. hekt. wszelakiego wina.

Właściciele winnic nie powinni zapominać o przykrym dla nich fakcie, że wino jest napojem najmniej ze wszystkich rozpowszechnionym. Większa połowa ludzkości: Chińczycy, Japończycy, Hindusi razem 750 mil. ludzi piją herbatę. Południowa Ameryka pije „mate“. Jankesi i muratowie kontentują się wodą. Tak samo uboższa ludność Europy wschodniej. Europa zachodnia i środkowa pije piwo. Nawet we Francji jest 11 departamentów w których nie

piją wina tylko jabłecznik, a w trzech dep. półn. weszło w użycie piwo. Ogółem jest więc może na świecie najwyżej 50 60 mil. ludzi, którzy używają wina za napój oodzienny.

VIII.

Amerykanie ciągle zajęci myślą, jakby uwolnić swoje rozległe dziedzictwo — tak różnorodne pod względem gleby i klimatu, od haraczu na rzecz cudzych krajów, zaprowadzili plantacje herbaty w Texas i w połudu. Karolinie. Herbata amerykańska ma smak wyborny i daje zbiory równie obfite jak w macierzystym kraju. Wierni swojej skłonności, wynaleźli jankesi już dwie maszyny pomocnicze: jedną do gładzenia herbacianych liści, drugą do ich sterylizowania.

Na Florydzie zasadzono na próbę trochę drzew kamforowych. Żywica ich po destylacji okazała się tak doskonałą, że rozpoczęto natychmiast produkcję kamfory na handlową skalę. Na Portorico, która to wyspa stanowi od 1898 r. posiadłość St. Zj. plantują jankesi kawę i drzewa kakaowe. Próby aklimatyzacji drzewa kauczukowego nie udały się. Natomiast od pięciu lat, korzystając z włoskich emigrantów, wśród których znalazło się wielu ludzi fachowych i zdolnych, stara się rząd federalny zaprowadzić w St. Zj. hodowlę jedwabników.

W tym celu nabyło ministerjum rolnictwa jajka jedwabników we Włoszech. Francja dostarczyła motowideł. Z Francyi także sprowadził rząd instruktorów przedsiębiorczych do Waszyngtonu, od których uczą się robotnice amerykańskie. Jajka jedwabników rozdano wszystkim właścicielom plantacji morwy; państwo zaś kupuje od nich po cenach bieżących kokony, daje je prąść i sprzedaje przędę na własne ryzyko. Obecnie jest to dopiero zarodek przemysłu jedwabniczego — bez ustalonej i obfitej produkcji kokonów, nie może być mowy o przedsiębiorniach i fabrykach tkanin. Bardzo być jednak może, iż wkrótce pojawią się na rynkach jedwabne wyroby amerykańskie, gdyż St. Zj. posiadają wszystkie warunki, potrzebne do rozwoju jedwabnictwa.

W każdym razie imponującą jest ta dążność do ciągłego tworzenia, ciągłego rozszerzania dziedziny rolnictwa, bez obawy zawodu i bez niechęcenia w razie niepowodzenia, pomimo trudności z których najmniejsza z pewnością odstraszyłoby rolnika starego kontyentu.

W St. Zj. obywatel i państwo idą ręką w rękę po nowych drogach, ku nowym wynalazkom i spekulacjom, śmiało, uparcie, zaprawieni do mozołów i z mocnem postanowieniem przeprowadzenia swoich planów.

Takie są oto dzieje zbożnych rewolucji na roli, mało głośnych, ale skutecznych, które opowiedziałem tutaj trochę sucho może, gdyż wystrzegalem się wszelkich upiększeń, dbały jedynie o ścisłość podanych faktów. Zresztą pejzaż amerykańskiej farmy, mają wszyscy w pamięci z licznych opisów. Te swoje mało estetyczne oechy, tak pod względem rzeczy jak osób zachowała kolonja amerykańska po dziś dzień. Nie potrzeba być nawet bardzo wrażliwym na tym punkcie, żeby odczuć niemile brak wszelkiej malowniczości amerykańskiej „wsi“, jeżeli w ogóle tę nazwę można tu stosować. Stanowczo niwy amerykańskie nie mają w sobie poezji i nie wywołują uroku... jest to tylko eksploatacja rolna.

Chociaż w St. Zj. daleko mniej jest latyfundiów, niż fama głosi, a drobne i średnie gospodarstwa przeważają, rolnik amerykański niczem nie przypomina swojego europejskiego kolegi. Niema w nim nic „duszy wieśniaczej“, na którą składają się tradycja, przywiązanie do ziemi, prostota obyczajów i zachceń. Wieśniak europejski, kocha ziemię dla niej samej. Ziemia stanowi jakby część jego istoty. Zraszały ją potem i krwią swoją całe pokolenia; kości jego przodków spoczywają tuż koło roli, którą uprawia. Amerykański farmer nie należy do osobnej warstwy społecznej. Otóż warstwy i kasty są przeciwstawieniem banalności — mają swoją wielkość. Veillot powiedział: „mam w sobie plebejskiego ducha, tak jak inni mają ducha arystokratycznego i gdybym mógł, przywróciłbym stan szlachecki, ale sam nie zostałbym szlachcicem“ Wyniosłe słowa, które poniekąd mogą objaśnić dumę stanową naszych wieśniaków. W krajach, w których istnieją jeszcze warstwy społeczne, nie z prawa pisanego, ale zwyczajowego, jedynie wie-

śniak zachował swoją indywidualność, swój język, swoje pojęcia i obyczaje.

Amerykański kolonista umiał ziemię ujarzmić, ale jej nie pokochał. To też rola zdobyta i zgwałcona wydaje plony posłusznie jak niewolnica, ale nie darzy go swoimi wdziękami i pracuje pomuro. Nie przykrzejszego dla oka od tych szop zbitych z desek i symetrycznych budowli, wśród których żyją amerykańscy farmerzy. Wieś amerykańska, to fabryczna osada wśród pól. Znać tu napięcie woli, widać wyrachowanie, pracę i zabiegi, ale czuć równocześnie niesmak i nudę jak wszędzie, gdzie chęć zysku zmogła wszystkie inne uczucia. Miejmy nadzieję, że w przyszłości wszystko się zmieni, jak się już to po części stało we wschodnich Stanach. Gdy się gospodarz wzbogaci i byt swój oprze na pewnej podstawie, pomyśli o kwiatach, nie tylko o owocach jak dotychczas. Byłoby niesprawiedliwością wymawiać ludziom, którzy tak bardzo o byt swój walczyli i tyle zdziałali, że użyteczne przełożyli nad przyjemne i że nie stworzyli wszystkiego w jednym dniu.

KONIEC

INSTITUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-263 Warszawa, ul. Mary Siód 79
Tel. 22-22-41

Wydawnictwa Słowa Polskiego

do nabycia

w Administracyi Słowa Polskiego we Lwowie, ul. Zimorowicza l. 11—15,

i we wszystkich Księgarniach

Wydawnictwa oznaczone * są złożone w komis.

Powieści oryginalne.

Gąsiorowski Wacław — Huragan. Powieść historyczna z epoki napoleońskiej. 3 tomy. Wydanie III. Koron 6,—, w ozd. oprawie . . .	K 7,80
Gąsiorowski Wacław — Rok 1809. Powieść historyczna z epoki napoleońskiej. 2 tomy. Wydanie II. K. 4,— w ozdobnej oprawie . . .	„ 4,60
Gruszecki Artur — Większością. Powieść współczesna . . .	„ 2,—
Jeż T. T. (Zygmunt Miłkowski) — O Byt. Powieść historyczna na tle dziejów Albanii. 3 tomy. Wydanie jubileuszowe z portretem autora. K. 6,—. Cena zniżona . . .	„ *3,—
Kraszewski J. I. (B. Bolesławita) — Dziecię starego miasta. Obrazek na tle ostatniego powstania . . .	„ —,60
Kunciewicz Isydor — Moje znajomi . . .	„ —,60
Laskowski Kazimierz — Z rodu marzycieli . . .	„ —,60
Bojan K. Jutrzenka. Powieść. K. 3,—, w ozdob. oprawie . . .	„ 3,60
— Muszka. Powieść . . .	„ 3,—
Romanowska St. — Nad Michiganem. Opowieść z życia wychodźców polskich do Ameryki. Odznaczona na konkursie I nagrodą . . .	„ —,30
Rossowski Stanisław — Moja córka . . .	„ 2,50
— Psyche. Poezje. Wydanie wytworne na papierze czerpanym . . .	„ 3,—
Soltau Wiesław — Ugodowcy. Wydanie III K. 3,—, w ozd. oprawie . . .	„ 3,60
Soltan Abgar — Panna Siekierczanka. Szkic . . .	„ 2,—
Zora — Drogami Życia. Powieść . . .	„ 1,20

Powieści w przekładach.

Blicher Clausen — Stryj Franio. Powieść z życia duńskiego. Przekład Felicyi Popławskiej . . .	„ 1,20
Compain L. M. — Przebojem. Powieść. Przekład z francuskiego Br. Neufeldówny . . .	„ —,60
Coulevain Piotr — Na Gałęzi. Przekład z franc. Felicyi Popławskiej . . .	„ 1,80
— Nieznana Wyspa. Przełożyła z franc. Felicya Popławska . . .	„ 1,80
Dandet Alfons — Nowele z czasów oblężenia Paryża . . .	„ —,60
Deledda Grazia — Popiół. Przekład K. Dzieduszyckiej . . .	„ 1,20
Doyle Conan — Czerwonym szlakiem. Powieść. Tłumaczyła z angielskiego Br. Neufeldówna . . .	„ —,60
Gerard Dorota (Longard de Longgarde) — Nieprawdopodobna Idylla. Przygody angielskiej rodziny w Galicji. Z angielsk. tłumaczyła A. G. . .	„ 1,20
Glin Elinor — Wizyty Elżbiety. Powieść. Tłumaczyła z angielsk. Br. Neufeldówna . . .	„ —,60
Haggard Rider — Benita. Powieść. Przełożył z angielskiego A. D. . .	„ 1,20
Hanch G. — Tajemnica pewnej rodziny polskiej. Z oryginału duńskiego przeł. J. Klemensiewiczowa. Cena K. 1,20, w ozd. opraw. . .	„ 1,80
Opowieści Japońskie. Spolszczył Jan G. . .	„ —,60
Rad Edward — Daremny Wysiółek. Powieść. Przeł. z francuskiego Al. Kordzikowska . . .	„ 1,20

- Rosny J. H.** — Doktor Harambur. Powieść. Przekład z angielskiego Br. Neufeldówny
 — Vamirek Powieść z angielsk. przełożył J. K. Potocki
Rovetta G. — Lulu. Powieść. Przekład z włoskiego
Rychter Eugeniusz — Obrazki socjalistycznej przyszłości według Bebla
Scheffel Wiktor — Ekkehard. Powieść z X wieku. Z dwusetnego wydania w setną rocznicę urodzin autora. Przełoż. Wanda Młodnicka
Wazow Jan — Królowa Kazańska. Współczesna powieść bułgarska w dwóch częściach. Tłumaczył J. G.
Wharton Edyta — Świat Zabawy. Tłum. z ang. Br. Neufeldówna

Historya i literatura.

- Beniowski hr. M.** — Dziennik podróży i zdarzeń na Syberii, w Azji i Afryce. 4 tomy. Cena znizona
Jeż T. T. (Zygmunt Miłkowski) — Sylwety emigracyjne
Krajewski Józef — Tajne Związki polityczne w Galicyi (1833—1841)
Maszewski Stanisław — Sycylia w latach 1848 i 1849
Seignobos K. — Dzieje polityczne Europy współczesnej. (od roku 1814 do 1899). 2 tomy. Cena K. 10,—, znizona
Słowacki Juliusz — Makryna Mieczysławska. Wydał i objaśnił dr. Henryk Biegeleisen: Z portretami przełożonej klasztoru i poety
Wasilewski Zygmunt — Nowy Konrad. Rozbiór „Wyzwolenia“ Stan. Wyspiańskiego
 — Śladami Mickiewicza
 — Od Romantyków do Kasprowicza. Studya i szkice literac.

Nauki społeczne.

- Aeryng Zygmunt** — Logika Ekonomii. Zasadnicze pojęcia ekonomii ze stanowiska nauki o energii K. 3,—, znizona
Hobson Jan A. — Rozwój kapitalizmu współczesnego. Z oryginału angielskiego przełożył Jan Stecki. Cena K. 7,50, znizona
Koshowsi Bolesław — Finlandya. Według zbiorowego dzieła autorów fińskich i rosyjskich. Z mapą. Cena K. 2,50, znizona
Pile Mario — Psychologia piękna i sztuki. Przekład Antoniny Morzkowskiej. Cena K. 2,50, znizona
Robertson J. M. — Humanisci Nowożytni. Studya socyologiczne o Carlyle'u, Millu, Emersonie, Arnoldzie, Ruskinie i Spencerze. Z oryginału angielskiego przełożył, przypisami i skorowidzem opatrzył Jan Stecki. Cena K. 4,—, znizona
Spencer Herbert — Instytucje zawodowe. Z oryg. ang. przełożył Jan Stecki. Cena K. 2,50, znizona
Witort Jan — Zarysy prawa pierwotnego. K. 2,50, znizona

Publicystyka.

- Głębowski Stanisław dr.** — Zamach na uniwersytet polski we Lwowie
 — Galicya w budżecie państwa
 — Ludność polska w Galicyi wschodniej
 — Połączenie Rusinów w Galicyi. Lwów, 1908
Jeż T. T. (Zygmunt Miłkowski) — Na szlakach pokojowych
 Kalendarz Słowa Polskiego
Krawczyk Michał dr. — Ustawa o sprostowaniu galicyjskich i bukowiańskich ksiąg hipotecznych
Rozwadowski J. dr. — Ruśkie bezrobocie w roku 1902. Uwagi o jego terenie
W sprawie reformy gminy wiejskiej. Dwie konferencje
Wasilewski Zygmunt — Listy dziennikarza w sprawach kultury narodowej
 — (Przygodny) — Warszawa współczesna w 12 obrazkach

F
24205